

Karol May
Syn łowcy niedźwiedzi

Tom
Całość w tomach

Polski Związek Niewidomych
Zakład Wydawnictw i Nagrań
Warszawa 1990

Przełożył z niemieckiego -
Eugeniusz Wachowiak

Tłoczono pismem punktowym
dla niewidomych
w Drukarni PZN,
Warszawa, ul. Konwiktorska9
Pap. kart. 140 g kl. Iii_Bą1

Przedruk
z „Wydawnictwa Poznańskiego”,
Poznań 1989
Pisał K. Pabian
Korekty dokonały
D. Jagiełło i
K. Kopińska

1. Na tropie

Nieco na zachód od miejsca, w którym stykają się ze sobą trzy północnoamerykańskie stany:

Dakota, Nebraska i Wyoming, podróżowało konno dwóch mężczyzn, których pojawienie się w innej okolicy wzbudziłoby uzasadnioną sensację.

Różnili się oni od siebie już samą posturą. Podczas gdy pierwszy z nich mierzył więcej niż dwa metry wzrostu i miał zatrważająco chudą figurę, drugi był zdecydowanie niższy, lecz przy tym tak gruby, że sylwetka jego miała niemal kulisty kształt.

Mimo to twarze obu myśliwych znajdowały się na tej samej wysokości, gdyż niższy jeździec dosiadał wysokiej, kościstej szkapy, natomiast wyższy siedział na niskim i pozornie słabym mule. Pasy służące grubemu za strzemiona nie sięgały nawet końskiego brzucha, podczas kiedy długi wcale nie potrzebował strzemion, gdyż jego duże stopy zwisały tak nisko, iż wystarczył lekki ruch w bok, aby jedną czy drugą stopą sięgnąć ziemi, nie zsuwając się przy tym

wcale z siodła.

Oczywiście, że o prawdziwych siodłach nie było tu w ogóle mowy. Siodło małego było po prostu skórą z wytartą sierścią, zdjętą z grzbietu ubitego wilka, natomiast chudzielec podłożył sobie starą derkę, tak okropnie postrzępioną i porwaną, że siedział on właściwie na odsłoniętym grzbiecie muła.

Ubiory obydwu wyglądały również osobliwie. Długi miał na sobie skórzane portki skrojone i uszyte w każdym razie na znacznie potężniejszego mężczyznę. O wiele za obszerne. Pod wpływem ciepła to znów zimna, suszy i deszczu zbiegały się one tak znacznie, że dolny skraj nogawek sięgał mu powyżej kolan.

Portki te błyszczały przy tym od tłuszczu, co wynikało po prostu z tego, iż długi używał ich przy każdej okazji jako ręcznika albo ścierki, a brudne palce wycierał właśnie w spodnie.

Bose stopy tkwiły w trudnych do opisania butach. Wyglądały one, jak gdyby nosił je już Matuzalem i od tamtego czasu łątał je każdy kolejny posiadacz. Nie wiadomo, czy widziały one kiedykolwiek smarowidło albo pastę do obuwia, gdyż lśniły wszystkimi barwami tęczy.

Chudy tors jeźdźca tkwił w skórzanej myśliwskiej koszuli, pozbawionej zarówno guzików jak i haftek, odsłaniającej tym samym opaloną pierś.

Rękawy sięgały zaledwie łokci i wyzierały z nich żylaste i kościste przedramiona. Szyję spowijała bawełniana chusta, może biała, może czarna, zielona albo żółta, czerwona czy błękitna - sam jeździec nie pamiętał jej pierwotnego koloru.

Ukoronowaniem całego ubioru

był wszakże sterczący na
długiej, szpiczastej głowie

kapelusze. Ongiś barwy szarej oraz o kształcie przedmiotu, który nazywano żartobliwie szapoklakiem. Przed niepamiętnymi czasami stanowił być może ukoronowanie głowy jakiegoś angielskiego lorda. Los sprawił, że schodził potem w dół po szczeblach społecznej drabiny, aż znalazł się wreszcie w rękach łowcy prerii, który jednak zupełnie nie miał gustu lorda. Uznał, że rondo przy kapeluszu jest mu zbyt duże, dlatego je po prostu oderwał. Zostawił jedynie z przodu jeden jego fragment po części dla osłony oczu, po części jako uchwyt, aby łatwiej zdejmować owo nakrycie głowy. Poza tym uważał prawdopodobnie, że głowa łowcy prerii potrzebuje także powietrza, i ponakłuwał nożem otwory w denku z wszystkich stron, tak że wiatry z zachodu i wschodu, północy i południa mogły sobie we wnętrzu kapelusza powiedzieć „dzień dobry”.

Jako pasek służył długiemu grubemu postronkowi, którym opasał się kilka razy wokół bioder. Tkwiły za nim dwa rewolwery i nóż. Ponadto zwisał z niego woreczek na kule, róg z prochem, tabakierka, kocia skóra zszyta tak, by można w niej było trzymać mąkę, krzesiwo i jeszcze inne dla niewtajemniczonego zagadkowe przedmioty. Na piersi jego wisiała na rzemyku fajka - ale jaka to była fajka! Dzieło sztuki samego właściciela, a ponieważ już dawno obgryzł ją aż do cybucha, składała się ona obecnie wyłącznie z tego cybucha i wydrążonej łądy czarnego bzu. Jako namiętny palacz długi miał mianowicie zwyczaj gryźć ową łądygę, gdy tylko skończył mu się tytoń.

Dla ratowania jego honoru

należy wspomnieć, iż na jego
ubiór składało się nie tylko
obuwie, spodnie, koszula i
kapelusz, o nie! posiadał poza

tym część garderoby, na którą nie każdego było stać, a mianowicie płaszcz gumowy, do tego autentycznie amerykański, z tego gatunku, który zaraz po pierwszym deszczu zbiega się do połowy swojej pierwotnej długości i szerokości. Ponieważ nie mógł go już na siebie wkładać, przewieszał go niby huzar kurtkę, na sznurku, malowniczo przez ramię. Z lewego ramienia ku prawemu biodru zwisało mu zwinięte jak należy łąso. Przed sobą w poprzek nóg położył strzelbę, jedną z owych długich strzelb, z której doświadczony myśliwy nigdy nie chybia.

Trudno byłoby ustalić, ile lat przypisać temu człowiekowi. Ogorzałą twarz porały niezliczone bruzdy i zmarszczki, a mimo to miała ona niemal młodzieńczy wyraz. Z każdej zmarszczki wycierał szelma, z każdej bruzdy cwaniak. Pomimo owych zmarszczek i niegościnnej okolicy, w jakiej się znajdował, był gładko ogolony: bardzo wielu westmanów, w takiej dbałości upatruje swój powód do dumy. Duże, błękitne, szeroko otwarte oczy cechowało ostre spojrzenie spotykane u wilków morskich oraz mieszkańców rozległych nizin, a mimo to chętnie by się je określiło mianem „dziecięcego ufnego”.

Muł, jak się rzekło, był jedynie z pozoru słaby. Z łatwością dźwigał kościstego rycerza, a niekiedy nawet pozwalał sobie na krótki strajk wobec swego pana, w takim przypadku był jednak każdorazowo brany mocno między długachne łądki swojego władcy, tak że szybko rezygnował z oporu. Zwierzęta te lubiane są za swój pewny krok, równocześnie jednak znane ze skłonności do upartej przekory.

Co się tyczy drugiego jeźdźca,

wobec żaru, jakim zionęło

słońce, musiało podpadać, że miał on na sobie kozuch. Każdy jednak ruch grubego odśłaniał niedostatki owego okrycia, niedostatki w postaci łysych, pozbawionych włosów płam. Jedynie tu i ówdzie widniała mała, rzadka kępka, podobnie jak na bezbrzeżnej pustyni tylko tu i ówdzie można spotakć mizerną oazę. Już choćby sam kołnierz i wyłogi były wytarte do tego stopnia, że gołe miejsca osiągały wymiar talerza. Spod owego kozucha na prawo i lewo wycierały potężne buty z wywiniętymi cholewami. Głowę okrywał mu kapelusz panamski z szerokim rondem, o wiele za duży, i dlatego aby zapewnić oczom widok właściciel musiał go przesuwac na kark, rękawy miał ów kozuch tak długie, że nie było widać spod nich dłoni. Z całego jeźdźca widoczna pozostawała jedynie twarz. Ale twarz ta zasługiwała również na to, by jej się dokładnie przyjrzeć.

Tak samo gładko wygolona, bez śladu brody. Z rumianymi policzkami tak pełnymi, iż ledwo można było zauważyć wyzierający pomiędzy nich nosek. To samo dotyczyło małych, ciemnych oczek, ukrytych głęboko pomiędzy brwiami i policzkami. Spoglądały one z dobroduszną chytryością. A w ogóle, to na całej twarzy miał wypisane: „Przyjrzyj mi się! Jestem małym, wspaniałym chłopem, i dobrze temu, co żyje ze mną w zgodzie. Jeśli chodzi jednak o odwagę i roztropność - licz na siebie, na mnie bowiem możesz się zawieść”.

Właśnie teraz podmuch wiatru
rozchylił kożuch małego i ukazał
pod nim spodnie i bluzę z
niebieskiej wełny. Mocne biodra
opasywał mu skórzany pas, za
którym oprócz przedmiotów, jakie
posiadał także długi, zatknięty
był indiański tomahawk. Lasso
przytroczył z przodu przy

siodle, a przy nim krótką, dwulufową strzelbę, po której widać było, że w niejednej walce służyła do ataku lub obrony.

Wypada zatem powiedzieć, kim byli ci dwaj mężczyźni. Otóż mały nazywał się Jemmy Pfefferkorn, a duży - Gavy Kroners. Gdyby spytać któregoś z westmanów, osadników albo traperów o któreś z tych nazwisk, pokiwaliby oni przecząco głowami utrzymując, że nie słyszeli o dwóch myśliwych nawet słowa. A jednak minęliby się z prawdą, gdyż jeźdźcy owi byli wcale słynnymi traperami i przy niejednym ognisku opowiadano od lat o ich czynach. Nie było niemalże miejscowości od Nowego Jorku do San Francisco i od północnych jezior po Zatokę Meksykańską, gdzie nie rozbrzmiewałaby chwała owych dwóch stepowych wilków.

Oczywiście, że nazwiska

Pfefferkorn i Kroners były znane jedynie im samym. Na prerii, w puszczy, a już szczególnie u czerwonoskórych nikt nie pyta o metrykę urodzenia czy chrztu. Tutaj każdy otrzymuje rozprzestrzeniający się szeroko przydomek odpowiadający czynom, wyglądowi lub cechom charakteru.

Kroners był jankesem czystej krwi i nazywano go nie inaczej jak Długi Davy. Pfefferkorn pochodził z Niemiec i z racji imienia Jemmy oraz postury określano go przydomkiem Gruby Jemmy.

Znano ich zatem wszędzie po imieniu, i z trudem można by na Dalekim Zachodzie spotkać człowieka, który by nie umiał nic powiedzieć o ich bohaterskich przygodach. Uważano ich za nierozłącznych.

Przynajmniej nie było nikogo,
kto mógłby sobie przypomnieć, iż
kiedykolwiek widział wyłącznie
jednego z nich. Jeśli do obcego
ogniska zbliżał się Gruby, wtedy
odruchowo szukano oczyma

Długiego, o ile do sklepiku wchodził Davy, aby nabyć dla siebie proch i tabakę,
zadawano mu pytanie o sprawunki dla Jemmiego.

Tak samo nierozłączne były zwierzęta owych westmanów. Mimo pragnienia wysoka
szkapa nie piła z żadnego strumyka ani rzeki, jeśli równocześnie mały muł nie
pochylił łba ku wodzie. Natomiast muł dopóty stał z uniesionym łbem pośród
najbardziej dorodnej i soczystej trawy, dopóki nie wyparskała się na nią szkapa,
jakby chciała wyszeptać: „Posłuchaj, oni zsiadli i smażą swoją pieczeń z bawołu.
Zatem zjedzmy i my swoje śniadanie, gdyż do późnego wieczora z pewnością już nie
będzie takiej okazji”. Obu zwierzętom zupełnie nie przychodziło do głowy, że w
biedzie którekolwiek z nich mogłoby zostać opuszczone. Ich panowie wiele razy
ratowali jeden drugiemu życie. Jeden za drugiego rzucał się bez zastanowienia w
największe niebezpieczeństwo. Zatem i zwierzęta często sobie pomagały, gdy trzeba
było przyjaciela wydostać z opresji zębami albo obronić go przed wrogiem silnymi,
twardymi kopytami. Cała czwórka, zarówno ludzie jak i zwierzęta, stanowiła jedną
całość i żadne z nich nie wyobrażało sobie, że mogło być inaczej.

Posuwali się teraz beztrąsko kłusem w kierunku północnym. Na rannym popasie koń
i muł skorzystali z wody i soczystej zieleni, zaś obaj myśliwi posilili się jelenim
udźcem zapijając wodą. Szkapa dźwigała teraz zapas mięsa, tak że nie było mowy o
głodzie.

Słońce zdołało już osiągnąć
zenit i powoli skłaniało się ku
schyłkowi. Panował wprawdzie
upał, lecz na prerii wiał
orzeźwiający wiatr i kobierzec

traw utkany niezliczonymi kwiatami, któremu daleko było do brunatnych, spalonych
barw jesieni, radował oko świeżą zielenią. Ukośnie padające promienie słońca
oświetlały rozproszone na rozległej równinie pojedyncze, potężne, przypominające

kreple skały, pyszniące się od zachodu żywą gamą barw przychodzących ku wschodowi w coraz to mroczniejszą i ciemną tonację.

- Jak długo dziś jeszcze pojedziemy? - zapytał Gruby, przerywając kilkugodzinne milczenie.

- Jak zawsze - odparł mu

Długi.

- Well! - zaśmiał się Gruby.

- A ty! Mister Daviego cechowała ta właściwość, że zamiast „yes” potakiwał staroświeckim „ay”. Tak, tak, zawsze był oryginalny ów Długi Davy! Znów upłynęła dłuższa chwila. Jemmy wystrzegał się, aby dalszym pytaniem nie sprowokować powtórnie podobnej odpowiedzi. Obserwował niekiedy przyjaciela chytrymi oczkami i czekał na okazję, by się odgryźć. Wreszcie Długiemu dokuczało już owo milczenie. Prawicą wskazał kierunek, w którym podążali, i zapytał:

- Znasz tę okolicę?

- Bardzo dobrze!

- A zatem co to jest?

- Co... Ameryka!

Długi pociągnął gniewnie nogi do góry i uderzył muła piętami.

- Zły z ciebie człowiek!

- Kto?

- Ty!

- Ach ja, dlaczego?

- Bo mściwy!

- Wcale nie. Głupio mi odpowiadasz, dlatego nie widzę powodu, dla którego miałbym się wykazywać inteligencją, kiedy mnie pytasz.

- Inteligencją? Rany boskie!

Ty i inteligencja! Zawierasz w sobie tyle mięsa, że duch już

by się wcale w tobie nie zmieścił.

- Ho, ho! Zapomniałeś pewnie, co ukończyłem jeszcze tam, w starym świecie?

- Ay! Jedną klasę gimnazjum!

Owszem, pamiętam. Zresztę nigdy nie mogę o tym zapomnieć, gdyż w ciągu każdego dnia przypominasz mi to przynajmniej ze trzydzieści razy.

Gruby uderzył się w pierś.

- Jest to oczywiście konieczne. Właściwie powinienem wspominać o tym czterdzieści do pięćdziesięciu razy dziennie, ponieważ masz dla mnie o wiele za mało szacunku. Zresztą nie skończyłem jednej klasy, lecz trzy!

- Na dalsze nie starczyło ci rozumu...

- Zamilcz! Zabrakło pieniędzy.

Rozumu miałem aż nadto. Wiem bardzo dobrze, co miałeś na myśli. Tutejszej okolicy nigdy nie zapomnę. Pamiętasz, że poznaliśmy się za tamtymi wzgórzami?

- Ay! Zły to był dzień.

Wystrzelałem cały zapas prochu i Siksowie deptali mi po piętach. Wreszcie dopadli mnie powalając na ziemię. A wieczorem ty się pojawiłeś.

- Owszem, te głuptasy rozпалиły ognisko, które można było dojrzeć nawet z Kanady. Spostrzegłem je i skradłem się ku niemu. Zauważyłem pięciu Siuksów, którzy spętali białego człowieka. Nie chybiłem podobnie jak ty. Dwóch z nich trafiły moje kule, a trzech zbiegło, ponieważ nie przypuszczali, że mają do czynienia tylko z jednym człowiekiem. Zostałeś uwolniony.

- W istocie byłem wolny, ale również i gniewałem się na ciebie!

- Bo nie zastrzeliłem tych dwóch Indian, tylko ich raniłem.

Ale Indianin to także człowiek,

ja zaś nigdy nie zabijam

człowieka, gdy nie jest to

konieczne. Jestem Niemcem, a nie ludożercą!

- A może ja nim jestem?

- Hm - mruknął Gruby. - Teraz jesteś oczywiście inny niż dawniej.

Uważałeś wtedy jak i wielu innych, że nie można dostatecznie szybko wytepić czerwonoskórych. Musiałem cię przekonać do moich poglądów.

- Tak, tak, wy Niemcy jesteście osobliwymi typami. Niby łagodni, a jeżeli trzeba, stajecie się twardzi jak rzadko kto. Chcielibyście dotykać świata w zamszowych rękawiczkach, walicie jednak od razu kolbą, kiedy dochodzicie do wniosku, że musicie się bronić. Tacy jesteście wszyscy, i taki jesteś także ty!

- Cieszę się, że tak to właśnie jest. Ale popatrz, zdaje mi się, że widzę pasmo wydeptanej trawy!

Jemmy zatrzymał konia i pokazywał w kierunku skały, u której stóp pośród trawy biegła długa, ciemna linia.

Również Davy ściągnął zwierzęciu cugle, przysłonił dłonią oczy i lustrował wskazane miejsce:

- Pozwolę ci zmusić mnie do zjedzenia na surowo cetnara mięsa z bawołu, jeżeli nie jest to ślad końskich kopyt.

- Również i ja tak uważam. Jak myślisz, Davy, może byśmy się tej sprawie dokładniej przyjrzeni?

- Co znaczy „może”? Nie ma wyboru, gdzie istnieje konieczność! Na tej starej prerii nie wolno człowiekowi lekkomyślnie przejść obok żadnego śladu. Należy zawsze wiedzieć, kogo ma się przed lub też za sobą, w przeciwnym razie łatwo się może zdarzyć, że rankiem wstaniesz martwy, choć byś wieczorem położył się na trawie żywy!

Podjechali ku samej skale i lustrowali trop oczami znawców.

Jemmy zeskoczył z konia i

przykleknął w trawie. Jego stara szkapa, jak gdyby miała ludzki rozum, schyliła łeb ku zdeptanej zieleni i z cicha parsknęła. Zbliżył się także muł, pokręcił ogonem i długimi uszami i zdawał się także przyglądać śladom.

- No i...? - zapytał Davy, dla którego badanie trwało zbyt długo. - Naprawdę jest to takie ważne?

- Owszem, bo przejeżdżał tędy

Indianin!

- Tak przypuszczasz? Byłoby to dziwne, bo nie znajdujemy się ani na łownych, ani na pastewnych terenach żadnego szczepu. Dlaczego przypuszczasz, że był to Indianin?

- Widzę to po śladach kopyt, które wskazują na to, że konia wyćwiczyli Indianie.

- Pomimo to mógł się nim posługiwać biały człowiek.

- Także o tym myślę, ale... ale...

Jemmy z rozmysłem potrząsnął głową, poszedł kawałek wzdłuż śladów i odwracając się zawołał:

- Chodź za mną! Koń nie był podkuty. Poza tym był zmęczony, a mimo to musiał galopować. Jeźdźcowi musiało się chyba bardzo śpieszyć.

Davy zsiadł teraz także. To, co słyszał, było wystarczająco ważne, aby się szczegółowo tym zająć. Szedł teraz za Grubym, zaś zwierzęta podążały za nimi bez wezwania. Zrównał się z Jemym i szli w dalszym ciągu wzdłuż wykrytego tropu.

- Słuchaj, stary, ten koń był naprawdę zmordowany. Bardzo często się potykał. Kto tyle sił wyciska ze zwierzęcia, musi mieć ważny ku temu powód. Człowiek ów uciekał przed kimś albo też miał powód, by jak najprędzej osiągnąć swój cel.

- Raczej to drugie.

- Dlaczego?

- Kiedy ten ślad mógł powstać?
- Mniej więcej dwie godziny

temu.

- No właśnie. Nie widać śladu prześladowców, kto zaś uzyskałby nad nimi dwie godziny przewagi nie zajeżdżałby swego konia na śmierć. Zresztą istnieje tutaj tak wiele rozproszonych skał, że z łatwością mógłby on zwieść każdego prześladowcę. Wystarczyłoby, aby zatoczył łuk albo by jeździł w kółko. Nie uważasz?

- Owszem. Nam obu wystarczyłaby dwuminutowa przewaga, aby wykołować prześladowców. Zgadza się z tobą. Człowiek ów bardzo się śpieszył. Ale gdzie on się może znajdować?

- W każdym razie niedaleko stąd.

Długi spojrział z podziwem na Grubego.

- Tyś chyba wszechwiedzący.

- By to odgadnąć, wcale nie musisz być prorokiem, wystarczy pomyśleć.

- Właśnie! Myślę, ale niestety daremnie.

- U ciebie to nic dziwnego.

- Jak to?

- Jesteś po prostu zbyt długi.

Zanim twoje rozważanie o tym śladzie dostanie się z dołu na górę, do rozumu, mogą upłynąć lata. Powiadam ci, że celu, ku któremu zmierzał jeździec, nie należy szukać wcale daleko stąd, inaczej oszczędzałby konia.

- Słucham cię, słucham, ale nie mogę pojąć.

- Otóż oceniam to następująco:

Gdyby ów człowiek miał jeszcze cały dzień jazdy przed sobą, wtedy niewątpliwie pozwoliłby koniowi najpierw kilka godzin wypocząć, a następnie nadrobić opóźnienie. Ponieważ jednak miejsce, które zamierzał osiągnąć, jest blisko, wierzył, że mimo zmęczenia konia, dotrze tam jeszcze dzisiaj.

- Brzmi to niezbyt przekonująco, mój drogi. Ale przyznaję ci rację.

- Zbyteczna pochwała. Kto prawie trzydzieści lat tłuł się po prerii, może równie dobrze wpaść chociaż raz na jakąś mądrą myśl. W każdym razie

człowiek ten jest posłańcem. Spieszył się, mając do przekazania sprawę dużej wagi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Indianin jest jedynie łącznikiem pomiędzy Indianami i dlatego przypuszczam, że w pobliżu znajdują się czerwonoskórzy.

Długi Davy gwizdnął przeciągle przez zęby i rzucił roztropnie dookoła okiem.

- Nie brzmi to przyjemnie - mruknął. - Ten typ przybywa od Indian i ku Indianom zmierza. Znajdujemy się zatem pomiędzy nimi, nie wiedząc, gdzie się oni znajdują. A więc z łatwością możemy się natknąć na jedną z gromad i zanieść nasze skalpy na targ.

- Tego można się istotnie obawiać. Musimy iść tym tropem.

- Słusznie! Wiemy, że jedna gromada czerwonoskórych znajduje się przed nami i nic o nas nie wie. W tym mamy nad nimi przewagę. Ale ciekawym, do jakiego szczepu może należeć ów posłaniec.

- Ja także. Odgadnąć trudno. W północnej Montanie żyją Czarne Stopy i Pieganowie, i Keinakowie. Ci nie przybywają tutaj. Nad Zakolem Missouri koczują Arikara, którzy podobnie nie mają tu wiele do szukania. Może Siuksowie? Hm! Słyszałeś może, aby oni wykopali w ostatnim czasie swój wojenny topór?

- Nie, nie słyszałem.

- Nie będziemy z tego powodu łamali sobie teraz głowy, ale musimy zachować ostrożność. Znamy także okolicę i jeżeli nie popełnimy jakiegoś głupstwa, nic się nam nie stanie. Jazda!

Wskoczyli na siodła i ruszyli

tropem nie spuszczać go z oka,
rozglądali się jednak badawczo

na wszystkie strony, aby odkryć natychmiast każde niebezpieczeństwo.

Upłynęła chyba godzina i słońce skłaniało się coraz niżej. Wiatr się wzmaczał i upał szybko przechodził. Spostrzegli wkrótce, że Indianin jechał teraz stępa. Natrafiwszy na nierówności, koń z przemęczenia musiał się potknąć i paść na przednie kolana. Jemmy zsiadł bezzwłocznie i dokładnie badał owo miejsce.

- Jest to z całą pewnością

Indianin - wyjaśnił - który zsiadł z konia. Jego mokasyny zdobi szczerca jeżozwierza. Leży tutaj złamany jej kolec. A tu... ha, ten facet musi być jeszcze bardzo młody!

- Dlaczego? - spytał Długi, który w dalszym ciągu siedział na swoim zwierzęciu.

- Trafiłem na piaszczyste miejsce, gdzie jego stopa dokładnie się odcisnęła. Jeżeli nie powiem, że była to jakaś skwaw, to...

- Nonsens! Kobieta nie pojawi się tutaj samotnie.

- ...to mamy do czynienia z młodym człowiekiem, przypuszczalnie najwyżej z osiemnastolatkiem.

- Tak, tak! Brzmi to wcale groźnie. Niektóre szczepy takich młodych wojowników używają jako zwiadowców. Miejmy się zatem na baczności! Pojechali dalej. Dotychczas przemierzali prerię usłaną kwiatami, teraz wyłaniał się tu i tam jakiś krzew, najpierw pojedynczy, potem w skupiskach. W dali widniały drzewa.

Wreszcie dotarli do miejsca, w którym jeździec zsiadł z konia, przypuszczalnie dla wytchnienia, i dalej poszedł pieszo, prowadząc konia za uzdę.

Zarośla utrudniały teraz widok
i ostrożność była w dwójnasób
konieczna. Davy jechał przodem,
a Jemmy za nim. Nagle Gruby

odezwał się:

- Popatrz no, Długasie, na tym krzaku wisi włos z ogona zmęczonej chabety.

- Ay! Nie mów tak głośno!

Każdej chwili możemy się natknąć na ludzi, których zauważymy dopiero wtedy, kiedy nas zastrzelą!

- Tego się nie obawiam. Mogę zdać się na mojego konia. Parsknie, gdy tylko zwietrzy wroga. Prędszej naprzód!

Długi Davy posłuchał wezwania, ale po chwili znów się zatrzymał:

- Do kroćset diabłów! Tutaj musiało coś zajść!

Gruby ponaglił konia i po kilku krokach wyjechał z krzewów na polanę. Przed nimi wznosiła się jedna z owych przypominających kręgle skał, których tak wiele znajduje się na otwartej prerii. Trop prowadził zdecydowanie obok niej, gdy nagle pod ostrym kątem odbić w prawo. Obaj widzieli dokładnie, ale spostrzegli jeszcze coś. Z tamtej strony skały pojawiły się mianowicie inne ślady zmierzające ku naszemu tropowi, aby się z nim połączyć.

- Co o tym sądzisz? - zapytał

Długi.

- To, że za tą skałą obozowali ludzie, którzy przepuścili Indianina, a potem zaczęli go ścigać.

- Więc może odjechali?

- Ale kilku mogło zostać.

Poczekaj tu za krzewami. Wychylę tylko nosa.

- Byleś go nie wścibił w załadowaną lufę, która w tym momencie wypali!

- Nie obawiaj się, twój nos lepiej by się do tego nadawał.
Jemmy zeskoczył na ziemię, podał Długiemu cugle swojej kobyły i ruszył biegiem w kierunku skały.

- Chytry z niego lis - mruknął z zadowoleniem Długi. - Gdyby

się skradał, straciłby zbyt wiele czasu. Nie do wiary, że Gruby tak potrafi skakać!

Znalazłszy się po przeciwnej stronie skały, Mały skradał się wolno i ostrożnie do przodu i zniknął za występem. Jednakże wkrótce znów się pojawił, dając Długiemu znak ręką, aby uczynił większy łuk. Davy zrozumiał, że nie ma jechać wprost ku skale, dlatego zatoczył półkole pomiędzy krzewami, znalazł się na świeżym tropie i po nim jadąc zatrzymał się przy Davym.

- Co na to łpowiesz? - zapytał

Gruby, wskazując na miejsce, które mieli przed sobą.

Tutaj znajdowało się obozowisko. Na ziemi leżało jeszcze kilka naczyń, motyki i szufle, młynek do kawy, moździerz oraz różne małe i większe pakunki - i ani śladu obozowego ogniska.

- Hm - odparł zapytany potrząsając głową - ci, którzy tutaj biwakowali, albo są bardzo nieostrożni, albo jeszcze niedoświadczeni w obcowaniu z Zachodem. Ślady wskazują na to, że mieli przynajmniej piętnaście koni, ale żaden z nich nie był przywiązany do palika albo choćby tylko spętany. Jak się zdaje, mieli oni także więcej juczych koni, ale również i one odjechały. Dokąd? Wskazuje to na rozrzutność! Ludziom tym należą się dobre baty! Zasłużyli na to zdecydowanie. Bez doświadczenia wybierać się na daleki Zachód! Oczywiście, że nie każdy mógł uczęszczać do gimnazjum...

- Tak jak ty - wtrącił szybko

Długi.

- Owszem, jak ja. Ale trochę wrodzonego dowcipu i rozwagi powinien mieć każdy człowiek.

Indianin wyłonił się zza tej skały nic nie przeczuwając i jak ich tylko zobaczył, wołał stąd odjechać zamiast nawrócić. I wówczas cała zgraja ruszyła za

nim z kopyta.

- Czyżby byli do niego wrogo usposobieni?

- Oczywiście, inaczej by go przecież nie gonili. Dla nas może się to okazać zgubne. Czerwonoskórym jest wszystko jedno, czy ich zemsta dosięgnie winowajcę, czy też kogoś innego, dlatego musimy się pośpieszyć, aby zapobiec nieszczęściu.

- Tak, nie będziemy musieli już długo jechać, gdyż Indianin nie mógł się zbyt oddalić na wycieńczonym koniu.

Wskoczyli znów na siodła i podążyli galopem po śladach, od których konie juczne tworzyły z lewa i z prawa odgałęzienia śladów. Po chwili Jemmy nagle zatrzymał zwierzę, dobiegły bowiem do jego uszu głośne rozmowy. Czym prędzej zboczył w zarośla, dokąd podążył za nim Davy. Obaj nadśluchiwali. Gromada ludzi beładnie o czymś rozprawiła.

- To są w każdym razie oni - powiedział Gruby. - Głosy nie nasilają się, stoją więc w miejscu. Może byśmy coś niecoś podsłuchali, Davy?

- Oczywiście. Zwierzęta na razie spętamy.

- O nie, to mogłoby nas zdradzić. Musimy je związać, aby się nie oddaliły. Koniom można spętać przednie nogi, by mogły stawiać jedynie małe kroki. Postępuje się tak tylko w sytuacji bezpiecznej, w przeciwnym wypadku uwiązuje się je do drzew albo do krótkich palików wbijanych w ziemię. Na ubogiej w drzewa prerii myśliwi wyruszając w drogę zabierają w tym celu specjalnie zaostrzone paliki.

Dwaj przyjaciele uwiązali więc swoje zwierzęta do krzewu i skradali się w kierunku, skąd słyhać było głosy. Wkrótce znaleźli się nad rzeczulką, albo raczej nad strumykiem, który teraz miał mało wody, lecz jego

wysokie brzegi wskazywały, że na wiosnę niósł ze sobą wcale pokaźne jej ilości. Zataczał on tutaj łuk, a na brzegu stało lub siedziało dziewięciu dziko wyglądających białych mężczyzn. Pośrodku nich leżał młody Indianin z tak mocno skrępowanymi rękami i stopami, że nie mógł nawet drgnąć. Po tamtej stronie wody u podnóża wysokiego brzegu leżał, nie zdolawszy się już po nim wspiąć, koń czerwonoskórego robiąc bokami i głośno parszcząc. Pozostałe zwierzęta stały przy swoich panach.

Mężczyźni ci nie sprawiali dobrego wrażenia. Prawdziwy westman na ich widok powiedziałby, że ma przed sobą zgraję hołoty.

Jemmy i Davy przykucnęli za krzakiem i obserwowali hałastrę. Ludzie szeptali gorączkowo między sobą. Zdawało się, że radzą o losie jeńca.

- Jak oni ci się podobają? - spytał po cichu Gruby.

- Zupełnie tak jak tobie, nie podobają mi się wcale.

- Gęby do bicia! Współczuję temu czerwonoskóremu chłopcu. Do jakiego plemienia należy?

- Nie mogę poznać. Nie jest pomalowany i nie ma na sobie żadnych znaków. Z tego wynika, że nie był na wojennej ścieżce. Pomożemy mu?

- Rozumie się samo przez się, bo nie wierzę, by dał on tym stepowym sępom powód do wrogiego zachowania. Chodź, zamienimy z nimi kilka słów!

- A jeżeli nas nie posłuchają?

- Wtedy użyjemy siły lub fortelu. Nie obawiam się tych łobuzów. Ale kula trafia także wtedy, kiedy wystrzeli ją jakiś tchórzliwy drań. Lepiej, by nie poznali, że jesteśmy konno, i by nie domyślili się, że widzieliśmy ich obozowisko, dlatego zajdziemy ich z tamtej strony wody.

2. Hobbler Frank

Obaj myśliwi ujęli strzelby i drogą okrężną skradali się ku strumykowi. Zeszli następnie w dół ku wodzie, przeskoczyli jej wąski strumień i znów się wdrapali na górę. Czyniąc niewielki łuk, dotarli do strumyka dokładnie w miejscu, w którym na tamtym brzegu znajdowało się dziewięciu mężczyzn wraz z jeńcem. Zjawiając się przed nimi, zachowywali się tak, jak gdyby obecność tych ludzi wyraźnie ich zaskoczyła.

- Hallo! - wołał Gruby Jemmy.

- Co to ma znaczyć? Myślałem, że jesteśmy zupełnie sami na tej błogosławionej prerii, a tymczasem napotykamy tutaj całe zgromadzenie. Mam nadzieję, że będzie nam wolno dołączyć?

Siedzący w trawie zerwali się na równe nogi, wszyscy zaś zwrócili oczy na przybyszów. Pojawienie się ich wywołało w pierwszej chwili nie bardzo przyjemne odruchy. Głośny śmiech ogarnął wszystkich, kiedy zobaczyli obie postacie i ich dziwne stroje.

- Bounce! - zawołał jeden z nich, który dźwigał na sobie cały arsenał broni. - O co chodzi? Czy o tej porze roku obchodzi się tutaj zapusty i urządza maskarady?

- Ay! - potwierdził Długi. -

Brakuje nam do kompanii jedynie kilku błaznów, dlatego przychodzimy do was.

- Trafiliście zatem pod niewłaściwy adres.

- Nie sędzę.

Przy tych słowach Davy swoimi długimi nogami dał jeden krok przez wodę, a za drugim był już na wysokim brzegu i stanął naprzeciw mówiącego. Gruby uczynił to samo dwoma skokami, stanął przy Davym i rzekł:

- Oto i my. Dzień dobry, panowie. Nie macie łyka jakiegoś

dobrego trunku?

- Tam jest woda! - brzmiała odpowiedź, mówiący wskazał na strumyk.

- Co to, to nie! Myślicie, że pragnę się zmoczyć wewnątrz wodą? Taka myśl nie przychodzi wcale do głowy wnukowi mojego dziadka! Jeżeli nie macie nic bardziej odpowiedniego, to możecie spokojnie udać się do domu, gdyż w takim razie ta piękna łąka nie jest dla was odpowiednim miejscem!

- Zdaje się, że uważacie prerię za śniadalnię?

- Rozumie się! Pieczeń biega na naszych oczach. Trzeba ją jedynie przynieść do ogniska.

- Przypuszczam, że wam by to odpowiadało!

- Chciałbyś może mieć mój brzuch! - zaśmiał się Jemmy, głaszcząc się po nim pieszczotliwie.

- A czego wy macie za dużo, brakuje waszemu druhowi.

- Bo on dostaje jedynie połowę swojej porcji. Podtrzymuję w ten sposób jego urodę, bo zabrałem go z sobą w charakterze straszydła, aby nie zbliżył się do mnie żaden niedźwiedź ani Indianin. Ale, za waszym pozwoleniem, sir, kto właściwie przywiódł was tutaj nad tę piękną wodę?

- Jak to kto? Nikt.

Znaleźliśmy tę drogę sami.

Kompani uznali tą odpowiedź za dowcipną i roześmiali się. Gruby Jemmy mówił jednak zupełnie poważnie:

- Tak? W samej rzeczy? Tego bym się po was nie spodziewał, gdyż taka twarz każe przypuszczać, że nie potraficie znaleźć drogi bez czyjejs pomocy.

- Natomiast po was można się spodziewać, że nie dojrzycie przed sobą drogi, chociażby was przycisnął do niej nosem. A właściwie to kiedy skończyliście szkołę?

- Ba, nawet jej nie zacząłem, gdyż jeszcze do niej nie dorosłem, lecz mam nadzieję, że nauczę się od was tyle, iż jako tako opanuję elementarz Zachodu. Może wy chcecie być moim nauczycielem?

- Nie mam na to czasu. Mam w ogóle pilniejsze sprawy do załatwienia niż to, by innym wybijać z głowy głupstwa.

- Ciekawe! A co to są te pilniejsze sprawy? - Jemmy obejrzał się udając, że dopiero teraz spostrzegł Indianina, i ciągnął dalej: - Popatrz! Jeniec, i do tego czerwonoskóry!

Wzdrygnął się przy tym, jakby go przeraził widok czerwonoskórego. Mężczyźni znów się roześmiali, zaś ten, który się dotąd odzywał i wyglądał na ich przywódcę, powiedział:

- Nie padnijcie z wrażenia, sir! Ten, kto jeszcze nie widział takiego drania, może się łatwo przerazić. Założę się, że nigdy jeszcze nie spotkaliście Indianina.

- Kilku oswojonych chyba już widziałem, ale ten tu wygląda mi na dzikusa.

- Z całą pewnością, dlatego nie zbliżajcie się do niego zbyt!

- Aż tak? Przecież jest związany!

Gruby chciał się zbliżyć do jeńca, ale przywódca zastąpił mu drogę:

- Trzymajcie się od niego z daleka. On was zresztą nic nie obchodzi. A w ogóle muszę wreszcie spytać, kim jesteście i czego tutaj od nas chcecie?

- Nie widzę przeszkód. Otóż, mój przyjaciel nazywa się Kroners, ja zaś nazywam się Pfefferkorn. Mamy zamiar...

- Pfefferkorn? - wtrącił się przerywając przywódca. - Czy nie jest to czasem niemieckie nazwisko?

- Za waszym pozwoleniem tak w istocie jest.

- A więc niech was biorą diabli! Nie znoszę nawet woni tej hołoty.

- Zależy to jedynie od waszego nosa, który nie przywykł do przyjemniejszych zapachów, a jeśli mówicie o hołocie, oceniacie mnie chyba na własną miarę.

Jemmy nie mówił już tego żartobliwym tonem. Tamten gniewnie ściągnął brwi i ostro zapytał:

- Co przez to chcecie powiedzieć?

- Tylko prawdę i nic więcej.

- Za kogo nas uważacie?

Słucham!

Złapał za nóż zatknięty za pasem. Jemmy uczynił pogardliwy ruch ręką:

- Zostawcie wasz nóż w spokoju, sir! Tym nas nie przerazicie. Odnieśliście się do mnie po grubiańsku, dlatego nie możecie oczekiwać, że skropię was za to wodą kolońską. Nie jestem temu winien, że wam się nie podobam, i nie przyszło mi wcale na myśl, aby ku waszemu zadowoleniu tu na Dalekim Zachodzie wdziawać frak i rękawiczki. Tutaj nie liczy się ubiór, lecz człowiek! Odpowiedziałem na wasze pytanie i chcę się teraz dowiedzieć, kim wy jesteście.

Ton, jakim teraz mówił Gruby, wzbudzał respekt. Wprawdzie niektóre ręce sięgały jeszcze za pas, ale energiczne wystąpienie grubasa wywarło ten skutek, że przywódca wyjaśnił:

Nazywam się Brake, to wam wystarczy. Nazwisk ośmiu pozostałych i tak nie spamiętacie.

- Zapamiętać je, po co? Jeśli jednak macie na myśli, że nie muszę ich znać, to się z tym zgadzam. Wasze wystarczy mi w zupełności, gdyż ktokolwiek wam się przyjrzy, domyśli się od razu, kim może być cała reszta.

- Człowieku! To jest zniewaga!

- rzucił się Brake. - Chcecie, byśmy sięgnęli po broń?

- Tego wam nie radzę.

Dysponujemy dwudziestoma czterema pociskami i przynajmniej połowa z nich dostanie się wam, zanim zdążycie wycelować w nas swoje pukawki. Wcale nie jesteśmy nowicjuszami, za jakich nas uważacie. Jeśli chcecie to sprawdzić, nie mamy nic przeciwko temu.

Jemmy wyciągnął błyskawicznie dwa rewolwery. Także Długi Davy trzymał już broń w pogotowiu; kiedy Brake chciał podnieść z ziemi strzelbę. Jemmy ostrzegł go:

- Zostawcie tę strzelbę w spokoju. Jeśli jej tylko dotkniecie, nie ominie was moja kula. Takie jest prawo prerii. Kto szybszy, ten dyktuje prawo i zwycięża! Ludzie ci przy pojawieniu się Jemmiego i Daviego byli tak nieostrożni, że swoje strzelby pozostawili w trawie. A teraz już nie wolno im było po nie sięgnąć.

- .s death! - zaklął Brake. -

Zachowujecie się, jakbyście chcieli nas wszystkich pożreć!

- Nie przyszło nam to wcale do głowy, nie jesteście apetyczni. Chcemy się tylko dowiedzieć, co wam uczynił ten Indianin.

- Co was to obchodzi?

- Obchodzi, bo jeżeli bez powodu targnęliście się na niego, wtedy każdy niewinny biały narażony będzie na zemstę jego plemienia. A więc mówcie, dlaczego uwięziliście go!

- Bo tak nam się podobało. To czerwonoskóry drań i to nam wystarcza.

- Ta odpowiedź mówi sama za siebie. Wiemy teraz, że człowiek ten nie dał wam żadnego powodu, by go traktować jak wroga, ale ja sam go o to jeszcze zapytam.

- Jego pytać? - roześmiał się

Brake z ironią, a jego kompani zawtórowali mu. - On nie

rozumie po angielsku ani słowa. Mimo ciągów, jakie oberwał, nawet nie beknął.

- Biliście go? - zawołał

Jemmy. - Chyba postradaliście zmysły! Bić Indianina! Nie wiecie, że jest to zniewaga, która może zostać zmyta jedynie krwią?!

- Niech jej nam utoczy. Tylko ciekaw jestem, jak sobie z tym poradzi.

- Gdy tylko będzie wolny, to wam pokaże.

- Wolny to on już nigdy nie będzie.

- Chcecie go zatem zabić?

- Co z nim zrobimy, to was nie obchodzi, zrozumiano? Czerwonoskórych trzeba niszczyć, gdziekolwiek się ich napotka. Teraz znacie nasze postanowienie. Jeśli chcecie rozmawiać z tym łobuzem, zanim się stąd oddalicie, nie mam nic przeciwko temu. On was nie zrozumie, wy zaś obydwaj nie wyglądacie mi na profesorów indiańskich narzeczy. Z ciekawością przysłucham się tej rozmowie.

Jemmy wzruszył pogardliwie ramionami i podszedł do Indianina.

Czerwonoskóry leżał z na wpół przymkniętymi oczyma i nie zdradzał ani wzrokiem, ani miną, że przysłuchiwał się rozmowie. Był to młody chłopak, tak jak to przewidywał Gruby, nie liczył więcej niż osiemnaście lat. Miał ciemne, proste i długie włosy. Nic nie wskazywało, do jakiego należy plemienia. Nie miał pomalowanej twarzy, przedział na głowie nie był pofarbowany na żółto ani na czerwono. Miał legginy (obcisłe skórzane nogawki spodni sięgające do bioder i przypinane do pasa) i myśliwską koszulę uszyte ze skóry, jedno i drugie z frędzlami.

Nie było wśród nich widać

żadnego ludzkiego włosa -

oznaka, że młody człowiek nie

zabił dotąd żadnego wroga. Delikatne mokasyny zdobiła szczecina z jeżozwierza, tak jak to przedtem przypuszczał Jemmy. Na przeciwległym brzegu, gdzie jego koń zdążył się podnieść i z zadowoleniem chleptał wodę w strumyku, leżał długi nóż myśliwski. Obok siodła zwisał kołczan obciążony skórą grzechotnika oraz łuk wykonany z rogów górskiej owcy, który miał wartość dwóch albo trzech mustangów. Owo skromne uzbrojenie stanowiło namacalny dowód, że Indianin nie przybywał z wrogimi zamiarami.

Twarz miał w tym momencie zupełnie nieruchomą. Indiańska duma nie pozwalała zdradzać uczuć obcym, a tym bardziej wrogom. Delikatne rysy twarzy świadczyły o młodym wieku. Wprawdzie kości policzkowe miał nieco wysunięte, lecz nie naruszało to w najmniejszym stopniu pięknych proporcji jego rysów. Kiedy Jemmy podszedł do niego, chłopiec po raz pierwszy otworzył szeroko oczy. Czarne były jak dwa lśniące węgle i Jemmy wyczytał w nich przychyłność.

- Czy mój młody czerwony brat rozumie mowę białych twarzy? - zapytał Jemmy po angielsku.

- Tak - odparł zapytany. - A skąd mój starszy biały brat to wie?

- W twoim wzroku wyczytałem, że nas rozumiałeś.

- Słyszałem, że jesteś przyjacielem czerwonoskórych. Jestem twoim bratem.

- Mój młody brat może mi powiedzieć, czy ma przydomek?

Podobne pytanie zadane

starszemu Indianinowi byłoby dla
niego ciężką obrazą, gdyż ten,
kto nie posiada przydomka, nie
udowodnił jeszcze swojej odwagi
żadnym czynem i nie jest
zaliczany do wojowników. Z uwagi
na młody wiek jeńca Jemmy mógł
sobie pozwolić na zadanie tego

pytania. Mimo to młodzieniec odpowiedział:

- Czy mój dobry brat uważa, że jestem tchórzem?

- Nie, lecz widzę, że jesteś bardzo młody.

- To blade twarze nauczyły czerwonoskórych umierania za młodu. Niech mój brat rozchyli mi na piersi koszulę, aby się przekonać, że posiadam przydomek.

Jemmy pochylił się i sięgnął we wskazane miejsce. Wyjął stamtąd trzy zabarwione na czerwono orle pióra.

- Czy to możliwe? - zawołał. -

Nie jesteś chyba wodzem!

- Nie - uśmiechnął się chłopak. - Wolno mi nosić pióra mahsisza, gdyż nazywam się Wohkadeh.

Obydwa te słowa należały do narzecza Mandanów. Pierwsze oznaczało wojennego orła, a drugie - skórę białego bawołu. Ponieważ białe bawoły należą do szczególnej rzadkości, dlatego uбиcie tego zwierzęcia w niektórych plemionach znaczy więcej niż zwycięstwo nad kilkoma wrogami i uprawnia do noszenia piór orła wojennego. Ów młody Indianin zabił takiego właśnie bawołu i dlatego nadano mu przydomek Wohkadeh.

Nie było w tym nic szczególnego, lecz Davy i Jemmy dziwili się, że przydomek wywodził się z narzecza Mandanów. Plemię Mandanów uważane było za wymarłe, dlatego Mały zapytał:

- Do jakiego plemienia należy mój czerwony brat?

- Jestem Numangkaka i zarazem

Dakota.

Mandanowie nazywali siebie Numangkakami, natomiast Dakota stanowi określenie zbiorowe dla wszystkich plemion Siuksów.

- Zostałeś zatem adoptowany przez Dakotów?

- Jest właśnie tak, jak mówi mój biały brat. Bratem mojej matki był wielki wódz

Mah_to_toh_pah. Zdobył ten przydomek, zabijając cztery niedźwiedzie na raz. Biali ludzie przynieśli z sobą ospę. Zmarniało całe moje plemię poza nielicznymi, a i ci podążyli za przodkami do Krainy Wiecznych Łowów, gdy wojowali z Siuksami i zostali przez nich pobici. Mój ojciec, dzielny Wah_kih, został wtedy raniony i zmuszono go, by został synem Siuksów. Jestem zatem Dakotą, lecz serce moje pamięta o przodkach, których Wielki Wódz powołał do siebie.

- Siuksowie znajdują się z tamtej strony gór. Po co więc tu przybywasz?

- Wokkadeh nie przybywa z gór, które ma na myśli mój brat, lecz z wysokich gór na zachodzie, pewnemu młodemu białemu bratu miał przekazać ważną wiadomość.

- Ów biały brat mieszka tutaj w pobliżu.

- Tak. Ale skąd mój starszy biały brat wie o tym?

- Podążałem twoim śladem i widziałem, że poganiaś konia jak ktoś, kto znajduje się blisko celu.

- A więc dobrze myślałeś.

Wokkadeh byłby już u celu, ale napadły go te blade twarze. Koń był tak zmordowany, że nie mógł przeskoczyć przez tę wodę. I upadł. Wokkadeh znalazł się pod koniem i stracił przytomność. Gdy się zbudził, był związany rzemieniami... - i w narzeczu Siuksów dorzucił zgrzytając zębami: - To tchórze! Dziewięciu na jednego, z którego wymknęła się dusza! Gdybym mógł z nimi walczyć, ich skalpy należałyby teraz do mnie.

- Oni cię bili? - spytał Gruby w tym samym języku.

- Nie mów o tym, gdyż słowo to pachnie krwią! Niech tylko mój biały brat uwolni mnie z więzów, wtedy Wokkadeh postąpi z nimi jak mężczyzna.

Powiedział to z takim

przeświadczeniem, że Gruby Jemmy

śmiejąc się zapytał:

- Czyżbyś nie słyszał, że nie mogę im rozkazywać?

- O, mój biały brat nie obawia się nawet stu takich ludzi. Każdy z nich ma bowiem duszę wing_kan, starej kobiety.

- Tak uważasz? A skąd możesz wiedzieć, że ja się ich nie obawiam.

- Wokkadeh ma otwarte oczy i uszy. Często słyszał, jak mówiono o dwóch sławnych białych wojownikach, których zwał Davy_honskeh i Jemmy_petahczeh, i poznał ich po postawie i wypowiedzianych słowach. Mały myśliwy chciał mu odpowiedzieć, ale Brake przerwał:

- Dostyc! Takiej umowy między nami nie było! Pozwoliłem wam rozmawiać z tym łobuzem, lecz wyłącznie po angielsku. Waszej paplaniny nie mogę ścierpieć, muszę wiedzieć, czy nie knujecie czego przeciwko nam. Zresztą wystarczy, dowiedzieliśmy się, że Indianin mówi po angielsku. Nie jesteście już nam potrzebni i możecie sobie odejść tam, skąd przyszlście. A jeśli się to rychło nie stanie, to popędzimy wam kota!

Jemmy zerknął porozumiewawczo w stronę Daviego, ten zaś mrugnął ukradkiem, tak że nikt nie spostrzegł mrugnienia. Gruby w lot zrozumiał owo błyskawiczne drgnienie powieki. Przyjaciel zwracał jego uwagę na zarośla,

które znajdowały się w pobliżu. Jemmy rzucił w tamtą stronę krótkie, badawcze spojrzenie i spostrzegł, że pomiędzy gałęzi wyłaniają się tuż przy ziemi lufy dwóch dwururek. Leżało tam zatem dwóch mężczyzn z bronią gotową do strzału. Kim oni byli? Stronnikami czy też wrogami? Uspokoila go niefrasobliwość, jaką okazywał Davy. Odpowiedział więc:

- Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób chcecie nam popędzić kota. Nie mamy powodu, jak wy,

aby stąd zmiatać.

- Jak my? Przed kim to mamy zmykać?

- Przed tymi, do których jeszcze wczoraj należały te dwa konie.

Zrozumiano?

Mówiąc te słowa Jemmy wskazał na dwa gniade wałachy stojące blisko jeden przy drugim, które jakby wiedziały, że łączą je wspólny los.

- Co?! - krzyknął Brake. - Za kogo nas uważacie. - Jesteśmy uczciwymi poszukiwaczami złota, którzy udają się do Idaho, gdzie obecnie odkryto nowe złoża.

- A ponieważ zabrakło wam koni, dlatego staliście się równie uczciwymi koniokradami. Nas nie wyprowadzicie w pole.

- Jeszcze jedno takie słowo i zginię z mojej ręki. Wszystkie te konie kupiliśmy, uczciwie za nie płacąc.

- Gdzie, jeśli wolno wiedzieć, mój uczciwy mister Brake?

- Jeszcze w Omaha.

- Tak... Stamtąd zabraliście jednocześnie zapas czernidła do kopyt?

Dlaczego te dwa gniadosze wyglądają tak świeżo, jakby dopiero wyszły z okólnika? Dlaczego mają poczernione kopyta, podczas gdy wasze szkapy są takie nędzne i biegają w zaniedbanych kapciach? Mówię wam, że te gniadosze jeszcze wczoraj miały innego pana i że kradzież koni karana jest tu na Zachodzie piękną śmiercią, bo stryczkiem.

- Kłamca! Oszczyca! - warknął

Brake schylając się po swoją strzelbę.

- On ma niestety rację! - odezwał się głos pomiędzy zarośli. - Jesteście nędznymi koniokradami i otrzymacie swoją zapłatę. Zastrzelimy ich, Martin!

- Nie strzelajcie! - zawołał

Długi Davy.

- Kolbami ich! Nie są warci kuli.

Zamierzył się odwróconą

strzelbą i Brake otrzymał cios,

pod którym zwał się nieprzytomny na ziemię. Z zarośli wyskoczyły dwie postacie, krępy chłopiec i mężczyzna. Ze wzniesionymi do góry strzelbami rzucili się na rzekomych poszukiwaczy złota.

Jemmy pochylił się i dwoma szybkimi cięciami przeciął więzy Wohkadeha. Indianin zerwał się, doskoczył do jednego z wrogów, chwycił go za kark, powalił i przerzucił przez wodę, tam gdzie spoczywał jego nóż. Żaden człowiek nie przypisałby mu takiej siły. Skoczyć za białym, prawicą uchwycić nóż, ukłęknać na wrogu, lewicą natomiast ująć czuprynę - stanowiło dzieło sekundy.

- Na pomoc! Na pomoc! Litości!

Na pomoc! - wrzeszczał biały w śmiertelnym przerażeniu.

Wohkadeh uniósł nóż do zadania śmiertelnego ciosu. Błyskającym wzrokiem spojrzał na wykrzywioną ze zgrozy twarz wroga... i ręka z nożem opadła.

- Boisz się? - zapytał.

- Tak! Łaski, łaski!

- Powiedz, że jesteś psem!

- Chętnie, bardzo chętnie, jestem psem!

- A więc na swoją hańbę pozostań przy życiu! Indianin umiera odważnie i bez skargi, ty natomiast skomlisz o litość. Wohkadeh nie może nosić skalpusa. Biłeś mnie, dlatego do mnie powinna należeć skóra z twojej głowy. Lecz prawdziwy pies nie może obrazić czerwonoskórego. Uciekaj! Wohkadeh brzydzi się tobą!

Dał mu kopniaka. W następnej chwili już go nie było.

Wszystko to stało się o wiele szybciej, niż można opowiedzieć. Brake leżał na ziemi, trzech inni obok niego. Pozostali porzucając broń, bezzwłocznie wzięli nogi za pas. Konie pobiegły za nimi.

Jedynie gniadosze pozostały na miejscu i pocierały łbami o ramiona obu przybyłych, którzy

tak nieoczekiwanie zjawili się z pomocą.

Chłopiec mógł liczyć około szesnastu lat, lecz rozwinięty był ponad swój wiek. Jasna karnacja twarzy, blond włosy i szaroniebieskie oczy zdradzały germańskie

pochodzenie. Głowę miał odkrytą, a na sobie odzież z błękitnego lnu. Za pasem zatknął nóż z rękojeścią rzadkiej indiańskiej roboty, a dwulufowa strzelba, którą trzymał w dłoni, zdawała się dla niego zbyt ciężka. Policzki mu się w walce zarumieniły, lecz zachowywał się tak spokojnie, jak gdyby działo się coś, z czym stykał się na co dzień. Kto go teraz obserwował, musiał uznać, iż takie popisy nie są dla niego rzadkością.

Osobliwy widok stanowił jego towarzysz, niski, szczupły mężczyzna z wygoloną twarzą. W indiańskim obuwiu, skórzanych spodniach i granatowym fraku z wysokimi butami, wyłogami i wyczyszczonymi na połysk mosiężnymi guzami. Ta część garderoby pochodziła jeszcze z czasów pradziadów. Wytwarzano bowiem wówczas sukno, które zdawało się przeznaczone na wieczność. Oczywiście, że frak był wypłowiały i skwapliwie odświeżano jego szwy atramentem, ale nie nosił on nawet śladu przetarcia. Podobnie stare części garderoby spotyka się na Dalekim Zachodzie bardzo często.

Na głowie miał ów człowieczek
olbrzymi czarny kapelusz,
przyozdobiony dużym, żółtego
koloru, wcale nie oryginalnym
strusim piórem. Okaz ów należał
w każdym razie przed laty do
jakiejś lady Wschodu i
zrządzeniem kapryśnego losu
zabłąkał się aż na Daleki
Zachód. Ponieważ szerokie rondo
dobrze chroniło przed słońcem i
deszczem, obecny jego posiadacz
bez zastanowienia przeznaczył go
do tej roli. Uzbrojeniem owego
człowieka był jedynie sztucer i

nóż. Nie miał nawet pasa, wyraźna oznaka, że nie wybierał się na odległe polowanie. Chodził po miniaturowym polu bitwy oglądając kilka przedmiotów, które porzucili w pośpiechu pokonani. Można było zauważyć, że utykał na lewą nogę. Wohkadeh był pierwszy, któremu to podpadło. Podeszedł do niego i kładąc mu dłoń na ramieniu spytał:

- Czy mój biały brat nie jest przypadkiem myśliwym, którego blade twarze nazywają Hobble Frank?

Człowieczek skinął głową nieco zaskoczony i potwierdził przypuszczenie po angielsku. Wtedy Indianin wskazał na białego chłopca i kontynuował pytania.

- A to Martin Baumann, syn słynnego Mato_poka?

Mat_poka stanowi połączenie narzecza Siuksów i Utahów i oznacza pogromcę niedźwiedzi.

- Tak - potwierdził zapytany.

- Jesteście zatem tymi, których szukam.

- Szukałeś nas? Chciałeś może coś kupić? Prowadzimy sklep i możesz dostać u nas wszystko, co jest niezbędne myśliwemu.

- Nie to. Wohkadeh ma wam przekazać wiadomość.

- Od kogo?

Indianin rzucił dokoła badawcze spojrzenie i wyjaśnił:

- To nie jest miejsce po temu.

Wasza wigwam znajduje się chyba niedaleko stąd nad tą wodą?

- Możemy tam być za godzinę.

- A więc jedźmy tam! Kiedy zasiądziemy przy ogniu, przekażę wam to, co mam do powiedzenia. Chodźmy!

Przeskoczył przez wodę, przyprowadził konia, który miał go jeszcze dźwigać na tym krótkim odcinku, wskoczył nań i odjechał, nie oglądając się, czy pozostali również podążają za nim.

- Migiem nas załatwił -

stwierdził Hobble Frank.

- Miał może wygłosić do was przemówienie dłuższe i cieńsze niż ja sam? - śmiał się Długi Davy. - Taki czerwonoskóry dokładnie wie, co robi, i radzę wam, byście za nim podążali.

- A wy?... Co poczniecie?

- Pojedziemy z wami. Jeżeli wasz pałac jest tak blisko, nikczemną nieuprzejmością byłoby z waszej strony nie zaprosić nas na jeden łyk i dwa kęsy. A ponieważ macie w dodatku kram, możemy wam przysporzyć kilku dolarów.

- Posiadacie dolary? Hm, hm...

- powątpiewał człowieczek w tonacji, z której wynikało, że nie uważał obu myśliwych za milionerów.

- Będzie to was obchodziło dopiero wtedy, kiedy zechcemy kupować. Zrozumiano?

- Oczywiście! Ale jeśli teraz się oddalimy, co stanie się z tymi łajdakami, którzy ukradli nam konie? Czy Brake, ich przywódca, nie zasłużył przynajmniej na pamiątkę, która by mu o nas przypominała?

- Pozwólcie im czmychnąć! To nędzni złodzieje, pierzchający na widok noża. I dyshonorem byłoby, gdybyście się nimi jeszcze dłużej zajmowali. Odzyskaliście konie, a zatem basta!

- Trzeba mu było jeszcze lepiej przyłożyć. Łajdak stracił jedynie przytomność.

- Nie miałem innego zamiaru.

To nieprzyjemne uczucie zabić człowieka, kiedy można go unieszkodliwić w inny sposób.

- Może i macie rację. Chodźmy zatem do waszych koni!

- Co słyszę? Wiecie, gdzie znajdują się nasze konie?

- Oczywiście. Bylibyśmy złymi westmanami, nie spenetrowawszy okolicy, zanim zdradziliśmy się z naszą obecnością.

Szczupły dosiadł jedno z

odzyskanych zwierząt. Jego młody

towarzysz wskoczył na drugie. Obaj podążali dokładnie ku miejscu, w którym Jemmy i Davy ukryli w krzakach swoje konie. Opodal były przywiązane ich własne, na których podążali śladem złodziei, a teraz prowadzili je za cugle. Zaraz też udali się całą czwórka za Indianinem, którego wkrótce znów spostrzegli, lecz ten nie przypuszczał ich do siebie, lecz wciąż jechał przed nimi, jak gdyby doskonale znał kierunek, który obrał dla osiągnięcia celu.

Hobble Frank trzymał się u boku Grubego Jemmięgo, który chyba przypadł mu do gustu.

- Czy zechcecie mi powiedzieć, sir, czego właściwie szukacie w tej okolicy?

- Chcieliśmy się udać nieco wyżej, do Montany, gdzie poluje się o wiele lepiej aniżeli z tej tutaj strony. Tam można jeszcze spotkać roztropnych traperów i stepowych wilków, którzy polują dla samej przyjemności. Tutaj po prostu morduje się zwierzynę. Amatorzy wszelkiej maści szaleją zabijając tysiącami bawoły jedynie dlatego, że ich skóry nadają się leżniej na pasy transmisyjne od zwyczajnej skóry wołowej. To grzech i skandal! Nieprawda?

- Macie rację, sir. Dawniej było zupełnie inaczej. Myśliwy stawał uczciwie naprzeciw zwierzyny, aby zdobyć z narażeniem życia potrzebne mięso. Teraz polowanie stało się nikczemnym mordowaniem z zasadzki, a myśliwi o starych zasadach stopniowo wymierają. Ludzi takich jak wy dwaj spotyka się teraz rzadko. Nie przypuszczam oczywiście, byście mieli dużo pieniędzy, ale nazwiska wasze cieszą się rozgłosem. Trzeba to sprawiedliwie przyznać.

- Znacie nasze nazwiska?

- Myślę, że tak.

- Skąd?

- Wymienił je ów Wohkadeh, kiedy z Martinem leżałem w zaroślach podsłuchując. Właściwie to wcale nie macie postawy prawdziwego wesmana. Wasze biodra wyglądają raczej na biodra młynarza albo majstra piekarskiego w starej Germanii. Ale...

- Co słyszę? - przerwał mu

Gruby. - Mówicie o Niemczech.

Czy może znacie ten kraj?

- A jakże!

- Ja też.

- Naprawdę? - spytał Frank, zatrzymując przy tym konia. - Właściwie powinienem tak od razu pomyśleć. Nie ma chyba jankesa o takich rozmiarach jak wasze. Ale cieszę się niezmiernie, spotykając rodaka. Podajmy sobie dłoń! Witam was serdecznie!

Uścisnęli sobie dłonie, aż obu zabolalo. Gruby zwrócił mu jednak uwagę:

- Ruszcie jednak waszym koniem! Nie musimy z tego powodu tutaj stać. Jak długo przebywacie w Stanach?

- Ponad dziesięć lat.

- Zapomnieliście chyba mówić po niemiecku?

Obaj mówili dotąd po angielsku. W odpowiedzi na ostatnie pytanie Frank wyprostowała swoją drobną postać, aby okazała się możliwie wysoka w siodle, i urażony odparł:

- Ja miałbym zapomnieć mojej mowy? Żle pan trafił! Wie pan może, gdzie stała moja kołyska?

- Nie. Nie było mnie przy niej.

- Tylko i jedynie w Saksonii!

Rozumie pan? Rozmawiałem z jednym Niemcem, ale z nikim nie rozumieliśmy się tak dobrze jak z tymi, którzy również urodzili się w Saksonii. Saksonia to serce Niemiec. Wspaniałe jest Drezno, Łaba, Lipsk i Saksońska Szwajcaria. Najpiękniejszą okolicą jest trasa pomiędzy Pirną i Miśnią, i mniej więcej

po między tymi dwoma miastami ujrzałem światło tego świata. A następnie dokładnie w tej samej okolicy zaczynałem swoją życiową karierę. Zostałem mianowicie pomocnikiem leśnika w Mortisburgu, będącym królewską rezydencją myśliwską ze słynną galerią obrazów i dużymi stawami hodowlanymi. Moim najlepszym przyjacielem był tamtejszy bakałarz, z którym we wszystkie wieczory grałem w sześćdziesiąt sześć, a potem rozmawiałem o sztuce i nauce. W taki oto sposób przyswoiłem sobie ogólne wykształcenie. Może pan powątpiewa? Robi pan taką zaciętą minę!

- Nie chcę się o to sprzeczać, mimo że byłem gimnazjalistą i deklinowałem w szkole.

Mały rzucił Jemmiemu z ukosa przebiegłe spojrzenie i zapytał:

- Deklinować? Chyba się pan przejęzyczył?

- Niby dlaczego?

- Hm, to i z tym pańskim gimnazjum nie bardzo wychodzi. Nie mówi się deklinować, lecz deklamować. Być może deklamował pan „Kłatwę śpiewaka” Hufelanda albo „Wolnego strzelca” pani Marii Leinweber, ale nie będziemy chyba z tego powodu wrogami? Każdy nauczył się tyle, ile mógł, nic nadto, gdy zaś zobaczą Niemca, choćby Saksończyka, cieszą się, nawet jeśli nie jest on najrozsądniejszy. A zatem? Zostaniemy przyjaciółmi?

- Oczywiście! - zaśmiał się

Gruby. - Słyszałem, że Saksończycy są najprzyjemniejszymi ludźmi, ale dlaczego opuścił pan swoje piękne rodzinne strony?

- Właśnie z powodu sztuki i nauki.

- Nie rozumiem!

- Stało się to całkiem nagle i następująco: rozmawialiśmy wieczorem w gospodzie o polityce i historii powszechnej.

Siedzieliśmy przy stole,

parobek, stróż nocny i ja. Bakałarz siedział przy innym stole w lepszym towarzystwie. Ponieważ sam jestem przystępnym człowiekiem, przysiadłem do tych dwóch, byli zadowoleni z powodu mojej protekcjonalności. Będąc przy historii powszechnej, doszliśmy do starego Wrangla, i mówiliśmy, że słowo „mehrschtentels”, „przeważnie”, tak mu się spodobało, że eksponował je przy każdej okazji. Wtedy to oba chłopaki zaczęły się ze mną sprzeczać o prawidłową

wymowę tego słowa. Każdy miał na ten temat inny pogląd. Byłem zdania, że należy mówić: „mehrschtenteils”, zaś stróż nocny mówił „meistentels”.

W sporze tym zaciętrzewiałem się coraz bardziej, ale jako wykształcony urzędnik i obywatel opanowałem się i zwróciłem się do mojego przyjaciela bakałarza, ale albo nie dopisywał mu humor, albo ogarnęła go naukowa pyszałkowatość, gdyż nawet jednym słowem nie przyznał mi racji i powiedział, że wszyscy trzej jesteśmy w błędzie. Uważał on, iż w słowie „mehrschtenteils” muszą występować dwa „ei”. Ponieważ jednak byłem absolutnie pewny swojej racji, stałem się nieprzyjemny, a kiedy stróż nocny zarzucił mi jeszcze, że nie potrafię poprawnie mówić, uczyniłem to, co człowiek honoru w takim przypadku czyni: rzuciłem mu na głowę moją urazę wraz z kuflem piwa. W tym momencie rozegrały się oczywiście różne sceny przy otwartej kurtynie, a rezultat ich był taki, że z powodu naruszenia spokoju publicznego i rzekomego naruszenia ciała zostałem postawiony w stan oskarżenia. Miałem ponieść karę i zostać zdymisjonowany. Mogłem pogodzić się z karą i dymisją, ale to że miałem utracić także posadę, było już zbyt wiele. Nie

mogłem tego przeboleć. Zaraz po wyznaczeniu kary i dymisji dałem drapaką. A ponieważ wszystko, co robię, robię porządnie, wyjechałem zaraz do Ameryki. A zatem właściwie to stary Wrangel ponosi winę za to, że spotkał mnie pan dzisiaj tutaj.

- Jestem mu za to bardzo wdzięczny, gdyż przypadł mi pan do gustu - zapewniał Gruby, skinąwszy przyjaźnie krajanowi.

- Tak? Czy to prawda? Również i ja poczułem do pana od razu sympatię i ma to oczywiście określony powód. Po pierwsze, nie jest pan złym chłopakiem, a po drugie, również i ja jestem taki sam, możemy zatem, po trzecie, zostać przyjaciółmi. Wyświadczyliśmy sobie pomoc, zatem istnieją już więzy, które łączą nas przyjaźnią. Z pewnością był pan łaskaw spostrzec, że wysławiam się zawsze w wyszukanej formie, co pozwoli panu wnioskować, iż godnie przyjmuję uczucia pańskiej sympatii. Saksończyk jest zawsze szlachetny i gdyby jakiś Indianin zamierzał mnie dziś oskalpować, powiedziałbym mu uprzejmie: „Proszę, niech pan nie zadaje sobie trudu! Oto mój skalp!” Jemmy zauważył ze śmiechem:

- Gdyby i on zechciał się okazać równie uprzejmy, wtedy musiałby pozostawić skórę na pańskiej głowie. Ale mówmy teraz o czymś innym, czy pański towarzysz jest rzeczywiście synem znanego łowcy niedźwiedzi Baumanna?

- Owszem. Baumann jest moim współnikiem, a jego syn Martin nazywa mnie swoim stryjem, mimo że jestem jedynym dzieckiem moich rodziców. Spotkaliśmy się na dole w St. Louis, wtedy gdy gorączka złota ściągała kopaczy do Czarnych Gór. Obaj zaoszczędziliśmy okrągłe sumki i postanowiliśmy założyć tu na górze sklep. Było to w każdym

razie dogodniejsze niż kopanie złota. Interes nam się powiódł. Ja zajmowałem się sklepem, zaś Baumann chodził na polowanie, aby było co włożyć do dzioba. Potem jednak okazało się, że nie ma tu złota. Poszukiwacze powędrowali dalej, my zaś zostaliśmy sami z naszymi zapasami. Z wolna zbywaliśmy je myśliwym, którzy trafiali tutaj przypadkiem. Ostatnią transakcję załatwiliśmy przed dwoma tygodniami. Odszukała nas niewielka gromadka ludzi, która chciała zatrudnić Baumanna jako przewodnika do Yellowstone River. Podobno znajdują się tam duże ilości półszlachetnych kamieni, a ludzie ci byli szlifierzami. Baumann zgodził się towarzyszyć im, uzgodnił godziwe wynagrodzenie, sprzedał im znaczną ilość prochu i ołowiu oraz innych niezbędnych rzeczy i poszedł z nimi. Pozostałem w blokhauzie tylko z jego synem i z Murzynem, którego zabraliśmy z St. Louis.

- A teren Yellowstone River jest najbardziej niebezpieczną okolicą. Uganiają teraz na tym szlaku Indianie spod znaku Węża.
- Zakopali przecież swój wojenny topór...
- Ja zaś słyszałem, że mieli go w ostatnim czasie znów wykopać. Pański przyjaciel znajduje się z całą pewnością w niebezpieczeństwie, a w dodatku ten posłaniec, który dzisiaj do pana zmierza... Nic dobrego to nie wróży.
- Indianin ten jest Siuksem.
- Ale zwleka z wyjawieniem swego posłania. Nie jest to dobry znak. Z pomyślną wiadomością się nie zwleka. Powiedział mi także, iż przybywa z wysokich gór na Zachodzie.
- Pojadę do niego.

Mały Saksończyk spiął konia,
aby dogonić Wohkadeha. Gdy
tylko ten to spostrzegł, uderzył
piętami konia i pośpieszył do

przodu. Hobble Frank nie chciał się ścigać, musiał więc zrezygnować z rozmowy z Indianinem.

Do Daviego zbliżył się teraz syn Łowcy Niedźwiedzi. Daviemu również odpowiadało, że dowie się czegoś o warunkach, w jakich żyją jego nowi znajomi. I zaczerpnął wiadomości, lecz nie aż tak wyczerpujących, jak to sobie obiecywał. Chłopiec był bardzo powściągliwy i odpowiadał półsłówkami.

Strumyk tworzył zakole wokół wzgórka, na którym zbliżający się jeźdźcy spostrzegli warowną chatę, położenie czyniło z niej mały fort tworzący bezpieczną ochronę przed napaścią Indian.

Owo wzgórze było z trzech stron tak strome, że z trudem można było się na nie wspinać. Czwarta strona otoczona była podwójnym ogrodzeniem. U dołu rozpościerało się pole kukurydzy i skrawek gruntu z uprawą tytoniu. W pobliżu pasły się dwa konie. Martin wskazał na zwierzęta wyjaśniając:

- Stamtąd ukradli nam ci ludzie konie, kiedy nie było nas w domu. Ale gdzie Bob, nasz Murzyn?

Włożył dwa palce w usta i przeraźliwie gwizdnął. Ponad wysoką kukurydzą wyłoniła się czarna głowa. Pomiedzy szerokimi, grubymi wargami widać było dwa rzędy zębów, z których nawet jaguar mógłby być dumny. Potem ukazała się postać Murzyna o herkulesowych kształtach. W dłoni trzymał on ciężką, grubą kłodę i szczerząc zęby rzekł:

- Bob schować się i uważać.

Kiedy wrócili złodzieje chcąc ukraść dwa dalsze konie, Bob strzaskać im kijem głowy.

Odrzucił głowę, jakby to była witka.
Indianin nie zainteresował się
nim. Przejechał obok niego
dostępnym zboczem w górę ku
ogrodzeniu, zeskoczył przez nie

z końskiego grzbietu i zniknął.

- Jaki to prostak być ten czerwonoskóry! - gniewał się Murzyn. - Mijać nas ser Bob i nie mówić: good day! Skakać przez ogrodzenie i nie czekać, aż massa Martin pozwoli mu wejść. Mas ser Bob nauczyć go uprzejmości! Pocziwiec sam siebie nazywa masser Bob, tworząc zlepek ze słów mister i Herr Robert. Był to Murzyn wolny i poczuł się urażony, że Indianin go nie pozdrowił.

- Nie wolno ci go obrażać - przestrzegał go Martin. - To nasz przyjaciel.

- To co innego. Gdy czerwonoskóry być przyjacielem massa Martin, to jest on również przyjacielem masser Boba. Massa odebrać konie? Zabić złodziei?

- Nie, uciekli. Otwórz wrota!

Bob wyprzedził ich długimi krokami i rozsunał obie części ciężkich wrót, jakby były one wycinanką z papieru. Wjechali na ogrodzone podwórze.

3. W Blokhauzie

Na środku placyku wznosiła się czworokątna chata, zbudowana z walcowanych pni drzewnych z otwartymi drzwiami. Kiedy mężczyźni weszli do niej, ujrzeli Indianina siedzącego na środku jedyne go pomieszczenia tworzącego wnętrze chaty. Zdawać się mogło, że zupełnie się nie interesuje swym koniem, który znalazł się wraz z innymi w okólniku.

Martin i Hobble Frank powitali teraz obu myśliwych serdecznym uściskiem dłoni. Goście rozglądali się po pomieszczeniu.

W tylnej jego części znajdował się skład, którego zapasy były na wyczerpaniu. Kilka wiek po skrzyniach przybitych do słupków tworzyło stoły. Podobnie zbito zydle. W jednym z kątów urządzono legowiska, tak cenne,

że można ich było pozazdrościć mieszkańcom blokhauzu, składały się na nie rzucone jedna na drugą skóry straszego szarego niedźwiedzia, będącego najbardziej niebezpiecznym drapieżnikiem Ameryki. Kiedy wyrosnięty grizzli stanął na tylnych łapach, przewyższał o pół metra mężczyznę niemałego wzrostu. Powalenie takiego niedźwiedzia Indianie uważają za największy wyczyn, zaś znacznie lepiej uzbrojony biały człowiek woli takiemu zwierzęciu schodzić z drogi, o ile konieczność nie zmusi go do podjęcia z nim walki.

Różnoraka broń oraz myśliwskie trofea wisiały na ścianach, zaś w pobliżu kominka zwisały na drewnianych kołkach połacie wędzonego mięsa.

Nastał wieczór, a ponieważ brząsk przedostawał się słabo przez małe, pozbawione szkła, a wyposażone jedynie w okiennice otwory, w chacie było stosunkowo ciemno.

- Masser Bob rozpalic ogień - oznajmił Murzyn.

Przyniósł naręcze suchego chrustu i przy pomocy preriowej zapalniczki rozpalil ogień pod paleniskiem. Zapalniczkę ową stanowiło suche, słabo świecące próchno, dobywane z czeluści zgniłych drzew.

Podczas wspomnianego zajęcia

olbrzymią postać Murzyna
oświetlał jaskrawo płomień. Miał
on na sobie obszerne ubranie z
najbardziej lichego płótna i
gołą głowę. Poczciwy Bob był
odrobinę zarozumiały. Nie chciał
uchodzić za Afrykanina. Głowę
jego zdobił gęsty las krótkich,
kędzierzawych loków, a ponieważ
owa wełna zdradzała w sposób
najbardziej przekonujący
jego pochodzenie, zadał sobie
ogromny trud, aby wyprostować
swoje włosy. Dlatego smarował
głowę jelenim łojem i zaplatał
niesforny gąszcz w niezliczone
warkoczyki, które odstawały od

głowy we wszystkich kierunkach niby kolce jeża. Blask ognia sprawił, iż widok ten był wręcz dziwaczny.

Jak dotąd zamieniono tylko kilka słów. Hobbles Frank odezwał się teraz do Indianina po angielsku:

- Mój czerwonoskóry brat znajduje się w naszym domu. Witamy go serdecznie i czekamy na wieści, jakie nam przynosi.

Czerwonoskóry rzucił wokół siebie badawcze spojrzenie i spytał:

- Jak ma Wohkadeh mówić, gdy jeszcze nie posmakował dymu z fajki pokoju?

Wtedy to Martin, syn Łowcy Niedźwiedzi, zdjął ze ściany indiańską fajkę i napełnił ją tytoniem. Gdy pozostali usiedli w pobliżu czerwonoskórego, zapalił on tytoń, zaciągnął się sześć razy, wypuścił dym w górę, w dół i na wszystkie cztery strony świata i rzekł:

- Wohkadeh jest naszym druhem, a my jego braćmi. Niech wypali on z nami fajkę pokoju, a potem obwieści nowinę.

Po tych słowach podał fajkę Indianinowi. Ten wziął ją do ręki, powstał, zaciągnął się również sześć razy i powiedział:

- Wohkadeh nigdy jeszcze nie widział tych bladych twarzy. Został on do nich wysłany, oni zaś uwolnili go z niewoli. Ich wrogowie są jego wrogami, a moi przyjaciele niech zostaną waszymi przyjaciółmi. Howgh!

Owo „howgh” oznacza u Indian tyle co: tak, tak jest, z całą pewnością. Używają go jako potwierdzenie albo zgodę, szczególnie przy pauzach albo na zakończenie wypowiedzi.

Wohkadeh podał fajkę dalej.

Podczas gdy krążyła ona,
ponownie usiadł i czekał. Przy
słowach powitania zachowywał się
jak stary, doświadczony wódz;
również Martin, który był
jeszcze na wpół chłopcem,

okazywał powagę, którą dawał odczuć, że podczas nieobecności ojca on jest gospodarzem domu.

Gdy z siedzących odłożył fajkę, Wohkadeh zaczął mówić:

- Czy moi biali bracia znają bladą twarz zwaną przez Siuksów
Nonpeh_tahan?

- Masz na myśli Old

Shatterhanda? - zapytał Długi Davy. - Jeszcze go nie widziałem, lecz słyszał o nim każdy z was. Co się z nim dzieje?

- Kocha on czerwonoskórych, mimo że sam jest bladą twarzą. Jest on najsławniejszym tropicielem śladów. Jego kula nigdy nie chybia celu, zaś gołą pięścią powali on najsilniejszego wroga. Dlatego wrogów, rani ich jedynie, aby uczynić niezdolnymi do walki, i zabija przeciwnika wyłącznie, gdy chodzi o jego własne życie. Przed wieloma miesiącami napadli go Siuksowie_Oglala w górze rzeki Yellowstone. Ponieważ stał na skale, nie mogli go dosięgnąć kulami. Zaproponował wtedy podjęcie walki z trójką z nich, oni z tomahawkami, on zaś bez broni. I zabił wszystkich trzech pięścią, a wśród nich Pethaszitszę, najsilniejszego człowieka szczepu. Wielki lament rozbrzmiewał w górach i żalność zapanowała w wigwamach Oglalajów. Nie ucichły one do dzisiaj. Najdzielniejsi wojownicy szczepu udali się nad Yellowstone River, aby śpiewać żałobne pienia przy grobach trzech zabitych. Biały człowiek, który natknął się na nich podczas takiego pochodu, jest zgubiony. Zostanie on na grobach czerwonoskórych zabitych przez Old Shatterhanda przywiązany do pala męczarni i będzie powoli konał w mękach, po to, by dusza jego usługiwała duchom owych trzech wojowników na Polach Wiecznych Łowów. Wohkadeh zrobił przerwę i

powiedział potem spokojnie ściszone głosem:

- Łowca Niedźwiedzi wraz z towarzyszami został przez nich zaskoczony podczas snu i pojmany!

Martin zeskoczył ze swego siedzenia i zawołał:

- Bob, osiodłaj natychmiast konie! Frank, spakuj szybko amunicję i prowiant, ja w tym czasie naoliwię strzelby i naostrzę noże! Najpóźniej za godzinę wyruszymy w kierunku Yellowstone!

- Ma się rozumieć! - zawołał

Frank, podnosząc się śpiesznie.

- The devil, oby czerwonoskórym nie wyszło to na złe!

Podniósł się również Murzyn, sięgnął po kłodę, którą wcześniej z sobą przyniósł, i powiedział:

- Masser Bob też pójść! Masser

Bob zabić wszystkie czerwone psy Oglalajów!

Indianin podniósł w górę dłoń i rzekł:

- Czy moi biali bracia to komary latające w gniewie, gdy je podrażnić? Czy też są mężczyznami, którzy wiedzą, że spokojna narada musi wyprzedzać działanie? Wohkadeh do końca się jeszcze nie wypowiedział.

- Ojciec mój znajduje się w niebezpieczeństwie, to wystarcza! - oburzył się młodzian.

Gruby Jemmy ostrzegł:

- Uspokój się, mój młody przyjacielu! co nagle, to po diable. Pozwólmy Wohkadehowi mówić, zanim coś uradzimy!

- Uradzimy? Chcecie zatem jechać z nami?

- To nie podlega dyskusji.

Wspólnie wypaliliśmy fajkę
stając się przyjaciółmi i
braćmi. Długi Davy i Gruby Jemmy
nie opuścili nikogo, kto
potrzebuje ich pomocy. Czy
pojedziemy obaj do Montany, by
polować tam na bawoły, czy
przedtem odbijemy w kierunku

Yellowstone, aby zatańczyć z Siuksami walczyka, jest nam obojętne. Ale wszystko musi się odbywać w należyтым porządku, inaczej nam, starym myśliwym, za jakich się uważamy, nie sprawiłoby to faktycznie przyjemności. Siadajcie zatem, bo tak wypada.

- Słusznie - przyklasną mały

Saksończyk.

- Emocja nie pomaga w żadnej sytuacji. Musimy być rozważni.

Gdy cała trójka usiadła znów na swych miejscach, młody Indianin ciągnął dalej:

- Wohkadeh jest Mandaną, a

Mandanowie są przyjaciółmi bladych twarzy. Potem zmuszono go, aby został Oglalą. Lecz Wohkadeh czekał na okazję, aby opuścić Oglalajów. Musiał teraz wraz z ich wojownikami udać się nad Yellowstone. Wohkadeh był przy tym, kiedy napadnięto nocą we śnie Łowcą Niedźwiedzi i jego towarzyszy. Podczas tej wyprawy Oglalajowie musieli zachować ostrożność, gdyż tam, w górach mieszkają Szoszonowie będący dla nich najbardziej zaciekłymi wrogami. Wohkadeha wysłano jako zwiadowcę, aby wysledził wigwamy Szoszonów. Zamiast tego Wohkadeh w największym pośpiechu udał się na wschód do chaty Łowcy Niedźwiedzi, aby zanieść wiadomość o jego losie jego synowi oraz jego przyjacielowi.

- To wspaniałe, nigdy ci tego nie zapomnę! - zawołał Martin. - Czy mój ojciec o tym wie?

- Wohkadeh mu o tym powiedział i kazał sobie opisać drogę. Wohkadeh rozmawiał z Łowcą Niedźwiedzi w takiej tajemnicy, iż nikt z Oglalajów tego nie spostrzegł.

- Lecz domyślą się, jeśli do nich nie powrócisz!

- Nie. Będą myśleli, że Wohkadeha zabili Szoszonowie.
- Czy mój ojciec przekazał dla nas jakieś wskazówki?
- Nie. Wohkadeh miał wam

powiedzieć, że został on pojmany wraz z towarzyszami. Teraz mój młody biały brat sam będzie wiedział, co czynić.

- Oczywiście, że wiem!

Wyruszę, i to zaraz, aby uwolnić ojca.

Chciał się powtórnie zerwać, lecz Jemmy chwycił go za ramię powstrzymując.

- Stop, my boy! Nie dowiedzieliśmy się jeszcze wszystkiego. Dajmy powiedzieć Wohkadehowi, w którym miejscu waszego ojca napadnięto. Indianin informował:

- Woda, którą blade twarze nazywają Powder, powstaje z pięciorga ramion. Stało się to nad południowo_zachodnim dopływem.

- Rozumiem. Było to zatem na południowy zachód od Murphy. Okolice ta nie jest mi tak zupełnie nie znana. A w jakim kierunku podążyli potem Oglalajowie?

- Ku południowym krańcom gór, które biali nazywają Big Horn.

- A dalej?

- Minęli Wierzchołek Złotego

Ducha...

- Aha, Devils Head!

- ...i podążyli ku wodzie, która tam wytryska i łączy się z rzeką Big Horn.

Tam słyszeliśmy o wrogich Szoszonach i Wohkadeh został wysłany jako zwiadowca. Wohkadeh nie wie zatem, dokąd podążyli Oglalajowie.

- Nie jest to wcale konieczne.

Mamy przecież oczy i znajdziemy ich ślad. Kiedy zdarzyła się owa napaść?

- Uplęły od tego momentu cztery dni.

- Ojej! A kiedy ma się odbyć uroczystość ku czci zmarłych?

- Kiedy przypadnie pełnia miesiąca. To jest w dniu, w jakim ongiś zginęli ci trzej.

Jemmy liczył w myślach i zauważył:

- Jeżeli tak, to mamy jeszcze dosyć czasu. Uplynie jeszcze

dwanaście dób do pełni. Ile ludzi liczą Oglalajowie?

- Kiedy ich opuszczałem, było ich pięć razy dziesięć i jeszcze sześciu.

- A więc pięćdziesięciu sześciu wojowników. Ilu mają jeńców?

- Z Łowcą Niedźwiedzi jest ich sześciu.

- Jak na początek wiemy dostatecznie wiele i możemy się przygotować do drogi. Co zamierzasz zrobić, Martinie?

Młody człowiek wstał znów ze swego siedzenia, podniósł prawicę niby do przysięgi i rzekł uroczyście:

- Przysięgam, że uratuję mego ojca albo pomszczę jego śmierć, nawet gdybym miał ścigać Siuksów i walczyć z nimi zupełnie samotnie. Raczej umrę, niż złamię moją przysięgę.

- O nie, nie będziesz osamotniony - powiedział mały Hobble Frank. - Pojadę z tobą i w żadnym wypadku cię nie opuszczę.

- I masser Bob także pójsć - powiedział Murzyn - aby uwolnić starego massa Baumann i Siuksów Oglalę załuc. Wszyscy oni muszą iść do piekła! - zacisnął pięść i zazgrzytał zębami.

- Ja również jadę z wami! - powiedział Gruby Jemmy. - Z radością odbiję jeńców czerwonoskórym. A ty, Davy?

- Nie zadawaj głupich pytań! - odpowiedział spokojnie Długi. - Uważasz, że zostanę z nimi i będę narządził swoje obuwie albo mełł kawę, podczas gdy wy zafundujecie sobie tak wspaniałą przygodę?

- Dobrze, stary szopie! Niech ci będzie, możesz z nami jechać. A co uczyni nasz czerwonoskóry brat Wokkadeh?

Indianin odparł:

- Wokkadeh jest Mandaną i nigdy nie był Oglalą. Niech biali bracia dadzą mu tylko strzelbę, proch i ołów. Wokkadeh

będzie wam towarzyszył i umrze z wami albo pokona wrogów!

- Zuch chłopak! - stwierdził mały Saksończyk. - Dostaniesz strzelbę i wszystko inne również, nawet świeżego konia, gdyż mamy ich cztery, zatem jednego w nadmiarze. Twój koń jest sforsowany i może biec luzem aż wypocznie. Ale kiedy wyruszamy, chłopaki?

- Zaraz! - wyjaśnił Martin.

- W każdym razie nie wolno nam zmitrężyć czasu - zgodził się Gruby. -
Byłoby jednakże nierozważnie, byśmy śpiesząc się, coś przegapili. Pojedziemy przez okolice skape w wodę i zwierzynę i musimy zaopatrzyć się w prowiant. Nie wiemy także, czy owych dziewięciu koniokradów, którym daliśmy dziś rano nauczkę, nie knuje czegoś przeciwko nam. Musimy się bezwzględnie przekonać, czy opuścili oni te strony albo czy zamierzają je opuścić. A co z waszym domem przy ? Czy pozostawicie go bez opieki?

- Owszem - potwierdził Martin.

- Może się zatem łatwo zdarzyć, że po powrocie zastaniecie tylko zgliszcza albo że zostanie on splądrowany.

- Przed splądrowaniem zabezpieczymy się.

Młodzieniec wziął do ręki motykę i wrzucił ubitą glinę w obręb czworokąta. Ukazały się w tym miejscu podnoszone drzwi, pod którymi znajdowała się obszerna piwniczka, w której można było przechować wszystko, co nie nadawało się do zabrania. A nawet gdyby ktoś podpalił chatę, należało oczekiwać, że glina uchroni ukryte przedmioty przed zniszczeniem.

Mężczyźni wzięli się teraz do roboty, aby całą zawartość izby, jeśli tylko nie była im niezbędna na drogę, przenieść do piwniczki. Uczyniono to również ze skórami niedźwiedzi. Pośród nich znajdowała się jedna,

szczególnie duża i piękna. Kiedy Jemmy oglądał ją z podziwem, Martin wziął ją z jego ręki i wrzucił do lochu.

- Precz z nią! - zawołał. -

Nie mogę na to futro patrzeć, gdyż przypomina mi ono najstraszniejsze chwile mego życia.

- Brzmi to tak, jakbyś miał za sobą bardzo długie życie albo bardzo wiele ciężkich przeżyć, mój chłopcze.

- Może rzeczywiście przeżyłem znacznie więcej niż niejeden stary traper.

- Oho! Tylko bez blagi!

Martin zwrócił niemal gniewne spojrzenie na Grubego.

- Czy uważacie może, że syn

Łowcy Niedźwiedzi nie miał okazji do przygód? Mówię wam, że już jako sześciolatek walczyłem z draniem, który żył w futrze przez was przed chwilą podziwianym.

- Sześćoletni chłopiec z takim grizzly? Wiem, że dzieci na Dzikim Zachodzie z innej są materii niż chłopcy w miastach ogrzewający swoje nóżki przy ojcowskich termoforach. Widziałem niejednego chłopaka, który mieszkając w Nowym Yorku byłby strzeleckim dyletantem, tutaj natomiast posługuje się strzelbą jak dorosły. Ale... hm! Jak to było wtedy z tym niedźwiedziem?

- Zdarzyło się to w górach Colorado. Miałem wtedy jeszcze matkę i do tego prześliczną, trzyletnią siostrzyczkę. Ojciec się oddalił, by upolować zwierzynę. Matka była na dworze przed chatą, rąbała drwa, gdyż była to zima i w górach było bardzo zimno. W naszej izbie zostałem zupełnie sam z małą Lucy. Siedziała ona pomiędzy drzwiami i stołem na podłodze, bawiąc się lalką, którą jej wystrugałem z kawałka drewna, ja zaś stałem na stole i dużym nożem wycinałem litery „M” i „L”

w grubej belce, która pod stromym dachem łączyła jedną ścianę blokhauzu z drugą. Były to początkowe litery imienia mojego i ukochanej Lucy. Takim to chłopięcym sposobem pragnąłem nas oboje uwieńczyć. Zajęty swoją pracą słyszałem gwałtowne otwarcie drzwi z rygla. Przypuszczałem, że to matka weszła z takim hałasem mając na rękach drwa, i wcale się nie odwróciłem, tylko powiedziałem:

„To dla Lucy i dla mnie, mamo. Potem znajdziesz się tutaj również ty i ojciec”.

...Zamiast odpowiedzi usłyszałem głuchy pomruk. Odwróciłem się. Wiedziecie, panowie, był wczesny świt, ale na zewnątrz biała śnieg, a pod wielkim piecem płonął kłoc drewna, którego płomień rozjaśniał izbę. To, co ujrzałem w tym świetle, było straszne. Tuż przy biednej, małej Lucy, która ze zgrozy nie mogła z siebie wydobyć głosu, stał ogromny szary niedźwiedź. Jego sierść skudłaczona była lodem, a oddech zionął parą. Oniemiała siostrzyczka podawała mu błagalnie drewnianą lalkę, jak gdyby chciała rzec: „Weź moją lalę, ale mnie oszczędź, kochany i rozłuszczony niedźwiedziu”. Lecz grizzly nie znał litości. Silnym ciosem łapy powalił Lucy na ziemię i jednym zwarciem paszczy skruszył jej jasną główkę.

Jeszcze dziś słyszę ten chrzęst i trzask... Heavens!... Nigdy tego nie zapomnę.
Nigdy, przenigdy...

Martin przerwał na chwilę. W izbie panowała absolutna cisza.

I ciągnął dalej:

- Również i ja nie mogłem się poruszyć ze zgrozy. Chciałem wołać o pomoc, ale nie wydobyłem z siebie głosu. Widziałem, jak szczątki siostrzyczki znikają w paszczy potwora, aż nic już nie pozostało, poza drewnianą lalką, która upadła na podłogę.

Kurczowo zaciskałem w dłoni nóż. Niedźwiedź skierował się teraz ku mnie i oparł się przednimi łapami o stół. Czułem na twarzy jego wstrętny oddech. Odzyskałem wtedy władzę nad swoim ciałem. Wsadziłem nóż między zęby, objąłem belkę rękami i wspiąłem się na nią. Niedźwiedź chciał mnie dosięgnąć, ale przewrócił przy tym stół. Byłem uratowany.

Teraz wołałem oczywiście o pomoc, lecz daremnie. Matka się nie zjawiała, mimo że powinna była słyszeć mój głos, gdyż drzwi stały otworem i przedostawało się do wnętrza zimne powietrze. Grizzly prostował się w całej okazałości, by ściągnąć mnie z belki. Widzieliście jego futro, uwierzcie mi, że przednimi łapami zdołałby mnie sięgnąć. Lecz ja, mając nóż w dłoni uchwyciłem się lewą ręką, prawą zaś zadałem nożem cios w wyciągniętą po mnie łapę.

Nie będę opisywał owej walki, mojej rozpacz i mojego strachu! Nie wiem, jak długo się broniłem. W takiej sytuacji kwadrans wydaje się wiecznością. Siły moje opadały, zaś obie przednie łapy niedźwiedzia były pokłute i pocięte, gdy mimo jego pomruku usłyszałem szczekanie naszego psa, którego zabrał ze sobą ojciec. Wydawał z siebie głos, którego nigdy potem u żadnego psa już nie słyszałem. Wpadł do środka rzucając się błyskawicznie na olbrzymiego drapieżnika. Był to szpetny kundel, niesłychanie silny i wierny. Złapał niedźwiedzia za gardło, chcąc je rozszarpać. Ale niedźwiedź uczynił to wcześniej z nim swymi potężnymi łapami. W kilka sekund pies padł martwy, rozerwany na strzępy, zaś grizzly znów się skierował ku mnie...

- A ojciec? - zapytał Davy, który podobnie jak inni przysłuchiwał się w największym

napięciu. - Pies nigdy nie odbiega od swego pana.

- Zapewne. Grizzly znów stanął na tylnych łapach, by ściągnąć mnie z belki, zwrócony plecami do drzwi, i wtedy w wejściu pojawił się ojciec, blady jak przysłowiowa śmierć. „Ojcze, pomocy!” zawołałem, wymierzając kolejny cios niedźwiedziowi.

...Ojciec nie odpowiedział. Również on miał gardło jak zasznurowane. Podniósł załadowany sztucer... teraz będzie strzelał! Lecz nie, opuścił go. Był tak zdenerwowany, że lufa w jego rękach drżała. Odrzucił broń, wyjął nóż zza pasa i od tyłu skoczył na zwierzę. Trzymając niedźwiedzia lewą ręką za futro, zaszedł go z przodu, wbił mu długą klingę aż po rękojeść w okolicę żeber i błyskawicznie uskoczył do tyłu, aby niedźwiedź nie pochwycił go w śmiertelnej walce. Ogromne zwierzę stanęło nieporuszone, zacharczało i stęknęło w nieopisany sposób, przednimi łapami łapiąc jeszcze powietrze, i padło martwe. Jak się później okazało, klinga przebiła mu właśnie serce.

- Bogu dzięki! - powiedział

Jemmy, oddychając głęboko i głośno. - Pomoc nadeszła w ostatniej chwili. A twoja matka?

- Jej... Och, jej już nie zobaczyłem. - Martin odwrócił się i otarł szybkim ruchem dłoni dwie łzy z oczu.

- Nie zobaczyłeś jej? Dlaczego?

- Kiedy ojciec drżąc ściągnął mnie z belki, ja zaś wciąż jeszcze byłem rozdygotany, zapytał o moją siostrzyczkę. Głośno szlochając opowiedziałem mu, co tutaj zaszło. Nigdy już nie widziałem takiej twarzy, jaką miał wtedy ojciec. Bladej jak popiół, skamieniałej. Wyrwał mu się z piersi krzyk, jeden jedyny, ale co to był za krzyk!

Potem ucichł. Usiadł na ławie i

ukrył twarz w dłoniach. Na moje

przymilne słowa nie odpowiadał. Kiedy zapytałem go o matkę, potrząsnął głową, lecz gdy zamierzałem wyjść, aby jej poszukać, przytrzymał mnie za ramię tak silnie, że krzyknąłem z bólu: „Nie wychodź! Nakazał mi. To nie dla ciebie!” ...Po czym siedział długo aż się wypalił ogień. Wreszcie zostawił mnie w domu i zaczął się krzątać za naszą chatą. Usiłowałem w jednym miejscu wydłubać mech ze szczeliny w ścianie. Udało mi się. Kiedy tamtędy wyjrzałem, zobaczyłem, że kopie głęboki dół. Otóż zanim niedźwiedź wlaźł do chaty, napadł na moją matkę i rozszarpał ją.

Nie widziałem nawet, jak ojciec ją pochował, gdyż zauważył mnie przy podglądaniu i zatroszczył się o to, bym więcej już nie podchodził do ściany.

- Okropność, okropność! - wzdychał Jemmy, ocierając rękawem kożucha oczy.

- Oczywiście, że było to okropne! Ojciec chorował potem pewien czas, a nasz najbliższy sąsiad przysłał człowieka, który pielęgnował ojca i troszczył się o mnie. Jednak potem, kiedy mój ojciec wyzdrowiał, opuściliśmy tamtą okolicę i zostaliśmy łowcami niedźwiedzi. Gdy tylko ojciec usłyszy, że gdzieś pokazał się niedźwiedź, nie daruje mu dopóty, dopóki nie poczęstuje go kulą albo klingą. A ja, teraz mogę wam rzec, że i ja mam już swój udział w pomszczeniu mojej biednej małej siostry. Z początku serce chciało mi oczywiście wyskoczyć z piersi, kiedy szedłem na niedźwiedzie, lecz mam talizman, który mnie osłania, tak że zachowuję przytomność umysłu w obliczu każdego grizzly, tak jak bym miał zastrzelić po prostu szopa_pracza.

- Talizman? - zapytał Davy. -

Pah! Czegóż podobnego nie ma.

Nie wierz w taki nonsens, młody

człowieku! Jest to grzech przeciwko pierwszemu przykazaniu!

- Co to to nie, gdyż mój talizman, jest innego rodzaju, aniżeli myślicie.

Przypatrzcie mu się! Wisi on tam, pod Biblią.

Wskazał na ścianę, gdzie na małej półeczce leżała duża, stara Biblia. Pod nią na drewnianym haku wisiał kawałek drewna, na półtora palca długi i na palec gruby. Widać było wyraźnie iż górna część miała stanowić głowę.

- Nie, nie jestem poganinem.

To ta drewniana lalka, którą wówczas wystrugałem mojej siostrzyczce do zabawy.

Zachowałem ją na pamiątkę owych okropnych chwil i zawieszam zawsze na szyi,

kiedy towarzyszę ojcu w polowaniu na niedźwiedzie. Gdy zbliża się

niebezpieczeństwo, wtedy chwytam lalkę... i niedźwiedź jest zgubiony. Możecie mi wierzyć!

Do głębi wzruszony Jemmy, położył mu dłoń na ramieniu i rzekł:

- Jesteś dzielnym chłopcem,

Martin. Przyjmij moją przyjaźń, a nie zawiedziesz się! Twoje zaufanie będzie równoważne mojemu życiu. Dowiodę tego!

4. Old Shatterhand

Było popołudnie czwartego już z kolei dnia, gdy naszych sześciu jeźdźców minęło rejon południowych źródeł rzeki Powder.

Przestrzenie ciągnące się od Missouri aż po Góry Skaliste należą do dnia dzisiejszego do najbardziej nieurodzajnych terenów Stanów Zjednoczonych.

Teren ten składa się wyłącznie z odludnej, pozbawionej drzew prerii, którą myśliwy musi długo jechać, zanim znajdzie jakieś zarośla albo źródło wody. Kraina ta zaczyna się ku zachodowi stopniowo wznosić. Tworzy ona łagodne wzniesienia, a potem

pagóry, coraz wyższe, strome i coraz bardziej szczelinowate, im bardziej zbliżamy się ku zachodowi. Okolicę tę pośrodku stanu Wyoming nazywają Indianie Mahka_ze_scicza, zaś biali zwą ją Bad Lands. Oba te określenia znaczą to samo, a mianowicie złą ziemię.

Dalej na północ, tam gdzie znajdują się źródła rzek:

Cheyenne, Powder, Tongue i Big Horn, kraina ta jest wdzięczniejsza, z bardziej soczystą trawą i zaroślami rozrastającymi się w zagajniki, aż wreszcie stopa westmana stąpa pośród stuletnich drzew olbrzymów.

Na południowy zachód od stanu Wyoming znajdują się tereny łowieckie Szoszonów albo Snaków, na wschodzie - Siuksów, a na południu - Szejenów i Arapahów.

Każdy szczep rozpada się na mniejsze, a ponieważ każdy taki odłam podąża własnymi drogami, dlatego nie można się dziwić, że okresy wojny i pokoju przeplatają się tutaj bezustannie, a jeżeli nawet czerwonoskóry zapragnie na dłuższy czas pokoju, wtedy zjawia się blada twarz, by kłuć go najpierw szpilką, a potem nożem, aż Indianin ponownie wykopie topór i na nowo zaczyna walczyć. Tak więc tam, gdzie stykają się pastwiska tak wielu i tak różnych szczepów i ich odłamów, bezpieczeństwo jednostki zagrożone jest w największym stopniu. Szoszonowie, albo Indianie spod znaku Węża, byli zawsze zagorzałymi wrogami Siuksów i dlatego przestrzenie ciągnące się na południe od rzeki Yellowstone aż do góry Big Horn, piją bardzo często krew czerwonoskórego albo białego człowieka.

Gruby Jemmy i Długi Davy

wiedzieli o tym i zwracali
baczną uwagę, aby uniknąć

spotkania z Indianami, obojętnie jakiego plemienia.

Wohkadeh jechał pierwszy, gdyż przemierzał on już ten szlak jadąc w tę stronę.

Wyposażony został w strzelbę, a u pasa zwisało mu kilka woreczków z różnymi drobiazgami, które są niezbędne człowiekowi na prerii. Wygląd Jemmiego i

Daviego nie uległ zmianie. Gruby jechał na swej wysokiej szkapie, zaś długie jak wieczność nogi Daviego zwisały po bokach małego, upartego muła, który raz po raz daremnie powtarzał znaną próbę zrzucenia swego jeźdźca.

Davy opierał wtedy o ziemię w zależności od potrzeby prawą albo lewą stopę i utrzymywał swoją pozycję. Przypominał na swoim zwierzęciu mieszkańca Wysp Australijskich, który wyposaża swoją niebezpiecznie wąską łódź we wsporniki, zapewniając jej tym samym stateczność. Wspornikami Daviego były jego nogi.

Także Frank miał na sobie to samo ubranie, w którym ujrzeni go obaj przyjaciele.

Mokasyny, legginy, granatowy frak i amazoński kapelusz z długim, żółtym piórem.

Mały Saksończyk doskonale siedział na koniu i pomimo dziwnego stroju sprawiał wrażenie dzielnego westmana.

Z przyjemnością patrzyło się

na siedzącego w siodle Martina
Baumanna. Jeździł on konno
przynajmniej tak samo dobrze jak
Wohkadeh. Zdawał się stanowić
jedną całość z koniem, z ciałem
podanym ku przodowi, która to
pozycja ujmuje ciężaru
człowiekowi dźwiganemu przez
zwierzę i umożliwia jeźdźcowi
ponoszenie trudu jazdy bez
przemęczenia nawet w ciągu
miesiący. Martin miał na sobie
skórzane ubranie trapera, zaś
jego wyposażenie i uzbrojenie
nie pozostawiało nic do
życzenia. Świeża cera i jasne

oczy sprawiały wrażenie, że będąc jeszcze na wpół chłopcem, w potrzebie potrafi się zachować jak mężczyzna.

Pociesznie wyglądał nasz czarny Bob. Konna jazda nigdy nie należała do jego namiętności, siedział on na koniu w pozycji, którą trudno opisać. Miał takie same kłopoty ze zwierzęciem jak i ono z nim, nie zdołał nawet przez dziesięć minut utrzymać się na koniu w stałej pozycji. Gdy tylko przesunął się w przód, bliżej

końskiej szyi, wtedy każdy krok zwierzęcia przesuwał go po trochu do tyłu. Zjeżdżał zatem, zjeżdżał, aż zaczynało grozić mu, że spadnie na koński zad. Przesuwał się wówczas możliwie jak najdalej ku przodowi, i zabawa ze zjeżdżaniem zaczynała się od nowa, przy czym przybierał on najbardziej komiczne pozycje. Zamiast siodła przytroczył do konia jedynie derkę, gdyż z wcześniejszych prób wiedział, że nie potrafi utrzymać się w siodle. Przy względnie szybkim tempie Bob zawsze wylatywał poza siodło. Nogi trzymał z daleka od konia. Gdy mówiono mu, by konia trzymał mocno nogami, odpowiadał:

„Dlaczego masser Bob dusić nogami biednego konia? Koń mu nie zrobić nic złego! Nogi Boba nie być obcęgami!”

Jeźdźcy dotarli na skraj bardzo głębokiej i niemal okrągłej doliny, której średnica wynosić mogła około sześciu angielskich mil. Otoczona z trzech stron ledwie zaczynającym się pofałdowaniem obrzeża, od zachodu zamknięta była znacznym wzniesieniem porośniętym, jak się zdaje, drzewami i zaroślami.

Dawniej musiał się tu znajdować naturalny zbiornik wodny, może jezioro. Dno jego pokryte było głębokim piachem, na którym oprócz nielicznych, twardych kęp rosły owe szaro połyskujące,

bezużyteczne rośliny zwane bylicami, charakterystyczne dla nieurodzajnych okolic Dalekiego Zachodu. Miejsce to, jak wyjaśnił Davy, nosiło nazwę Pa.p_pa_are, co oznacza Jezioro Krwi, gdyż ongiś biali wycięli tutaj w pień gromadę Szoszonów. Wohkadeh, nie ociągając się, zapędził swego konia w piach obierając bezpośredni kierunek ku wspomnianej wyżynie. Niecka owej doliny nie stanowiła specjalnego zagrożenia, gdyż okolica była zewsząd widoczna i każdego jeźdźca albo piechura dostrzeżono by natychmiast z daleka.

Jechali tak chyba z pół godziny, gdy Wohkadeh zatrzymał swego konia.

- Uff! - zawołał.

- Co się stało? - zapytał

Jemmy.

- Szi_szi! - słowo to w języku

Mandanów określa właściwie stopy, może jednak oznaczać również ślad albo też trop.

- Trop? - pytał dalej Gruby. -

Człowieka czy też zwierzęcia?

- Wohkadeh tego nie wie. Niech moi biali bracia sami to obejrzą.

- Good luck! Indianin nie wie, czy to ślad człowieka, czy bydłęcia! Musi to być jakiś bardzo specyficzny trop. Może jednak zechcecie mu się przyjrzeć. Ale zsiadajcie z koni i nie niszczone go...

- ...bo nie będzie można nic rozpoznać! - stwierdził Indianin. - Trop jest wielki i długi, ciągnie się z dalekiego południa ku odległej północy.

Jeźdźcy zsiadli, aby przebadac zagadkowe ślady. Odróżnić ślady ludzkich stóp od zwierzęcego tropu potrafi każdy indiański chłopiec. Wprost niezrozumiałe było, że Wohkadeh, tego nie potrafi, lecz Jemmy także potrzęsnał głową, kiedy przyjrzał się śladom, spojrział w lewo, skąd trop się wyłaniał, potem w prawo, dokąd wiódł,

powtórnie potrzęsnał głową i wreszcie powiedział do Długiego:

- No i co, stary przyjacielu, widziałeś już kiedy w życiu coś takiego? Zagadnięty podrapał się najpierw za prawym, potem za lewym uchem, splunął po dwakroć, co bywało u niego zawsze oznaką zastanowienia, i odparł wreszcie:

- Nie, jeszcze nigdy.

- A pan, mister Frank?

Saksończyk dziwował się również śladom i stwierdził:

- Diabeł by się nie poznał na tym śladzie!

- Owszem - zgodził się Jemmy.

- Pewne jest jedynie to, iż przechodziło tędy jakieś stworzenie. Ale co to było? Ile miało nóg?

- Cztery - odpowiedzieli wszyscy oprócz Indianina.

- Tak, widać to dokładnie. Ale niech mi ktoś powie, z jakim rodzajem albo gatunkiem czworonoga mamy tu do czynienia!

- To nie jest jeleń - powiedział Frank.

- Broń Boże! Jeleń nigdy nie zostawia tak wielkich śladów.

- A może niedźwiedź?

- Oczywiście, że w takim piachu niedźwiedź pozostawiłby duże i wyraźne ślady, tak że nawet ślepy mógłby je dotykiem palców odczytać, ale ten trop nie pochodzi od niedźwiedzia. Nie są to bowiem odciski wydłużone w swojej tylnej części jak to bywa u ssaków stopochodnych, lecz niemal okrągłe, o średnicy

ręki, wdepnięte prosto jakby ktoś odcisnął stempel. Tylko trochę wyrzucone do tyłu, zaś u dołu przy podstawie zupełnie płaskie. Sądząc po tym zwierzę to nie miało palców ani pazurów, lecz kopyta.

- A zatem koń? - rzucił Frank.

- Hm! - mruknął Jemmy. - Nie mógł to być koń. Musielibyśmy widzieć przynajmniej zarys podków albo w przypadku gdyby zwierzę było nie podkute, obwodu

nośnego kopyta i strzałki. Ten trop powstał nie więcej niż dwie godziny temu, a więc zbyt wcześnie, aby zarys taki zginął. I co najważniejsze, czy może istnieć koń z tak dużymi kopytami? Jeśli byśmy się znajdowali w Azji albo w Afryce, a nie na tej starej, poczciwej prerii, wtedy bym przypuszczał, że człapał tu przed nami jakiś dziadek słoń.

- Tak to właśnie wygląda! - śmiał się Davy.

- Co? Czyś ty widział kiedykolwiek słonia?

- Nawet dwa. Jednego w

Filadelfii w cyrku Barnuma, a drugiego tutaj, w twojej postaci, Grubasie!

- Nie stać cię na lepszy dowcip, to sobie najmij błazna! Słyszysz? Ślady te odpowiadają wielkości śladom słonia, z tym się zgadzam. Ale takie zwierzę ma zupełnie inną długość kroków. O tym nie pomyślałeś Davy. Nie był to również wielbłąd, myślałbym wtedy, że to ty stąpałeś tutaj dwie godziny temu. A teraz przyznaję, że moja mądrość kończy się w tym miejscu.

Mężczyźni przebyli odcinek drogi i zawrócili, aby obejrzeć ów osobliwy trop. Lecz żadnego z nich nie było stać nawet na jakieś przypuszczenie.

- A co na to powie mój czerwonoskóry brat? - spytał Jemmy.

- Hijakeh! - odparł Indianin, wykonując ruchem ręki znak głębokiej czci.

- Masz na myśli Ducha Prerii?

- Tak, gdyż nie był ani człowiek, ani zwierzę.

- Heigh_ho! Zdaje się, że wasze duchy mają okropnie duże stopy. A może Duch Prerii cierpi na reumatyzm i dlatego włożył filcowe bambosze?

- Mój biały brat nie powinien sztydzić. Duch Prerii może pojawić się pod wszystkimi postaciami. Jedźmy spokojnie

dalej.

- Nie, tego nie uczynię. Muszę bezwzględnie wiedzieć, z czym mam do czynienia. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego tropu i dlatego podążam nim, aż docieknę, kto go zostawił.

Mój brat wybierze zatem zagładę. Duch nie cierpi bowiem, by go śledzić.

- Madness! Gdy Gruby Jemmy będzie potem o tym tropie opowiadał, a nie potrafi powiedzieć, skąd on się wziął, to go wyśmieją. Dla dobrego westmana wyjaśnienie zagadki jest sprawą honoru.

- Nie mamy czasu na zbaczanie z drogi.

- Tego od was nie wymagam.

Mamy jeszcze cztery godziny do wieczora, potem musimy rozbić obóz. Czy mój czerwonoskóry brat zna może miejsce, gdzie możemy się zatrzymać na odpoczynek?

- Tak. Jeżeli pojedziemy prosto, dojedziemy do miejsca, w którym to wzniesienie jest rozwarte. Wrzyna się w nie dolina z wąwozem, który pojawia się z lewej strony po godzinie jazdy. W dolinie tej będziemy odpoczywać, gdyż są tam zarośla i drzewa, które uczynią niewidocznym nasze ognisko, jest także źródło, które zaopatrzy nas w wodę.

- Łatwo będzie was znaleźć.

Jedźcie więc dalej! Pojadę tropem i dobiję potem do waszego obozu.

- Niech mój biały brat pamięta o moim ostrzeżeniu!

- Niestety! - zawołał Długi

Davy. - Jemmy ma całkowitą rację. Musielibyśmy się wstydzić, gdybyśmy ten dopiero co odkryty tajemniczy trop zostawili nie rozpoznany.

Powiadają, że przed stworzeniem
Ziemi istniały zwierzęta, przy
których bawół wyglądałby jak
dżdżownica przy parowcu na rzece
Misisipi. Możliwe, że taki
potwór z tamtych czasów gdzieś

się tutaj zawieruszył i biega wśród piachu, aby obliczyć z jego ziarenek, ile sobie liczy wieków. O ile pamiętam, zwie się on mamotem.

- Mamutem! - poprawił Gruby.

- Być może! Jaki to wstyd byłby, gdyby przynajmniej jeden z nas nie zechciał zobaczyć owego zwierzęcia na własne oczy. Jadę z tobą, Jemmy!

- Tak nie można, gdyż to my obaj, mówiąc bez przesady, posiadamy największe doświadczenie i w pewnym sensie jesteśmy tutaj przywódcami.

Musimy się równocześnie oddalić. Lepiej gdyby ktoś inny zechciał ze mną jechać.

- Mister Jemmy ma rację - powiedział Martin. - Ja z panem pojedę.

- Niestety, nie, mój młody przyjacielu - odparł Jemmy. - Wiem, że w twoim wieku jest się gotowym na takie przygody. Ale jazda taka może się okazać niebezpieczna, my zaś wzięliśmy na siebie milczące zobowiązanie czuwania nad tobą, aby w stanie nienaruszonym połączyć cię z ojcem.

- A więc ja pojedę! - zawołał

Kulawy Franek.

- Owszem, nie mam nic przeciwko temu. Mister Frank już wtedy w Moritzburgu walczył z parobkiem i ze stróżem nocnym i dlatego przypuszczalnie nie będzie się obawiał mamuta!

- Ja? Bać się? Wcale mi to nie przyszło do głowy.

- A więc wszystko gra. Nasi towarzysze pojedą dalej, my zaś skęcimy w prawo.

I tak się też stało. Gromadka pojechała prosto, a Jemmy i Frank skęcili za tropem w kierunku północnym.

Ponieważ obaj jeźdźcy musieli nadłożyć drogi, poderwali konie i już po krótkiej chwili stracili swoich towarzyszy z oczu.

Później trop zmienił

dotychczasowy kierunek obierając

jako cel zachód z odległym wzniesieniem, tak że Jemmy i Frank podążali w tę samą stronę co ich przyjaciele, wszelako oddaleni od nich chyba o pół godziny drogi. Jak dotąd zachowywali obaj milczenie. Koścista chabeta Jemmiego tak pracowicie wyrzucała przed siebie długie nogi, że koń Franka z trudem podążał za nią w głębokim piachu. Gruby zmieniał teraz męczący kłus na jazdę stępa i Frank mógł bez trudu dotrzymać mu kroku. Będąc w gromadzie porozumiewali się na ogół angielszczyzną. Teraz jednak obaj Niemcy znajdowali się sami i dlatego przeszli w rozmowie na język ojczysty.

- Z tym mamutem to chyba był tylko żart?

- Oczywiście.

- Zaraz sobie tak pomyślałem, gdyż dzisiaj mamutów takich wcale nie ma.

- A słyszał pan może już kiedyś o owych przedpotopowych zwierzętach?

- Ja? Jasne! Wie pan, ów nauczyciel z Moritzburga, który był mi właściwie duchowym ojcem, miał bzika na punkcie zoologii i roślin. Znał każde drzewo, od świerku aż w dół do szczawiu, a także każde zwierzę, od węża morskiego aż po najmniejszą pchłę. Od niego się już wtedy dużo nauczyłem.

- Niezmiernie mnie to cieszy - śmiał się Gruby. - Może ja się obecnie czegoś od pana nauczę.

- Rozumie się samo przez się.

Na przykład o mamucie mogą panu udzielić najbardziej miarodajnej informacji.

- Czy może pan któregoś z nich widział?

- Niestety nie, gdyż wtedy przed stworzeniem świata nie byłem jeszcze zameldowany na obecnej policji, lecz nauczyciel znalazł mamuta w starych rękopisach. Jak pan myśli, jak

duże jest owo monstrum?

- Znacznie większe od słonia.

- Słonia? Co pan też mówi!

Jeżeli mamut potknie się o kamień i spojrzy w dół, to kamieniem tym będzie z pewnością egipska piramida. Wyobraża pan sobie wzrost takiego zwierzęcia! A jeśli usiądzie mu czasem mucha na końcu ogona, wówczas dotrze do jego świadomości dopiero po czternastu dniach. Niech pan sobie zatem wyobrazi, jakie długie musi być to stworzenie!

- Do stu piorunów! - wypalił

Jemmy z podziwem. - Jak pan to wszystko dokładnie wie!

- Tak, tak, gdyby nie powstał wtedy ów spór o powiedzonko przyswojone przez papę Wrangla, umieszczono by mnie nolens Coblenz w akademii leśniczej i nie musiałbym dzisiaj tłuc się po Dzikim Zachodzie, gdzie okulawili mnie Siuksowie!

- Ach, nie jest więc pan kulawy od urodzenia?

Frank spojrzał na Grubego z wyrzutem.

- Kulawy od urodzenia? O nie, jak tylko pamięcią sięgam miałem obie nogi zdrowe, lecz kiedy przybyliśmy z Baumannem w Czarne Góry, aby pośród poszukiwaczy złota otworzyć wspomniany kram, popełniłem błąd i od tego czasu jestem kulawy.

- Jak do tego doszło?

- Zupełnie nieoczekiwanie, jak przychodzi wszystko, czego nie można przewidzieć. Zdaje mi się, jakby to było dzisiaj, jak żywy pozostał ów dzień w mojej pamięci. Migotały gwiazdy, a w pobliskim grzędawisku rechotały żaby, gdyż nie było to niestety w dzień, lecz w nocy. Baumann wyjechał do fortu Wettermann, by się zaopatrzyć w nowe towary.

Martin spał, natomiast Murzyn

Bob, który wyjechał inkasować

należności, jeszcze się nie
pokazał. Wrócił jedynie jego
koń, ale bez niego. Następnego
ranka Murzyn wrócił poruszając

się z trudem, z poprzetrącanymi kończynami i bez grosza. Przepędzili go wszyscy
nasi dłużnicy, by na ostatek jeszcze go zwalić z konia. A więc gwiazdy świeciły na
niebie, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Tutaj na Zachodzie trzeba być ostrożnym.
Dlatego nie otworzyłem od razu, lecz zapytałem z wnętrza, kto zamierza do nas
wejść. Mówiąc zwięźle, za drzwiami było pięciu Siuksów, którzy chcieli wymienić
skóry na proch. Czerwonoskórzy powiedzieli mi, że mają jeszcze całonocny marsz
przed sobą, i to wzruszyło moje dobre, saksońskie serce, i wpuściłem ich.

- Co za nieostrożność!

- Dlaczego? Nigdy nie znałem strachu, a zanim otworzyłem drzwi,
postawiłem im warunek, że broń muszą pozostawić na dworze. Trzeba im
oddać, że moje żądanie skrupulatnie - wypełnili. Oczywiście, iż obsługując ich
miałem cały czas rewolwer w ręce, czego oni jako dzikusy nie mogli mi brać za
złe. Faktycznie ubiłem na nich wspaniały interes: kiepski proch zamieniłem na
dobre bobrowe skóry. Jeśli czerwonoskórzy handlują z białymi, to ci pierwsi
bywają zawsze oszukiwani.

Ubolewałem nad tym, ale ja sam
nie mogę tutaj nic zmienić. Obok
drzwi wisiały trzy naładowane
sztucery. Gdy Indianie
wychodzili, ostatni z nich
zatrzymał się przy drzwiach,
jeszcze raz się odwrócił i
zapytał, czy nie dodałbym mu
wody ognistej. Istnieje
wprawdzie zakaz dawania Indianom
wódki, lecz dobry ze mnie chłop
i chciałem zrobić im tę
przyjemność. Odwróciłem się
więc, idąc do tylnego kąta,
gdzie stała butelka brandy. W
momencie, w którym się znów
odwróciłem, zobaczyłem, jak ów
człowiek znika zdjawszy przedtem
sztucer z kołka. Oczywiście, że

natychmiast odstawiłem butelkę, złapałem sztucer wiszący obok i skoczyłem ku drzwiom. Ponieważ wybiegłem ze światła w mrok, nie mogłem zrazu nic dojrzeć. Słyszałem śpieszne kroki i nagle spostrzegłem błysk przy ogrodzeniu. Padł strzał i odniosłem wrażenie, jak gdyby ktoś uderzył mnie w stopę. Zobaczyłem teraz czerwonoskórego, który chciał przeskoczyć z rozpędu płot. Złożyłem się do strzału i nacisnąłem spust, ale poczułem w tym samym czasie ból w stopie tak bardzo kłujący, że zgiąłem się wpół. Chybiłem i sztucer przepadł. Z trudem wróciłem do chaty. Strzał Indianina przeszył mi lewą stopę. Dopiero po kilku miesiącach mogłem znów chodzić i odtąd zostałem Frankiem Kuternogą, Hobble Frankiem. Tego czerwonoskórego zapamiętałem sobie dokładnie. Nie zapomnę nigdy jego twarzy, i biada mu, gdy go gdziekolwiek spotkam! My Saksończycy, jesteśmy znani jako najbardziej sympatyczni Germanie, ale nasze zalety nie mogą nas zobowiązywać, byśmy nocą, kiedy lśnią na niebie gwiazdy, pozwalali się bezkarnie okradać i okaleczać. Przypuszczam, że Siuks ten należał do Oglalajów, a gdyby... co pan tam znalazł?

Frank wstrzymał się z pytaniem, gdyż Gruby Jemmy zatrzymał konia i wydał z siebie okrzyk zdumienia. Mieli już za sobą największą szerokość piaszczystej niecki. Pojawiło się teraz miejsce ze skalistym gruntem, natomiast Jemmy zatrzymał się tam, gdzie skała znów znikwała w piachu.

- Czy mnie nie mylą oczy, jeśli je w ogóle posiadam?

Zdumiony spoglądał z konia w dół na piasek. Teraz także Frank zobaczył, o co chodziło towarzyszowi.

- Czyż to możliwe?! - zawołał.

- Trop jest teraz zupełnie inny!

- Oczywiście! Wpierw był to wyraźny ślad słońca, a teraz są to najbardziej wyraźne końskie ślady. Jest to indiański koń bez podków.

- Jest to naprawdę ten sam trop?

- Oczywiście! Skała pojawia się z tyłu za nami, ale miejsce to nie ma więcej niż dwadzieścia stóp szerokości. Ślad słońca tam się zanurza, zaś tutaj wynurza się jako ślad konia. Niesłychana historia!

- Chciałbym teraz wiedzieć, co by powiedział nauczyciel z Mortizburga, gdyby był tu z nami!

- Nie miałby wcale mądrzejszej miny niż pan i ja!

- Hm! Za pozwoleniem, panie

Pfefferkorn, pańska mina wcale nie wygląda na bardziej inteligentną, lecz zagadka ta musi mieć swoje rozwiązanie, gdyż już słynny archidiakon usłyszał ongiś: „Dajcie mi tylko w powietrzu punkt oparcia, a wystawię każde drzwi z zawiasów!”

- Ma pan na myśli Archimedesesa!

- Owszem, ale ponadto był on diakonem, gdyż kiedy w sobotnie popołudnie pojawili się nieprzyjacielscy żołnierze, uczył się właśnie na dzień jutrzejszy kazania i zawołał do nich: „Nie przeszkadzajcie mi i zachowujcie się cicho!” Wówczas zabili go. Dlatego ów punkt w powietrzu znów zaginął.

- Może pan go odnajdzie, lecz teraz chodźmy dalej za owym osobliwym tropem!

Obecny ślad konia był wciąż

wyraźnie rozpoznawalny i z piaszczystej powierzchni mniej więcej po pół godzinie wyszedł na lepszy grunt. Z trawą i pojedynczymi krzewami. W pobliżu ciągnęło się pasmo wzgórz. Piął się na nie gęsty las, który u dołu zaczynał się rzadkimi drzewami, zaś górą był coraz bardziej zwarty. Również tutaj

śląd był zupełnie wyraźny. Po pewnym czasie jednak grunt znów stał się skalisty, i trop ginął powtórnie, tak że nie można było odnaleźć jego dalszego ciągu.

- Nic nie rozumiem! - powiedział Jemmy. - W rezultacie musiał to być Duch Prerii! Bardzo jednak chciałbym wiedzieć, jak wygląda taki duch.

- Życzenie to może zostać spełnione. Możecie się panowie przyjrzeć.

Słowa te zabrzmiały w niemieckim języku z zarośli, przy których się zatrzymali. Wydobywszy z siebie okrzyk przestrawy, obaj kołowali końmi. Człowiek, który to powiedział, opuścił krzaki służące mu za kryjówkę.

Nie był on ani zbyt wysokiej, ani też zbyt szerokiej postury. Broda o ciemnoblonde włosach otaczała ogorzałą od słońca twarz. Miał na sobie legginy z frędzlami, myśliwską koszulę z takimiż frędzlami wzdłuż szwów, długie buty, które podciągnął powyżej kolan i kapelusz filcowy z szerokim rondem, z zatkniętymi za sznurek uszami szarego niedźwiedzia. U pasa splecionego z rzemieni tkwiły mu dwa rewolwery, nóż i przeróżne woreczki. Wyglądało na to, iż pas wypełniają dokoła naboje. Z lewego ramienia ku biodru zwisało skręcone

z różnorodnych rzemieni lasso, na szyi miał na mocnym jedwabnym sznurze ozdobioną skórą kolibra fajkę pokoju z wyżłobionymi w cybuchu indiańskimi znakami. W prawicy trzymał sztucer z krótką lufą, której zamek był osobliwej konstrukcji.

Prawdziwy myśliwy prerii nie przywiązuje wagi do czystości i połysku. Zanedbany wygląd świadczy o jego obyciu z prerią.

Traktuje on z lekceważeniem
każdego, kto dba o swój wygląd
zewnątrzny. Największym wstrętem
przejmuje go wypucowana na medal

strzelba. Zgodnie z jego przeświadczeniem żaden obieżyświat tu na Zachodzie nie ma czasu, aby zajmować się taką bzdurą.

Ten człowiek zaś lśnił czystością, jak gdyby dopiero wczoraj wyruszył z St. Louis na Zachód. Sztucer jego wyglądał, jakby świeżo wyszedł spod rąk rusznikarza. Buty miał bez skazy, natłuszczone, bez jednego śladu rdzy na ostrogach. Nie sfatygowany strój, nawet ręce miał czyste. Obaj jeźdźcy wpatrywali się w niego i ze zdziwienia zapomnieli mu odpowiedzieć.

- No więc - kontynuował obcy uśmiechając się - słyszałem, że panowie życzyli sobie zobaczyć Ducha Prerii! Jeśli mieliście na myśli tego, którego śladami podążaliście, oto i on.

- Wspaniale! Co za przypadek!

Mózg staje! - zawołał Frank.

- Co słyszę, Saksończyk!

Zgadza się?

- Nawet rodzony! A na wszelki wypadek, czy jest pan również Niemcem?

- Owszem, mam zaszczyt nim być.

- On również pochodzi z tej pięknej okolicy. Z radości tak się przeraził, że stracił mowę, ale długo nie będzie to u niego trwało i znów przemówi.

Frank miał rację, gdyż teraz Jemmy zeskoczył z siodła i wyciągnął ku obcemu dłoń.

- Czy to możliwe? - zawołał. -

Tutaj, opodal Devils Head, rodak? Trudno w to uwierzyć!

- A ja się muszę dziwić podwójnie! Jeśli się nie mylę, to mam przed sobą Grubego Jemmięgo?

- Co? Zna pan mój przydomek?

- Jeśli spotyka się tutaj jeźdźca o takiej tuszy na takiej szkapie, to wiadomo, że jest to Jemmy. Lecz tam gdzie jest pan, musi znajdować się również Długi Davy ze swoim mułem, albo może

się myłę?...

- Nie, nie myli się pan.

Faktycznie jest on w pobliżu. Wcale niedaleko stąd, na południe, gdzie dolina kończy się wzgórzami.

- Aha! I tam dzisiaj obozujecie?

- Tak. Oto i mój towarzysz,

Frank.

Frank zsiadł również i podał obcemu rękę. Ów przyjrzał mu się bacznie, skinął i spytał:

- Czy nie czasem... Hobble

Frank?

- Ho, ho, zna pan również i mój przydomek?

- Utyka pan i nazywa się

Frank, więc wniosek nasuwa się sam. Mieszka pan razem z Łowcą Niedźwiedzi, Baumannem?

- Kto to panu powiedział?

- Baumann. Dość dawno temu spędziliśmy pewien czas razem. Gdzie on się teraz znajduje? W domu? Myślę, że jest to mniej więcej o cztery dni drogi stąd?

- Dokładnie tyle, ale tam go nie ma. Wpadł on w ręce Oglalajów, my zaś wyruszyliśmy, aby sprawdzić, co możemy dla niego uczynić.

- Przeraza mnie pan! Gdzież to się stało?

- Zupełnie niedaleko stąd, w pobliżu Devils Head. Wloką go wraz z pięcioma towarzyszami nad Yellowstone, aby zabić go przy grobie Złego Ognia.

Obcy słuchał uważnie.

- To chyba z zemsty? - zapytał.

- Oczywiście. Słyszał pan może o Old Shatterhandzie?

- Coś sobie przypominam, owszem.

Wokół warg mówiącego pojawił się osobliwy uśmiech.

- Zabił on Złego Ognia i jeszcze dwóch innych Siuksów. Oglalajowie są teraz w drodze do grobu tych trzech i przy tym wpadł im w ręce Baumann.

- Skąd to wiecie?

Frank powiedział o Wohkadehu i

o wszystkim, co się od

pojawienia młodego Indianina wydarzyło. Obcy człowiek przysłuchiwał mu się bardzo poważnie i z wielką uwagą. Tylko czasem, kiedy kulawy wpadł za bardzo w rodzimą gwara, przemykał po jego obliczu przelotny uśmiech. Gdy relacja dobiegła końca, powiedział:

- Życzę panu z całego serca powodzenia. Interesuje mnie szczególnie młody Martin Baumann. Może uda mi się go kiedyś zobaczyć.

- To nic trudnego - powiedział Jemmy. - Proszę pójść, chciałem powiedzieć pojechać z nami. Gdzie pan ma swego konia?

- Zostawiłem go na moment, aby wam się przyjrzeć.

- Wiedział pan, że się zbliżamy?

- Oczywiście. Widziałem panów już przed pół godziną, gdyście się zatrzymywali tam na skraju, aby się naradzić w sprawie tego potwornego tropu.

- Co pan o nim sądzi?

- Nic ponadto, że jest to mój własny ślad.

- Co, pański ślad? Do diabła!

Więc to pan nas wodził za nos?

- Naprawdę pozwolili się panowie zwieść? Jest to dla mnie ogromna satysfakcja dać prztyczka w nos takiemu westmanowi jak Gruby Jemmy. Lecz trop nie był oczywiście edla pana, tylko dla zupełnie innych ludzi.

Gruby nie wiedział, co ma myśleć o napotkanym. Zlustrował go od stóp do głowy z powątpiewaniem i dalej wypytywał:

- Kto pan właściwie jest?

Napotkany roześmiał się rozbawiony i odpowiedział:

- Panom zdaje się, że jestem nowicjuszem tutaj na Dalekim Zachodzie?

- Owszem. Wygląda pan jak greenfish. Ze swoją niedzielną strzelbą może pan iść spokojnie na wróble, a wyposażenie nosi

pan na sobie z pewnością dopiero od kilku dni. Jest pan tutaj chyba w większym towarzystwie, a w każdym razie należy pan do grona myśliwych amatorów. Gdzie pan wysiadł z pociągu?

- W St. Louis.

- Co? Tak daleko na Wschodzie?

Nie może być! Jak długo przebywa pan tu na Zachodzie?

- Tym razem od ośmiu miesięcy.

- Proszę nie brać mi tego za złe, ale żaden człowiek w to nie uwierzy!

Założę się, że jest pan nauczycielem albo profesorem i podróżuje pan z kilkoma przyjaciółmi zbierającymi rośliny, kamienie i motyle.

Radzę posłuchać mojej rady:

niech pan bierze czym prędzej nogi za pas! Ta okolica nie dla pana. Życie wisi tutaj na włosku. Nie co godzinę, a co minutę. Nie ma pan wcale pojęcia, na jakie niebezpieczeństwo pan się naraża.

- Ach, wiem o tym bardzo dobrze! W pobliżu obozuje na przykład ponad czterdziestu Szoszonów.

- Haevens! Czy to prawda?

Teraz już naprawdę nie wiem, co mam o panu myśleć!

- Niech się pan pocieszy, że tych czerwonoskórych potrafię podobnie zmylić jak i pana. Spotkałem już niejednego dzielnego westmana, który pomylił się co do mojej osoby, przykładając do mnie obiegową miarkę. Proszę, chodźcie panowie.

Nieznajomy odwrócił się i z wolna zagłębił się w zaroślach. Jemmy i Frank podążali za nim, prowadząc konie za cugle. Wkrótce zbliżyli się ku przecudnej jodle, wysokiej chyba ponad trzydzieści metrów, co wśród tych drzew było rzadkością. Stał przy niej koń, wspaniały kary ogier z czerwonymi nozdrzami, i długą, zaplecioną grzywą, której to splot był u Indian wiarygodną oznaką szczególnych zalet.

Siodło na nim i uprząż były indiańskiej roboty. Z tyłu siodła przytroczono płaszcz gumowy. Z jednej z bocznych kieszeni wystawał futerał lornety. Na ziemi leżało ciężkie, dwulufowe narzędzie do zabijania niedźwiedzi. Kiedy Jemmy spostrzegł karabin, uczynił kilka szybkich kroków, podniósł go, przyjrzał mu się i zawołał:

- Ten karabin jest... jest... ach, nigdy go jeszcze nie widziałem, ale rozpoznaję go... Otóż ten karabin i srebrna strzelba wodza Apaczów Winnetou są najbardziej sławnymi karabinami Zachodu. Karabin ten należy...

Utknął w pół zdania i oniemiały wpatrywał się w jego właściciela. Potem ciągnął dalej:

- Do pana należy ten karabin, a sztucer, który ma pan w ręce nie jest także bronią amatora, lecz jednym z nielicznych sztucerów Henriego, jakie podobno istnieje. Frank, Frank, wie pan, kim jest ten człowiek?

- Skąd? Nie widziałem ani jego świadectwa chrztu, ani szczepienia.

- Żarty na bok, człowieku!

Stoi pan przed Old Shatterhandem!

- Old Shat... - kulawy cofnął się kilka kroków do tyłu. - Na miły Bóg! - wykrztusił. - Old Shatterhand! Wyobrażałem go sobie zupełnie inaczej!

- Ja również!

- A jak? - zapytał uśmiechając się myśliwy.

- Że jest wysoki i szeroki jak posąg Varusa! - odpowiedział uczenie Hobble Frank.

- Owszem, w charakterze olbrzyma - przytaknął Gruby.

- Widzicie teraz panowie, że moja sława przewyższa moją osobę. To, co mówią o kimś przy pierwszym ognisku, wyolbrzymia się przy drugim po trzykroć, a przy trzecim jeszcze raz tyle. I w taki oto sposób tworzy się mit

bożyszczka.

- To jednak to, co o panu opowiadają, jest...

- Pah! - uciął krótko Old

Shatterhand. - Zostawmy to! Raczej opowiem teraz wam, w jaki sposób powstały owe zniekształcone ślady stóp! Spójrzcie na te cztery niemal okrągłe, grube plecionki z wikliny zakończone rzemieniami i sprzączkami! Wykonałem je wczoraj w wolnej chwili, aby dzisiaj zmylić moich ewentualnych prześladowców. Jeśli przywiąże się je koniowi, wtedy pozostawia on, szczególnie w piaszczystym gruncie, trop, który uważać można za trop słonia. Zresztą utrudniają one jazdę i są nietrwałe.

- Fantastyczne! - dziwił się

Frank. - Teraz dopiero rozjaśniło mi się w głowie! Są to więc fałszywe kopyta. Co powiedziała by na to nauczyciel z Mortizburga?

- Nie miałem zaszczytu znać tego pana, ale mam tę przyjemność, że obu panów wprowadziłem w błąd. W miejscu skalistym nie powstają ślady, dlatego w tych miejscach zsiadłem, aby zdjąć koniowi wiklinowe obuwie, aby nic nie opóźniało jazdy. Byłem taki ostrożny, gdyż pewne oznaki wskazują, że muszę się liczyć z obecnością wrogich mi Indian. Zaś przypuszczenie to potwierdziło się, kiedy przybyłem do tej jodły.

- Czy są tam ślady Indian?

- Nie, lecz pod tym drzewem mam się dzisiaj spotkać z Winnetou i...

- Winnetou? - przerwał mu

Jemmy. - Czy wódz Apaczów znajduje się tutaj?

- Tak. Mój przyjaciel przybył tuż przede mną i zostawił mi znak, że dziś jeszcze wróci. Nie wiem, gdzie się on teraz znajduje. W każdym razie śledzi Szoszonów.

- Winnetou wie zatem o ich obecności?

- On zwrócił mi na was uwagę.

Wyciął na korze swoje znaki. Wiem, że był tutaj i że zamierza wrócić, i że w pobliżu znajduje się czterdziestu Szoszonów. Muszę tutaj poczekać.

- Więc zostaje pan tutaj?

- Tak, aż zjawi się Winnetou.

Potem odszukamy wraz z nim wasze obozowisko. Mamy wprowadzić inne zamiary, ale jeżeli on na to przystanie, jestem gotów pojechać z wami do Yellowstone.

- Naprawdę? - zapytał Jemmy uradowany w największym stopniu.

- W takim razie mogę przysiąc, że uwolnimy naszych jeńców.

- Nie bądźmy tacy pewni!

Jestem... - Old Shatterhand nie dokończył, gdyż Frank wydał z siebie stłumionym głosem ostrzeżenie. Wskazał ręką, poprzez zarośla widać było nadciągającą piaszczystą równiną gromadę konnych Indian.

- Wskakujcie szybko na konie i spieszcie do swoich! - radził Old Shatterhand. - Jak dotąd jeszcze was nie spostrzegli. Podążę za wami.

- Te dranie natrafią na nasze ślady! - powiedział Jemmy, wskakując szybko w siodło.

- Jedynie ucieczka może was uratować!

- Ale przecież zobaczą pana!

- Niech się pan o mnie nie troszczy! Spieszcie się!

Frank i Jemmy ruszyli w drogę.

Old Shatterhand rozejrzał się

badawczo dokoła. Podobnie jak on ci dwaj pozostawili na żwirowisku nikłe ślady. Żwirowisko najpierw się rozprzestrzeniło, potem stawało się coraz węższe wznosząc się wzdłuż stromego zbocza, wreszcie ginęło pod gęstą jedliną.

Zawiesił sztucer Henriego przy siodle, zaś dwururkę zwaną Postrachem Niedźwiedzi przez ramię, koniowi natomiast rzucił tylko jedno słowo w języku

Apaczów: - Peniil. Chodź!

Kiedy ruszył teraz sam pod górę długim, szybkim krokiem w rosnące na zboczu zarośla, koń podążał za nim niby pies. Zdawało się niemożliwe, że koń potrafi tutaj wejść, jednak wkrótce, zarówno pan jak i jego zwierzę znaleźli się z pewnym wysiłkiem pod drzewami. Old Shatterhand położył koniowi rękę na szyi. - Dih_il_husz. Połóż się! - Koń położył się natychmiast i zastygł bez ruchu. Gromada Szoszonów spostrzegła teraz trop i kierując się nim zbliżała się bardzo szybko.

Mimo iż od zniknięcia obu Niemców nie minęły nawet dwie minuty, Indianie już znaleźli się pod jodłą. Kilku z nich zsiadło z koni, szukając zaginionych śladów.

- Zagacz, zagacz, mioni, mioni! Tutaj, tutaj, dalej, dalej! - wołał jeden z nich.

Znalazł to czego
szukał. Raczej

jednak nie spostrzegł, że zginął mu jeden z trzech końskich śladów. Czerwonoskórzy zniknęli. Old Shatterhand słyszał w swojej kryjówce, że galopem podążyli za dwoma uciekinierami.

W tym momencie koń jego parsknął cicho, co było pewną oznaką, że chce swojemu panu zwrócić na coś uwagę. Koń spoglądał na zbocze. Myśliwy wziął do ręki sztucer, klęknął składając się do strzału i bacznie spoglądał w górę. Drzewa stały tutaj tak gęsto, że nie można było daleko widzieć. Wkrótce jednak opuścił strzelbę. Spoglądając ku górze spostrzegł pod najniższymi gałęziami ozdobioną szczecina jeżozwierza parę mokasynów i wiedział już, że człowiek, który je nosi, jest jego najlepszym przyjacielem.

5. Winnetou

Zbliżający się człowiek był

ubrany dokładnie tak samo jak Old Shatterhand, jedynie zamiast butów z cholewami nosił mokasyny. Również i on nie miał nakrycia głowy. Długie, gęste, czarne włosy uczesane były na kształt hełmu w czub przeplatany skórą grzechotnika. Nie zdobiło go także orle pióro. Człowiek ten nie potrzebował takiego znaku, by być rozpoznawanym i szanowanym jako wódz. Na szyi miał woreczek z lekami, fajkę pokoju i potrójny naszyjnik z niedźwiedzich pazurów, znak zwycięstw, jakie odniósł z narażeniem życia. W dłoni trzymał dwulufowy karabin, którego drewniane części obite były gęsto srebrnymi ćwiekami. Była to owa sławna Srebrna Strzelba, z której kula nigdy nie chybiała celu. Poważne, męskie rysy twarzy przypominały ludzaco Rzymianina - bez wystających kości policzkowych i jasnobrązową matową karnacją.

Był to Winnetou, wódz Apaczów, najwspanialszy z Indian. Imię jego wymieniano w każdym szałasie i przy każdym ognisku. Prawy, mądry, wierny, dzielny aż po zuchwalstwo, pozbawiony fałszu, przyjaciel i obrońca wszystkich potrzebujących pomocy, obojętnie czy byli oni koloru czerwonego, czy białego, i takim znano go wzdłuż i wszerz Stanów Zjednoczonych, a także poza ich granicami.

Old Shatterhand podniósł się z ziemi. Chciał mówić, lecz Winnetou wskazał mu ruchem ręki, aby milczał. Drugie skinienie Apacza oznaczało, że ma go słuchać. Z daleka dochodziły monotonne dźwięki, które się szybko zbliżały. Były to tony mollowe w takcie cztermiarowym, pierwsze dwie ósemki w tercji małej, ćwiartka natomiast w dalszym ciągu pozostawała na primie, co brzmiało mniej więcej jak ccacca.

A potem zabrzmiał w przenikliwej, wysokiej kwincie „e” radosny dźwięk. Nadsluchający usłyszeli teraz głośne stąpanie koni i już można było zrozumieć słowa śpiewu: - Tso_ikwo, tso_igwo! - znaczyło to tyle co skóra skalpu. Old Shatterhand zrozumiał, że obaj Niemcy nie zdołali ująć.

Szoszonowie mijali ich obecnie jadąc sposobem indiańskim jeden za drugim. Jednak pośrodku dwójka Indian eskortowała między sobą obu pojmanych. Biali myśliwi zostali obrabowani z uzbrojenia i przywiązani lassem do swoich koni. Nie zdradzili się żadnym spojrzeniem, iż wiedzą o istnieniu w pobliżu ukrytego pomocnika. Gromada zniknęła. Przez chwilę słychać było jeszcze monotonne - Tso_igwo - potem nastąpiła cisza.

Winnetou odwrócił się i milcząc oddalił z miejsca, na którym stał obok Old Shatterhanda. Old Shatterhand czekał. Mniej więcej po dziesięciu minutach Apacz wrócił prowadząc za uzdę konia, który rasą i maścią podobny był do konia Old Shatterhanda. Był to Ilczy, brat Hatatitli, karego ogiera należącego do Old Shatterhanda, którego mu ongiś podarował Winnetou. Wręcz niewiarygodny był sposób, w jaki owemu zwierzęciu udało się tak sprawnie poruszać w gęstym lesie na pochyłym gruncie. Biały zapytał teraz:

- Czyżby wódz Apaczów odkrył miejsce, w którym wojownicy Szoszonów rozbili swój obóz?

- Winnetou podążył ich tropem

- odparł zagadnięty. - Udali się oni tam, gdzie przed laty woda z gór wypływała do Jeziora Krwi, w górę wyschniętym korytem rzeki. Ślad prowadzi w lewo poprzez wzgórze do kotliny, w której rozbili oni swe namioty.

- Czy są to namioty mieszkalne?

- Nie, wojenne! Ich wodzem

jest Oihka_Petay. Winnetou widział jego twarz z dala i rozpoznał po trzech bliznach na wargach.

- I co postanowił mój brat?

- Winnetou nie ma zamiaru ujawniać się przed Szoszonami. Winnetou się ich nie obawia, ale ponieważ znajdują się oni na wojennej ścieżce, podjęcie walki byłoby nieuniknione, a Winnetou nie chce żadnego z nich zabić, bo oni mu nic złego nie uczynili. Teraz jednak pojмали owe blade twarze. Mój brat Szarlih pragnie tych dwóch uwolnić, i dlatego Winnetou wbrew swej woli będzie musiał z nimi walczyć.

Apacz wypowiedział tak zdecydowanie myśli i zamiary swego przyjaciela, zaś Old Shatterhand uznał to za tak oczywiste, iż nie skwitował owej wypowiedzi żadną uwagą, lecz zapytał jedynie:

- Czy brat mój odgadł, kim są owe blade twarze?

- Winnetou rozpoznał jednego z nich po tuszy i wie, że jest to Jemmy_petahczeh, Gruby Jemmy. Drugi utykał zsiadając z konia. Jego koń był tak wypoczęty i odzież tak świeża, iż ów Mały nie mógł jeszcze długo przebywać w siodle. Mieszka on zatem niedaleko stąd i dlatego jest to chyba Inda_Aguan_hiszgul_denczu, którego blade twarze zwą Hobble Frank. Jest on towarzyszem Łowcy Niedźwiedzi.

Apacze nie znają słowa „utykać”. Cztery słowa, jakie wypowiedział wódz, znaczyły:

„Człowiek, który źle chodzi”.

- Mój czerwonoskóry brat odgadł przydomki obu myśliwych - rzekł Old Shatterhand. - I widział kulejącego Franka. A zatem Winnetou znajdował się w pobliżu nas, kiedy z nimi rozmawiałem?

- Tak. Winnetou zakradł się w pobliże obozowiska Szoszonów i zaobserwował, że część z nich

odjechała w kierunku Jeziora Krwi. Ponieważ wiedział, że jego biały brat tam przybędzie, jechał przez wzgórza oraz przez las prosto w kierunku drzewa, pod którym wyznaczylismy sobie spotkanie. W końcu Ilczy przeszkadzał mu w szybkiej jeździe, jaką podjął po to, by ostrzec białego brata. Dlatego zrezygnował z konia i skradł się dalej pieszo. Stąd widział potem z góry Old

Shatterhanda stojącego na dole z dwiema bladymi twarzami. Winnetou przypuszcza, że obaj biali ludzie nie przybyli sami nad Jezioro Krwi i do Devils Head. Musieli oni natrafić na trop Shatterhanda i odbili od swoich towarzyszy, aby jechać przez pewien czas za nim.

Był to jeszcze jeden dowód jego nieprzeciętnej przenikliwości. Old Shatterhand opowiedział mu w krótkich słowach, to co dowiedział się od Jemiego i Franka. Apacz przysłuchiwał się uważnie i rzekł:

- Uf! Psy Siuksów poderwały się w drogę daremnie. Niech się dowiedzą, iż Old Shatterhand i Winnetou nie ścierpią, by Łowca Niedźwiedzi znalazł śmierć przy palu męczarni. Dzisiaj jeszcze uwolnimy Grubego i Kulawego i pojedziemy wtedy z nimi i z ich przyjaciółmi w górę nad To_eng_li tlitsu.

- Mój czerwonoskóry brat odgadł moje życzenie. Nie przybyliśmy w te strony, aby przelewać krew czerwonoskórych, ale nie pozwolimy także, aby niewinni zostali straceni przez Siuksów_Oglala. Niech mnie Winnetou poprowadzi do tych, którzy wyruszyli im na ratunek!

Zeszli z końmi w dół stromego stoku, wsiedli na nie i udali się w tym samym kierunku, w jakim Jemmy i Frank podjęli wcześniej nieudaną ucieczkę.

Zbliżał się zmrok i dlatego

obaj popędzili rącho swoje konie. Wkrótce dotarli do miejsca, w którym Szoszonowie doścignęli zbiegów. Zatrzymali się tam na moment, po to, aby zbadać ślady.

- Nie było tu żadnej walki - stwierdził Winnetou.

- Nie. Gdyby obaj myśliwi się bronili, wtedy z pewnością wpadliby w ręce Szoszonów nie bez obrażeń. Przewidywali mądrze, że walka mogłaby tylko pogorszyć ich sytuację, i dlatego woleli się dobrowolnie poddać. Winnetou uczynił jeden z właściwych sobie zdecydowanych gestów i rzekł:

- Męstwo jest chlubą mężczyzny, jednak mądrością można pokonać więcej wrogów aniżeli tomahawkiem.

Jechali dalej prosto na południe, u stóp ciągnącego się pasma wzgórz, mając po lewej stronie nieckę dawnego jeziora.

- Czy mój brat wymyślił już plan uwolnienia obu białych? - zapytał Old Shatterhand.

- Winnetou nie potrzebuje planu. Wróci po prostu do Szoszonów i uprowadzi im jeńców. Indianie spod znaku Węża dowiedli, że nie mają oleju w głowie.

Old Shatterhand zorientował się natychmiast, co Winnetou miał na myśli.

- Zgadza się - powiedział. -

Nikt z nich nie pomyślał o tym, że biali myśliwi nie znaleźli się tutaj sami. W innym przypadku wysłaliby przynajmniej zwiadowców. Mamy zatem do czynienia z ludźmi, których rozum nam nie zagraża. Gdyby Oihitka_petay, ich wódz, był razem z tym oddziałkiem, pozostawiłby z pewnością na miejscu kilku zwiadowców.

- Nic by nie znaleźli, gdyby

Winnetou i Old Shatterhand ściągnęliby ich wzrok na siebie dla zmylenia.

Dotarli obecnie do miejsca,

gdzie wąwóz stromo wspinał się ku górze w kierunku zachodnim. Znaleźli tam poszukiwane ślady, lecz było tak już ciemno, że odcisków nie dało się wyraźnie rozpoznać. Skręcili w prawo za tropem.

Wąwóz był stosunkowo szeroko i łatwo przejezdny, tak iż mimo ciemności, obaj jeźdźcy posuwali się szybko. Ponieważ mieli nie podkute konie, stąpanie kopyt po miękkim gruncie powodowało tak nikły szmer, że było słyszalne jedynie z bliska. Nagle wąwóz rozdzielił się i wąska jego odnoga odbijała w lewo. Old Shatterhand i Winnetou zatrzymali się. Czyżby czwórka tych, których szukali, chciała tutaj założyć obozowisko?

Kiedy tak stali cicho, kary koń Winnetou zaczął grzebać nogą i parskać, co zwykle było oznaką tego, że zwietrzył coś obcego, a może nawet i wrogiego.

- Jesteśmy na właściwej drodze

- uznał Old Shatterhand. - Skręcajmy w lewo. Ilczy chce nam powiedzieć, że tam się ktoś znajduje.

Jechali wolno około dziesięciu minut i przybyli do miejsca, w którym wąwóz tworzył zakręt. Kiedy mieli już ową krzywiznę za sobą, zobaczyli w odległości może stu kroków ognisko. Wąwóz się tam rozszerzał i tworzył porośnięte drzewami miejsce, pośrodku którego tryskało z ziemi źródło, skąpa ilość wody po chwili znikła w piaszczystym gruncie.

Przy źródle nie było drzew, otaczał je niewielki, wolny plac, na którym płonęło ognisko.

Old Shatterhand i Winnetou spostrzegli trzy postacie siedzące przy ognisku, nie mogli jednak dojrzeć rysów twarzy z powodu znacznej odległości.

- Jest ich tylko trzech, a my szukamy czterech - powiedział Winnetou.

- Zanim zdradzimy naszą obecność, zobaczymy, kogo przed sobą mamy.
Zsiedli z koni.

- Wystarczy, że udam się tam sam - powiedział Old Shatterhand.

- Zgoda! Winnetou zaczeka.

Ujął konie za uzdę i odszedł z nimi możliwie najdalej na bok ku ścianie skalnej. Old Shatterhand przemykał ostrożnie aż do drzew i skradał się potem dalej od pnia do pnia, aż za ostatnim z drzew się położył mogąc teraz z całym spokojem obserwować siedzącą trójkę. Rozumiał nawet pojedyncze słowa.

Byli to Długi Davy, Wohkadeh i Martin Baumann. Nie było z nimi Murzyna Boba. Dobrotliwy Bob był zachwycony ryzykowną wyprawą i poczuł się bardzo ważny, dlatego po posiłku wstał od ogniska i oznajmił, że będzie czuwał nad bezpieczeństwem swojego młodego massy i obu massers. Davy wyjaśniał mu na próżno, że nie jest to teraz wcale potrzebne.

Zamiast jednak strzec miejsca do wąwozu, skąd najprawdopodobniej mogło się pojawić ewentualne zagrożenie, Bob gorliwie penetrował właśnie przeciwną stronę. Nie spostrzegł tam nic podejrzanego i wracał do ogniska, lecz nie przysiadł przy nim, tylko szedł dalej właśnie w momencie kiedy Old Shatterhand dotarł do drzewa.

- Bob - przestraszył go Davy - siadaj tutaj! Na co to twoje łażenie? Z pewnością nie ma tu w pobliżu żadnych Indian.

- Skąd massa Davy może to wiedzieć? - odparł Bob. - Indianie mogą być wszędzie, na prawo, lewo, tu, tam, w górze, na dole, z przodu, z tyłu...

- I w twojej głowie też! - roześmiał się Długi.

- Massa może się śmiać. Bob znać swój obowiązek. Masser Bob być wielki i sławny westman. On nie zrobić żadnego błędu.

Przyjść jeden Indianin, masser Bob go zaraz zabić.

Złamał młody, uschnięty świerk i trzymał w potężnych dłoniach jak pałkę z jego pnia. Z taką bronią czuł się bezpieczniejszy, niż gdyby miał w ręce strzelbę. Z godnością kroczył obecnie w przeciwnym kierunku. Ponieważ zmierzał dokładnie do miejsca, w którym stał Winnetou, należało oczekiwać drobnego nieporozumienia, dlatego Old Shatterhand leżał nadal spokojnie za drzewem.

I nie przeliczył się. Murzyn zbliżył się do wspomnianego miejsca. Od dawna wiadomo, iż konie indiańskie z trudem zaprzyjaźniają się z Murzynami, co w każdym razie znajduje swoje uzasadnienie w ostrej woni ich ciała. Oba konie zaczęły się niepokoić wietrząc z daleka Boba. Winnetou spostrzegł ciemną

barwę ciała zbliżającego się człowieka, a ponieważ od Old Shatterhanda słyszał, iż z tymi, których szukali, znajduje się Murzyn, był teraz przekonany, że ma przed sobą przyjaciół. Dlatego nie wykazywał oznak wrogości, lecz pozwolił czarnemu, by się ku niemu spokojnie zbliżył, lecz jeden z koni parsknął, co nie uszło uwagi Boba. Bob się zatrzymał nadsłuchując. Ponowne parsknięcie utwierdziło go w przekonaniu, że coś się tutaj nie zgadza.

- Kto tam być? - zawołał.

Odpowiedzi nie było.

- Bob pytać, kto, kto tam być!

Jeżeli nie odpowie, masser Bob zabić, kto tam być!

Nadal nie było odpowiedzi.

- A więc wszyscy, którzy tam być, muszą umrzeć!

Murzyn uniósł w górę pałkę i

podszedł bliżej. Ogier należący do Winnetou zjeżył grzywę, zaiskrzyły mu się oczy. Stanął dęba i przednimi kopytami chciał dosięgnąć Boba. Murzyn ujrzał

przed sobą olbrzymią postać. Spozregł gorejące oczy i usłyszał groźne parskanie. Jedno z kopyt przemknęło mu obok głowy, koń zaś opadając odrzucił go na stronę. Bob był zazwyczaj dzielnym chłopcem, ale zadawać się z takim przeciwnikiem wydawało mu się zbyt ryzykowne. Wypuścił z ręki pałkę, zaczął zmykać i krzyczał przy tym ze wszystkich sił:

- Woe tome! Help, help, help!

On chce zabić masser Bob! On chce masser Bob pożreć! Help, help, help!

Trzech mężczyzn siedzących przy ognisku poderwało się z miejsca.

- Co się tam dzieje? - zapytał Davy.

- A gigant, olbrzym, upiór, duch chce masser Bob udusić!

- Pleciesz! Gdzie?

- On być tam przy skale!

- Nie bądź śmieszny! Upiórów przecież nie ma.

- Masser Bob go widzieć!

- To z pewnością skała ma jakiś dziwny kształt.

- Nie, to nie być skała!

- A może drzewo?

- Drzewo też nie. To być żywe.

- Zamroczyło cię.

- Masser Bob się nie mylić.

Upiór być wielki, o taki, taki!

- Uniósł przy tym obie ręce w górę, wysoko, jak tylko mógł. - On mieć oczy jak ogień i paszczę otwierać jak smok, dmuchnąć tak mocno na masser Boba, że on upaść. Masser Bob widzieć duża broda, taka duża, taka długa!

W każdym razie mimo ciemności dostrzegł długie włosy końskiej grzywy, które uznał za brodę olbrzyma.

- Straciłeś chyba rozum! - stwierdził Davy.

- Och, masser Bob mieć rozum, bardzo dobry rozum. I wie, co on widzieć. Massa Davy tylko tam pójść i też popatrzeć!

- A więc idziemy zobaczyć, co

to za przedmiot, który Murzyn uznał za olbrzyma albo za upiora!

Chciał ruszyć się z miejsca.

Nagle ktoś się za nim odezwał:

- Niech pan tam nie chodzi, mister Davy! Nie ma tutaj żadnego upiora. Długi rozglądał się dookoła i podniósł strzelbę na wysokość policzka. Wohkadeh w tym samym momencie również złożył się do strzału, to samo uczynił Martin Baumann. Wszystkie trzy lufy skierowane zostały na Old Shatterhanda, który się teraz podniósł i wyszedł zza drzewa.

- Good evening! - powiedział na powitanie. - Odłóżcie wasze strzelby, mesh. shurs! Przybywam jako przyjaciel i mam wam przekazać pozdrowienia od Grubego Jemmy i Hobble Franka.

Długi Davy opuścił na te słowa strzelbę, zaś pozostali uczynili to za jego przykładem.

- Nas od nich pozdrowić? - zapytał zdumiony.

- A więc spotkał pan ich?

- Oczywiście, i to tam w dole, na skraju Jeziora Krwi, dokąd powiódł ich trop słońca.

- To się zgadza. Czy udało im się wyjaśnić, kim był ów słoń?

- Owszem, to był mój koń.

- Zounds! Czy ma on tak ogromne platformy, sir?

- Nie, wręcz przeciwnie, ma on niemal delikatne kopyta, lecz ukryte zostały w obuwiu z sitowia, aby zmylić wrogich Indian.

Długi zrozumiał natychmiast, o co tutaj chodziło.

- Sprytna myśl! Otóż nasz gość przywiązuje swemu koniowi podeszwy słońca, by zmylić ludzi, którzy spostrzegą potem ów trop! Do licha, bardzo dobra myśl. Tak wspaniała, jak gdybym to ja wymyślił!

- Zgoda, Długi Davy ma spośród wszystkich myśliwych buszujących na obszarach od morza do morza zawsze najlepsze pomysły!

- Niech pan sobie ze mnie nie

drwi, sir! Taki mądry jak pan jestem chyba również. Chyba pan temu nie zaprzeczy? Wzrok Daviego prześlizgnął się pogardliwie po nienaganej postaci Old Shatterhanda.

- Wcale w to nie wątpię - brzmiała odpowiedź. - A jeśli pan jest taki mądry, to chyba będzie pan mógł powiedzieć, kim jest ów upiór, którego zobaczył pański poczciwy Bob?

- Skonsumuję cetnar kul, w dodatku bez masła i pietruszki, jeśli nie był to pański koń.

- Uważam, że prawie pan zgadł.

- Aby to odgadnąć, nie trzeba było być gimnazjalistą jak Gruby Jemmy, ale niech mi pan wreszcie powie, gdzie się ten drań z Frankiem właściwie podział! Dlaczego przybywa pan sam?

- Bo oni zostali zatrzymani.

Gromada Szoszonów zaprosiła ich na kolację.

Długi Davy okazał gestem zatroszenie.

- Heavens! Chce pan przez to może powiedzieć, że zostali oni schwytani?

- Niestety, zostali napadnięci i uprowadzeni.

- Przez Szoszonów? Schwytani?

Uprowadzeni? Tego już za wiele!

Wohkadeh, Martin, Bob, na konie!

Ścigamy Szoszonów!

- Chwileczkę, sir! ostrzegł

Old Shatterhand. - Czy pan wie, gdzie można ich znaleźć?

- Nie, ale mam nadzieję, że może pan nam to powie!

- A ilu mają oni wojowników?

- Wojowników? Czyżby uważał pan, że będę liczył wojowników, jeśli wchodzi w grę odbicie mojego Grubego Jemmy? Może być ich zarówno stu albo dwóch, to obojętne: trzeba go uwolnić!

- Zaczekajcie trochę, zanim zrealizujecie swój zamiar! Myślę, że mamy sobie jeszcze coś niecoś do powiedzenia. Nie jestem bowiem sam. Oto i mój przyjaciel, który chce panom również powiedzieć dobry wieczór.

Winnetou spostrzegł, że Old Shatterhand rozmawia z mężczyznami, dlatego zbliżył się prowadząc konie. Długi Davy był wprawdzie nieco zaskoczony, widząc czerwonoskórego w towarzystwie białego człowieka, ale uznał go za godnego uwagi, gdyż powiedział:

- Czerwonoskóry! Tak samo elegancki jak pan. Nie wygląda mi pan na westmana...

- Nie, właściwie to nim nie jestem. Znów pan to od razu zgadł.

- Tak też myślałem. Zaś ten

Indianin jest z pewnością człowiekiem osiadłym, jednym z tych, którym Wielki Ojciec z Waszyngtonu podarował pełne garście ziemi.

- Teraz pan się myli, sir!

- Trudno.

- Mój towarzysz nie jest człowiekiem, który by przyjął w darze ziemię od prezydenta Stanów Zjednoczonych. On to raczej...

Wohkadeh przerwał mu wydając okrzyk radosnego zdumienia. Młody Indianin podszedł do Winnetou i spojrzał na broń w jego dłoni:

- Uff, uff! - zawołał. -

Macakan maca_ska! Srebrna Strzelba!

Długi, na tyle rozumiał mowę Siuksów, że wiedział, co ma na myśli Wohkadeh.

- Srebrna Strzelba? - zapytał.

- Gdzie? Ach, tutaj, istotnie!

- To jest Macakan_maca_ska - powtórzył Wohkadeh. - Czerwonoskóry wojownik to Winnetou, wielki wódz Apaczów!

- Lack_a_day! - zawołał Długi.

- O ile ów czerwonoskóry gentelman faktycznie nazywany jest Winnetou, wtedy niechybnie... - Davy zakrztusił się. Myśl, która go nawiedziła, spowodowała, że zapomniał zamknąć ust. Wlepił wzrok w Old Shatterhanda, zatarł dłonie, nabrał powietrza i wreszcie

ciągnął dalej: - Spudłowałem! O ile ten Indianin to Winnetou, to pan nie jest kim innym tylko Old Shatterhandem, gdyż oni obaj są tak ze sobą zespoleni jak Gruby Jemmy ze mną. Czy to się zgadza, sir?

- Owszem, nie pomylił się pan.

- Z radością chciałbym wszystkie gwiazdy z nieba zawiesić na drzewach, aby wieczór, w którym was poznałem, uświetnić iluminacją! Witajcie, mesh. shurs, witajcie przy naszym ognisku! Wybaczcie nietakt, jaki popełniłem! Davy wyciągnął z entuzjazmem obie dłonie ściskając ręce przybyszy. Bob nie odzywał się wcale. Wstydział się po prostu, iż konia wziął za upiora. Wohkadeh przysunął się w pobliże drzew i przyglądał się przybyszom wzrokiem pełnym podziwu ze skromnością, jaka winna cechować jego młodość. Również Martin Baumann przyglądał się obu mężczyznom znanym mu bardzo dokładnie z wielu bohaterских wyczynów, oczywiście nie z takiej odległości, jak to czynił młody Indianin, lecz także czuł, że znajduje się oto przed ludźmi, których gorąco pragnął naśladować.

Winnetou pozwolił, by Davy uściśnął mu dłoń. Trzech pozostałych ludzi pozdrowił skinieniem głowy. Odpowiadało to jego poważnemu charakterowi. W przeciwieństwie do niego Old Shatterhand, który był pogodnego usposobienia i bardziej otwarty, podawał im kolejno swoją prawicę. Wohkadeh przeżył to do tego stopnia, że cicho zapewnił:

- Wohkadeh odda chętnie swoje życie za Old Shatterhanda! Howgh!

Po tym powitaniu Old Shatterhand i Winnetou zasiedli ze wszystkimi przy ognisku.

Biały myśliwy opowiadał,
natomiast Apacz w milczeniu
nabijał fajkę. Długi Davy

zrozumiał, że Winnetou zamierza z nimi wypalić na znak zawarcia przyjaźni fajkę pokoju. Jego przypuszczenie potwierdziło się, gdyż Old Shatterhand oznajmił pod koniec swojej relacji, że Winnetou oraz on uwolnią jeszcze dzisiaj Jemmiego i Franka, a potem pojedą z nimi nad Yellowstone River.

Fakt wypalenia fajki uroczyście przypieczętował to postanowienie.

Długi Davy złościł się świadom tego, iż Jemmy znajduje się w mocy Szoszonów, zaś Martin był bardzo zatroskany o Hubble Franka. Obaj gotowi byli ryzykować życiem, by go uwolnić, i naglili do wyruszenia w drogę.

Pozostali również się nie ociągali. W pośpiechu, jak tylko to było możliwe, cała szóstka wracała drogą, którą tutaj przybyła, ku wlotowi wąwozu. Opuszczając

główny wąż skręcili w lewo na północ. Nie ujechali daleko, gdy Winnetou zatrzymał konia. Reszta uczyniła bezzwłocznie to samo.

- Winnetou wyprzedzi was - oznajmił. - Moi bracia niech podążają za mną lekkim truchtem, unikając wszelkiego szmeru. Niechaj robią wszystko, co zarządzi Old Shatterhand.

Zsiadł z konia i przez chwilę zajmował się jego kopytami. Wskoczył następnie znów na siodło i oddalił się z cichym i głuchym odgłosem, jakby ktoś pięścią uderzał o ziemię. Reszta podążała za nim nieco wolniej.

- Co on zrobił? - spytał Davy.

- Nie widzieliście, że kiedy jechałem obok niego, podałem mu kapcie z sitowia? - odparł Old Shatterhand. - Przywiązał je swemu koniowi, aby go nie słyszano i sam mógł lepiej słyszeć.

- Dlaczego?

- Szoszonowie, którzy pojмали waszych towarzyszy, nie wpadli na myśl, że dwaj biali mogą mieć

w pobliżu sprzymierzeńców, lecz Dzielny Bawół będący ich wodzem jest mądrzejszy i bardziej przezorny od swoich wojowników. Pomyśli więc sobie, że dwaj myśliwi z pewnością nie zapuścili się sami w tę niebezpieczną okolicę, dlatego możliwe jest, że jeszcze teraz roześle swoich zwiadowców.

- Pah! Byłoby to chyba niecelowe przedsięwzięcie. W jaki sposób chciałyby te łobuzy znaleźć nas w takich ciemnościach? Nie wiedzą, gdzie się znajdujemy i nie zdołają także zobaczyć naszych śladów.

- Nazwisko pana, mister Davy, znane jest jako należące do wytrawnego westmana, dlatego dziwi mnie pańskie stwierdzenie. Szoszonowie mają tutaj swoje tereny łowieckie i pastwiska, więc okolica ta jest im dobrze znana.

- Rozumiem.

- Zatem rozważajmy dalej! Czy przezorni myśliwi obozowaliby tutaj na otwartej przestrzeni, na piachach niegdysiejszego jeziora?

- W żadnym razie, schroniliby się z pewnością pośród gór.

- A więc w dolinie lub w jakimś wąwozie. Możecie jednak zjeździć całą okolicę, a nie znajdziecie żadnego innego parowu poza starym łożyskiem wodnym, którym podążali Szoszonowie i w którym zalegliście i wy sami. Tym samym tylko tam należy was szukać.

- Do diabła! Ma pan istotnie rację, sir!

- Idźmy jeszcze dalej: jeśli w takich okolicach jak ta ludzie się rozłączają, to tylko na krótko. Wynika z tego, że również wy nie znajdujecie się daleko od Jemmiego i Franka.

Wasze obozowisko nie może się
znajdować w wąwozie zbyt daleko
stąd, a ponieważ istnieją tam
ustronne odgałęzienia, które
każdy rozsądny westman wybierze

raczej niż wąwóz główny, Szoszonowie wiedzą bardzo dobrze, gdzie się znajdujecie. Wie to wszystko także Winnetou, dlatego wyprzedził nas, aby zapobiec wykryciu naszej gromadki przed ewentualnymi zwiadowcami.

Davy pomrukiwał półgłosem sam do siebie i powiedział:

- Bardzo dobrze, sir! Ale działanie Apacza wydaje mi się bezsensowne. Czy może on w takich ciemnościach zauważyć ewentualnych zwiadowców, nie ryzykując, że i oni również go zobaczą albo przynajmniej usłyszą?

- Nie wolno zadawać takich pytań, gdy mowa jest o Winnetou. Przede wszystkim ma on wspaniałego, cudownie wyszkolonego konia. On to naprowadził nas właśnie, stając u wejścia do bocznego wąwozu, na wasz ślad, i teraz również, ponieważ jedziemy pod wiatr, da znak swemu panu o każdym zbliżającym się nawet z dużej odległości stworzeniu. W tym przypadku nie znacie możliwości Apacza. Jego zmysły wyostrzone są na podobieństwo zmysłów dzikiego zwierzęcia, a czego nie przekaże mu wzrok, słuch lub zapach, powie ów specyficzny dla niego... jakby to rzec... szósty zmysł, który posiadają tylko ludzie żyjący od młodych lat w puszczańskich warunkach. Jest to swego rodzaju dar przewidywania, rodzaj instynktu, na którym Winnetou może się oprzeć równie mocno jak zawierzyć własnym oczom.

- Hm, ja także nie jestem tego pozbawiony.

- Ja również. Ale z Winnetou nie możemy się w tym względzie porównywać. Poza tym nie wolno wam zapominać, że jego koń ma założone kaptcie, podczas gdy Szoszonowie, jeśli niektórzy z nich faktycznie znajdują się w drodze, nie unikną tętentu końskich kopyt. Dopiero kiedy

znajdą się w wąwozie, będą się skradać pieszo.

- Hm, jeśli pan wyjaśni to komuś w taki sposób, wówczas trzeba panu koniecznie przyznać rację. Powiem panu otwarcie, znajdowałem się w niejednej opresji i niejednemu sprytnemu draniowi dałem się we znaki, dlatego zawsze uważałem, że swój rozum mam, teraz muszę jednak panu przyznać przewagę. Winnetou powiedział przedtem, że mamy się zastosować do pańskich poleceń, i było mi to trochę nie w nos. Obecnie przyznaję, że miał rację. Zdecydowanie nas pan przewyższa i dlatego w przyszłości oddam się chętnie pod pana rozkazy.

- Tak nie myślałem. Nie przypisuję sobie żadnego pierwszeństwa. Każdy z nas służy drugiemu człowiekowi tym, czym go natura obdarzyła, a także swoim doświadczeniem, i nikomu nie wolno nic poczynać bez zgody pozostałych. Tak powinno być i my również będziemy tak postępowali.

- Well! Jestem tego samego zdania. Jak jednak postąpimy, kiedy natkniemy się na zwiadowców, sir? Chyba ich zlikwidujemy?

- O, nie. Wiedźcie, panowie, że krew ludzka jest bezcennym płynem. Winnetou i Old Shatterhand nie przelali nawet kropli krwi, jeśli nie było to niezbędnie konieczne. Jestem przyjacielem Indian i znam przyczyny, które ich wciąż na nowo zmuszają do obrony swoich słusznych praw, także krwawo.

Jest to ze strony
czerwonoskórego walka będąca
odruchem rozpacz. Przegrywa,
lecz każda indiańska czaszka,
która kiedykolwiek zostanie
wyorana z tej ziemi, będzie
niemym krzykiem oskarżenia
wznoszonym ku niebu. Oszczędzam
Indianina nawet wtedy, gdy
występuje on przeciwko mnie,

gdyż wiem, że zmuszają go do tego inni, dlatego również i dziś nie mam zamiaru dokonać morderstwa.

- W jaki zatem sposób chce pan unieszkodliwić Szoszonów nie uśmiercając ich? Przecież kiedy oni się na nas natkną, niechybnie dojdzie do walki. Będą się bronili strzelbą, tomahawkiem, nożem...

- Pah! Zaczekać! Będziemy...

Stop, myślę, że nadjeżdża Apacz!

Mimo że wcale go nie słyszeli, w tym momencie zatrzymał się przed nimi Winnetou.

- Jest, dwóch zwiadowców! - rzucił krótko.

- Rozumiem! - odparł Old

Shatterhand. - Winnetou, Davy i ja pozostaniemy tutaj. Pozostali udadzą się bezzwłocznie na piachy, zabiorą ze sobą konie i będą tam czekać aż ich zawołamy. Zeskoczył z konia, Davy uczynił to samo. Winnetou przekazał uzdę swojego Ilczy Wohkadehowi. Broń została przytroczona do siodła. Cała trójka zniknęła w ciągu kilku sekund.

- A co my mamy robić? - spytał

Davy.

- Nic, tylko uważać - odparł

Old Shatterhand.

- Przyłgnijcie do drzewa, aby nie było was widać! Słyszycie, zbliżają się!

- Nie, darteh, szy ohji. Tego ja, a tamtego ty - szepnął Apacz, czyniąc ręką gest w lewo i w prawo, a potem zniknął.

Długi Davy przywarł mocno do drzewa. Załedwie dwa kroki od niego Old Shatterhand położył się plackiem na ziemi. Dwaj Szoszonowie zbliżali się stosunkowo szybko, rozmawiając. Język ich zdradzał, że są to istotnie Szoszonowie. To wystarczało. Przeszli.

Długi widział, jak Old Shatterhand poderwał się z ziemi i nabierał rozpędu.

- Zoghuk! Pies! - zawołał

jeden ze zwiadowców. I nic więcej nie wyrzekł.

Davy skoczył ze swego miejsca. Spostrzegł dwie postacie na jednym koniu, a raczej cztery postacie siedzące na dwóch koniach: obaj napastnicy za plecami napadniętych. Zwierzęta się przestraszyły. Kopały do tyłu, do przodu, stawały dęba - daremnie. Obaj mężczyźni mocno trzymali swoje ofiary i ich konie. Po krótkiej walce pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem atakujący zwyciężyli. Konie uspokoiły się.

- Ezah? Gotowe? - pytał biały odwracając głowę w prawo.

- Ezah! - odpowiedział

Winnetou.

Old Shatterhand zeskoczył z konia trzymając w ramionach nieprzytomnego zwiadowcę.

- Hej tam, ludzie, zbliżcie się!

W odpowiedzi na to głośne zawołanie znów przybyli konno Wohkadeh, Martin i Bob.

- Mamy ich. Przywiążemy ich lassem do ich własnych koni i będą nam towarzyszyć. W ten sposób mamy dwóch zakładników, którzy mogą nam się przydać. Szoszonowie, którzy mieli ściśnięte krtanie, wkrótce przyszli do siebie. Zostali rozbrojeni, zaś ręce im związane.

Ponadto każdemu z nich przewiązano usta chustą, tak że wprawdzie mogli oddychać przez nos, nie mogli natomiast mówić ani krzyczeć. Przywiązano ich do koni, ręce skrupowano im z tyłu, nogi natomiast zawiązano mocno lassem pod końskim brzuchem. Old Shatterhand powiedział im, że przy najmniejszym nawet oporze zostaną zabici. I ruszono w dalszą drogę. Mimo że zwiadowców schwytano, Winnetou znów wysforował się do przodu.

Po pewnym czasie dotarli do
dawniejszego koryta wody, za
którym należało podążać w lewo,
w góry. Jeźdźcy skręcili. Nie

rozmawiali, gdyż któryś ze zwiadowców mógł mówić po angielsku.

Po upływie pół godziny spotkali Winnetou, który wysforowawszy się daleko do przodu, tutaj się zatrzymał:

- Moi bracia niech zsiądą z koni - rozkazał. - Szoszonowie przemierzali tędy las ku wzniesieniu. Musimy się udać za nimi.

Było to obecnie niełatwe, ponieważ jeńcy musieli pozostawać na koniach. Pod drzewami było ciemno. Mężczyźni zmuszeni byli jedną ręką odgarniać gałęzie, a drugą ciągnąć za sobą konie. Okazało się teraz, jakie walory posiadają Ilczy i Hatatitla. Szły one jak psy za swoimi panami i mimo uciążliwej drogi nie sapały nawet po cichu, podczas gdy oddychanie pozostałych koni niosło się dość daleko.

Wreszcie pokonano uciążliwą drogę. Apacz zatrzymał się:

- Moi bracia są u celu - powiedział. - Niech zatem uwiążą konie, a potem niech pomogą przywiązać jeńców do drzew!

Polecenie zostało wykonane. Szoszonów przywiązano do drzew, każdego oddzielnie. Apacz wezwał teraz swoich towarzyszy, by ci podążyli za nim.

Poprowadził ich kilka kroków dalej, tam gdzie wzgórze, na które przyszli od wschodu, opadało dość stromo w dół ku zachodowi. W dole znajdowała się kotlina, o której mówił Winnetou, a z której teraz unosił się płomień. Ale widać było jedynie jego odbłask i nic więcej. Wszystko inne spoczywało w głębokim mroku.

- A więc tam w dole siedzi mój

Gruby - stwierdził Davy. - Co on tam robi?

- To, co u Indian robi każdy jeniec, to znaczy nic - wyjaśnił młody Baumann.

- Oho! Nie znasz zatem

Jemmiego, my boy! Wymyślił on już z pewnością sposób, w jaki jeszcze dziś bez zgody czerwonoskórych zdoła odbyć mały spacer.

- Bez naszej pomocy nie powinien tego czynić - zaproponował Old Shatterhand. - Prawdopodobnie liczy na nas.

- A więc nie traćmy na próżno czasu, zatem proszę z konia, sir!

- Musimy to zrobić oczywiście po cichu i ostrożnie, po kolei. Ktoś jednak, komu możemy zaufać, musi pozostać przy koniach i jeńcach, myślę tu o Wohkadehu!

- Uff! - wyraził swoje zadowolenie młody Indianin, zachwycony zaufaniem, jakim obdarzył go Old Shatterhand.

Oczywiście, że było ryzykiem pozostawienie młodocianego Indianina samego z jeńcami i końmi, które dźwigały na sobie cały dobytek jeźdźców, lecz szczerze, z jaką Wohkadeh wyznał, iż gotów jest nawet za cenę życia służyć Old Shatterhandowi, zjednała mu serce myśliwego. Old Shatterhand zauważył zresztą u chłopaka zimną krew, niezbędną człowiekowi, któremu powierza się tak odpowiedzialny posterunek.

- Mój młody czerwony brat pozostanie przy jeńcach z nożem w dłoni - poradził mu - a gdyby któryś z Szoszonów odważył się na próbę ucieczki albo spowodował chociażby szmer, należy go unieszkodliwić.

- Wohkadeh nie omieszka tego uczynić! - zapewnił to w tonie, który świadczył o tym, jak bardzo serio traktuje swoje zapewnienie. Wyjął nóż i usiadł pomiędzy jeńcami, których raz jeszcze ostrzeżono. Natomiast cała piątka zajęła się uciążliwym schodzeniem.

Zbocze, o czym już wspomniano,
było dość strome. Drzewa rosły
tu bardzo gęsto, również gęste
było podszycie, tak że nasi

odważni mężczyźni przy zachowaniu wszystkich niezbędnych środków ostrożności posuwali się bardzo wolno. Unikać należało szmerów. Trzask łamanych gałęzi szybko mógł ich zdradzić.

Winnetou schodził pierwszy. Miał bowiem w nocy najdoskonalszy wzrok. Za nim szedł Martin Baumann. W kolejności posuwał się Długi Davy, za którym podążał Murzyn Bob. Old Shatterhand szedł na końcu.

Upłynęły trzy kwadranse, nim pokonano trasę, która za dnia wymagałaby dobrych dziesięciu minut. Mężczyźni znajdowali się teraz na dole w kotlinie na skraju lasu. Jej dno, porośnięte trawą, było pozbawione drzew. Tylko tu i ówdzie wznosił się pojedynczy krzak.

Ogień płonął stosunkowo jasno, wzniecony wcale nie na indiański sposób. Oznaczało to, iż Indianie czują się absolutnie bezpieczni. Biali układają drwa jedno na drugich, tak że ogień pochłaniając je tworzy buchający wysoko w górę, z daleka widoczny i wydzielający dużo dymu płomień, Indianie zaś układają szczapy gwiaździste, zapalone w środku dają niewielki płomień podsycany w miarę spalania przesuwanymi ku środkowi drwami. Powstaje w ten sposób ogień, który zaspokaja potrzeby czerwonoskórych i daje nikły, łatwy do ukrycia płomień, wydzielający tak niewiele dymu, że z pewnej odległości trudno go dostrzec. Na dodatek Indianie potrafią wybrać takie drewno, które spalając się wydziela najmniej woni. Woń dymu jest bowiem na Zachodzie szczególnie zdradliwa. Wrażliwy nos Indianina wyczuje ją z daleka.

Ognisko, które mieli przed
sobą, jak się rzekło, rozpalone
było, jak czynią to biali, zaś
zapach pieczonego mięsa wionął

na całą kotlinę.

Widoczne były także trzy duże namioty. Tworzyły one wierzchołki ostrokątnego trójkąta, którego wysokość znajdowała się najbliżej piątki nasłuchujących. Stanowił ją przystrojony w orle pióra namiot wodza. Pośrodku trójkąta płonęło ognisko. Konie czerwonoskórych pasły się na trawie wolne i nie skrępowane. Wojownicy siedzieli wokół ognia, odcinając przypadające im części pieczeni smażącej się nad płomieniem na gałęzi. Mimo poczucia bezpieczeństwa wystawili jednak kilku wartowników.

- Głupia sprawa - zamruczał

Davy. - W jaki sposób wydostaniemy stąd naszych przyjaciół? Jak myślicie, mesh. shurs?

- Najpierw chciałbym usłyszeć pana zdanie, mister Davy - odparł Old Shatterhand.

- Moje pytanie Zounds! Nie mam niestety żadnego pomysłu.

- Zatem niech pan będzie łaskaw trochę pomyśleć!

- Też nic nie pomoże.

Wyobrażałem sobie tę sprawę nieco inaczej. Te czerwonoskóre nicponie są niespełna rozumu, aby usadowić się tak pomiędzy namiotami wokół ogniska, że zupełnie nie można się przedostać do żadnego z nich. Mogli wymyślić coś innego!

- Zdaje się, że uwielbia pan wygodę, sir. Życzyłby pan sobie może, by Indianie zainstalowali konny tramwaj od namiotów aż dotąd, aby dostarczyć panu pańskiego Grubego Jemmy? W takim razie musi pan zrezygnować z pobytu na Zachodzie!

- Dobra, dobra. Gdyby to przynajmniej wiedzieć, w którym z namiotów ci dwaj są trzymani.

- Przypuszczalnie w namiocie wodza.

- Mam zatem pewien pomysł.

Będziemy się skradać możliwie

jak najbliżej i napadniemy na nich, gdy tylko nas spostrzegą. Podniesiemy przy tym taki krzyk i narobimy tyle strasznej wrzawy, by odnieśli wrażenie, że jest nas co najmniej stu. Czmychną z samego strachu. My zaś wydostaniemy z namiotu jeńców i oddalimy się tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. Podoba się wam ten plan?

- Absolutnie nie.

- Oho! Uważa pan, że wymyśli pan coś lepszego?

- Nie twierdzę, że wymyślę coś lepszego, ale w każdym razie nie będzie to tak naiwne.

- Sir? Czy mam to odebrać jako zniewagę? Jestem przecież nie byle kto! Nazywają mnie Długi Davy!

- Wiem to od pewnego już czasu i nie ma tu mowy o zniewadze. Widzi pan przecież nawet stąd, że Indianie mają broń w zasięgu ręki. Szybko ocenią naszą liczebność. Gdy ich napadniemy, w pierwszym momencie będą zaskoczeni, ale właśnie będzie to tylko moment. Potem poczujemy nad sobą dziesięciokrotną przewagę, i nawet gdybyśmy zwyciężyli, poleje się sporo krwi, a tego można uniknąć. Czyż nie lepiej znaleźć drogę, która zaprowadzi nas do celu bez rozlewu krwi?

- Owszem, sir, a zna pan taką drogę?

- Myślę, że właśnie ją odkryłem. Chcę jedynie usłyszeć, co powie Winnetou na mój plan.

Wszczął zatem krótką rozmowę z wodzem, i to w narzeczu Apaczów, którego pozostali nie rozumieli. Po czym zwrócił się ponownie do Długiego Davy:

- A więc, zadanie to wykonam sam wraz z Winnetou. Wy zaś pozostaniecie w spokoju tutaj.

Nawet gdybyśmy nie pokazali się w ciągu dwóch godzin, nie

ruszajcie się z miejsca i
strzeżcie się robić cokolwiek na
własną rękę. Jedynie w

przypadku, gdy usłyszycie trzykrotne cykanie świerszcza, wtedy i wy się włączycie.

- W jaki sposób?

- W taki, byście szybko, lecz możliwie cicho i niezauważenie znaleźli się przy najbliższym namiocie. Wraz z Winnetou będziemy się do niego skradali. Jeśli będziecie nam potrzebni, dam wam sygnał. Cykanie świerszcza naśladuje się za pomocą żdźbła trawy. Składając dłonie tak, aby kciuki znalazły się obok siebie, wkładamy w środek żdźbło wyciągniętej jak struna trawy. Pomiędzy dolnymi członkami kciuków tworzy się wąska luka, w której trawka może drzeć. Wystarczy tylko przyciskając mocno usta do kciuków dmuchnąć w żdźbło trzykrotnym frf, a powstaje wtedy cykanie podobne do cykania świerszczy. Oczywiście, że trzeba to dłużej ćwiczyć. Długi Davy przystał na propozycję Old Shatterhanda.

Wtedy odezwał się Winnetou:

- Możemy zaczynać.

- Dobrze! Zabierzemy nasze znaki?

- Owszem! Niech Szoszonowie wiedzą, kto im złożył wizytę.

Wielu westmanów a także znakomitsi Indianie posługują się określonymi znakami, aby przyjaciele lub wrogowie mogli stwierdzić ich obecność. Na przykład niektórzy Indianie znaczą swoim znakiem ucho, wargę, czoło lub rękę człowieka, którego zabili. Ten, kto odnajdzie zwłoki i rozpozna na nich znak, wie, kto zwyciężył i oskalpował zabitego.

Winnetou i Old Shatterhand ucięli kilka gałęzi z najbliższego krzewu i zatknęli je sobie za pas. Za pomocą kołków mogli wykonać znaki znane każdemu czerwonoskóremu. Broń zostawili na miejscu.

Potem położyli się na ziemi i

poczęli się czołgać ku
wspomnianemu namiotowi
znajdującemu się w odległości

mniej więcej osiemdziesięciu
kroków. .nv

6. U Szoszonów

Podchodzenie wrogów nie jest sprawą łatwą. Jeśli w szczególnie niebezpiecznych okolicznościach nie ma potrzeby zacierania wszystkich śladów, wtedy można pełzać na rękach i na kolanach. Tworzy się jednak w ten sposób łatwo dostrzegalny trop, szczególnie w trawie. Kiedy natomiast nie wolno zostawić żadnych śladów, wówczas trzeba się poruszać jedynie na czubkach palców. W takiej pozycji trzeba wyciągać jak najdalej ręce i nogi, aby ciało znajdowało się tuż przy ziemi nie dotykając jej, cały jego ciężar spoczywa właśnie na palcach. Aby to wytrzymać, nawet przez chwilę, trzeba być nadzwyczaj silnym, zręcznym i mieć wieloletni trening. O skurczu mięśni mówią nie tylko pływacy, ale i westmani, dla których jest on z pewnością nie mniej niebezpieczny. Może stać się przyczyną ujawnienia i w następstwie śmierci.

Kiedy westman skrada się w taki sposób ku wrogowi, musi dokładnie zbadać grunt, na którym się znajduje, nie wolno mu oprzeć palców wcześniej, zanim dokładnie nie sprawdzi interesującego go miejsca. Jeśli na przykład ręka albo stopa trafi na uschniętą gałązkę, która w tym momencie się złamie, nawet najcichszy trzask może pociągnąć za sobą najgorsze skutki. Zdarzają się wytrawni myśliwi, którzy natychmiast rozróżnią, czy gałązkę złamało zwierzę, czy człowiek. Z czasem zmysły westmana stają się wyczułone do tego stopnia, iż leżąc na ziemi słyszy on nawet szelest, jaki powoduje wędrujący

chrząszcz. Z całą pewnością zorientuje się także, czy suchy liść opadł na ziemię sam, czy też strącił go przez nieostrożność ukryty nieprzyjaciel.

Człowiek wyćwiczony w podchodach trafia końcami palców stóp dokładnie w to miejsce, którego dotykał końcami palców rąk, gdyż w ten sposób pozostawi pojedynczy ślad, który łatwiej i szybciej ulegnie zatarciu.

Często zachodzi konieczność zatarcia własnego tropu. Jeśli już w skryty sposób podejść pod obóz wroga, wtedy w drodze powrotnej czeka mnie najbardziej męcząca i uciążliwa część przedsięwzięcia. Nikt nie powinien się dowiedzieć, że byłem w tym miejscu, dlatego muszę wycofywać się na czworakach, nogami do przodu i zacierać po sobie wszystkie odciski palców. Robię to prawą ręką, utrzymując równowagę palcami obu stóp i lewej ręki. Ktoś, kto spróbuje utrzymać się chociażby przez minutę w tej pozycji, przyzna, jakim ogromnym wysiłkiem czyni to myśliwy.

Tak było i teraz. Old Shatterhand jako pierwszy, zaś Winnetou za nim, posuwali się wolno w opisany sposób do przodu. Biały człowiek musiał macając dłonią badać grunt cal po calu, natomiast Indianin starał się, aby odciskać swoje ślady absolutnie dokładnie w śladach poprzednika, posuwali się przeto bardzo powoli.

Trawa była tu wysoka niemal na metr. Było to z jednej strony dobre, gdyż dawało dogodne schronienie, w wysokiej trawie jednak widoczny jest każdy trop, i to stanowiło jej wadę.

Wkrótce rozpoznawali już szczegóły. Pomiędzy obozem wrogów a nimi powoli chodził wartownik. Jak w takich okolicznościach dotrzeć do namiotu niezauważenie?

- Czy może Winnetou ma pojmać wartownika? - wyszeptał wódz Apaczów.

- Nie - odparł Old

Shatterhand. - Znam siłę mego ciosu i mogę na nim polegać.

Cicho niby węże sunęli pośród traw i bliżej, coraz bliżej byli wartownika. Widać było, że jest on młody i ma przy sobie tylko nóż zatknięty za pasem i strzelbę zwisającą swobodnie z ramienia. Odziany był w bawolą skórę. Rysów twarzy nie można było poznać, gdyż miał twarz porysowaną na krzyż czerwonymi i czarnymi kreskami, co oznaczało, że wstąpił na wojenną ścieżkę.

Czerwonoskóry nie patrzył w kierunku naszej czwórki, zdawało się, że całą uwagę kieruje przede wszystkim na obóz. Być może, iż wabiła go woń pieczonego nad ogniem mięsa bardziej, niż przystoi to wartownikowi, lecz nawet gdyby wpatrywał się w miejsce, w którym znajdowali się myśliwi, nie mógłby ich spostrzec, gdyż ich ciemnych postaci nie można było odróżnić od ciemnej trawy. Poruszali się oni bardzo sprytnie w cieniu, jaki rzucał namiot.

W taki sposób zbliżyli się do Indianina na odległość ośmiu kroków.

Wartownik, chodząc tam i z powrotem wciąż po tej samej linii, wydeptał w trawie ścieżkę. Napaść na niego powinna nastąpić na tej właśnie ścieżce, jeśli nie miały powstać dalsze ślady.

Szoszon doszedłszy do końca owej linii zawrócił i powoli wracał. Przeszedł obok naszej dwójki i znalazł się podobnie jak oni w cieniu.

- Teraz! - szepnął Winnetou.

Old Shatterhand podniósł się.

Dwa olbrzymie skoki przeniosły go do Indianina, który usłyszał szmer i szybko się odwrócił, ale już zawisła nad nim pięść Old

Shatterhanda. Cios w skroń - i wartownik został zwalony z nóg.

Winnetou dwoma skokami znalazł się obok.

- Został ogłuszony? - zapytał.

- Niech mój brat go zwiąże.

Winnetou zajmie miejsce wartownika. Podniósł jego strzelbę i zarzucił ją sobie na ramię, zaczął obchód przyjmując taką samą postawę, jaką przedtem zachowywał wojownik Szoszonów. Teraz on chodził tam i z powrotem.

W tym czasie Old Shatterhand dotarł do namiotu wodza. Usiłował uchylić nieco jego ścianę, aby zajrzeć do wnętrza. Musiał zluzować kołek wbity w ziemię.

Robił to z największą ostrożnością. Można było przecież owo manipulowanie dostrzec ze środka, a wtedy przepadłoby wszystko. Na szczęście jednak udało się. Przylegając do samej ziemi jak tylko mógł, nisko pochylił głowę. Cicho, bardzo cicho odchylił skraj namiotu. Mógł teraz zajrzeć do wnętrza.

To, co zobaczył, zdezorientowało go. W namiocie nie było jeńców. Siedział tu na bawolej skórze wódz, sam, paląc pachnący intensywnie kinnikinnik, stanowiący mieszankę tytoniu z korą wierzbową lub z liśćmi dzikich konopi. Spoglądał na wpół uchylonym wejściem na płonące ognisko. Do Old Shatterhanda był odwrócony plecami.

Nasz myśliwy wiedział doskonale, co należało uczynić, jednak bez porozumienia się z Apaczem nie zamierzał działać. Opuścił ścianę namiotu, odwrócił się, zerwał źdźbło trawy i ujął je pomiędzy kciukami. Dało się słyszeć ciche cykanie, tylko raz.

- Mahakoht_oh_hobit_to.

Świerszcz cyka! - zabrzmiał od ogniska głos jednego z

Szoszonów.

Gdyby to on wiedział, co to był za świerszcz! Cykanie świerszcza oznaczało dla Winnetou, że ma się zbliżyć. Apacz zachował swoje powolne, pełne godności ruchy aż do momentu, gdy znalazł się w cieniu namiotu i Szoszonowie nie mogli go zobaczyć. Wówczas położył w trawie strzelbę, pochylił się i możliwie szybko podkraść się do namiotu. Tutaj dopiero wyszeptał:

- Dlaczego woła mnie mój brat?

- Ponieważ nasz plan musi ulec zmianie - odparł Old Shatterhand równie cicho. - Jeńców w tym namiocie nie ma.

- To bardzo źle, musimy się wycofać i zbadać inne namioty, potrwa to tak długo, że w tym czasie nastanie już ranek.

- A może będzie to zbyt ryzykowne, gdyż Oihka_petay, Dzielny Bawół, siedzi w namiocie.

- Uff! Wódz we własnej osobie!

I w dodatku sam?

- Owszem.

- Nie musimy zatem szukać jeńców.

- Myślałem o tym samym. Jeśli weźmiemy jako jeńca wodza Szoszonów, możemy ich zmusić, aby uwolnili Grubego Jemmy i Hobble Franka.

- Mój brat ma rację, ale czy

Szoszonowie od ogniska mogą zaglądać do namiotu?

- Tak! Lecz światło nie sięga do tylnej ściany.

- Oni jednak spostrzegą natychmiast, że ich wódz już tam nie siedzi.

- Pomyślą zatem, że wycofał się w cień. Niech mój brat Winnetou będzie gotów do pomocy, gdyby ów pierwszy zamiar spalił na panewce.

Szeptali tak cicho, iż nawet tchnienie owego szeptu nie docierało do wnętrza namiotu.

Winnetou uchylił znowu ścianę

namiotu cicho i powoli w górę,

na tyle, by przylepiony do ziemi

Old Shatterhand mógł wpełznąć do środka. Śmiałość czynił to tak bezszelestnie, że Dzielny Bawół nie zauważył zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Old Shatterhand znalazł się w namiocie. Apacz w półpochylony czołgał się za nim, aby w razie konieczności momentalnie mu dopomóc. Old Shatterhand wyciągnął na całą długość prawicę. Wystarcza akurat do sięgnięcia Szoszona. Szybko i mocno

chwycił go za gardło - z ust Dzielnego Bawołu wypadła fajka i wódz zatrzepotał raz czy dwa w powietrzu ramionami. Kiedy stracił oddech, ramiona mu opadły. Old Shatterhand wydostał go z kręgu światła w ciemną część namiotu i czołgając się ciągnął ze sobą.

- Udało się! - szepnął

Winnetou. - Ale jak my go wyniesiemy? Musimy go nieść, a przy tym jeszcze zacierać po sobie ślady - powątpiewał dalej.

- Nie będzie to niestety proste.

- A co zrobimy ze związanym wartownikiem?

- Zabierzemy także. Im więcej

Szoszonów znajdzie się w naszych rękach, tym łatwiej czerwonoskórzy uwolnią naszych jeńców.

- Mój brat poniesie zatem wodza, a Winnetou tego drugiego. Nie zdołamy jednak zatrzeć naszych śladów i dlatego musimy tu jeszcze raz wrócić.

- Niestety! Stracimy na to wiele cennego czasu, a my...

Nie dokończył zdania. Nastąpiło bowiem coś, co położyło szybko kres tym rozważaniom. Rozległ się mianowicie przeraźliwy krzyk:

- Takhuavat, tukhavat! - wołał jakiś głos. - Nieprzyjaciel, nieprzyjaciel!

- Wartownik odzyskał świadomość. Szybko, uciekajmy! - szepnął Old Shatterhand. - Zabieramy go ze sobą!

Winnetou, kilkoma dużymi susami pomknął do miejsca, na którym leżał związany Szoszon, podniósł go i pobiegł dalej.

Pomimo dużego zagrożenia Old Shatterhand zatrzymał się jeszcze kilka sekund za namiotem. Wyjął zza pasa przycięte wcześniej gałązki, jeszcze raz uniósł w górę ścianę namiotu, i zatkał ją w ziemię, tak że utworzyły one hiszpański kozioł. Dopiero podniósł wodza i śpiesznie się z nim oddalił.

Szoszonowie siedzieli w pobliżu ogniska i dlatego wzrok ich, jak to słusznie przypuszczał Old Shatterhand, nie mógł nagle przywyknąć do ciemności. Zerwali się ze swoich miejsc i wpatrywali się w noc, nic jednak nie mogąc zobaczyć. W dodatku nie mogli rozróżnić, z której strony rozlegało się wołanie o pomoc. Dzięki temu Winnetou i Old Shatterhand zdołali się bezpiecznie wycofać.

Apacz musiał się w drodze nawet zatrzymać. Nie zdołał bowiem zamknąć zupełnie dłonią ust Szoszona. Wprawdzie jeńcowi nie udało się powtórnie wołać o pomoc, lecz udało mu się wydobyć tak donośne stękanie, że Winnetou na moment przystanął, aby mu zacisnąć lepiej gardło.

- By jove kogo to niesiecie? - zapytał Długi Davy, kiedy obaj złożyli swoich jeńców na ziemi.

- Jeszcze więcej zakładników - odparł Old Shatterhand. - Zakneblujcie im szybko usta, zaś wodza należy związać!

- Wódz - Haevens! To ci dopiero kawał! Długo będzie się o tym opowiadać! Dzielnego Bawołu wykraść z grona jego wojowników potrafi jedynie Old Shatterhand i Winnetou!

- Dość zbytecznego gadania!

Musimy stąd odejść w górę, tam gdzie stoją nasze konie.

- Mój brat nie musi się wcale śpieszyć - powiedział Apacz.

- Stąd zobaczymy lepiej niż z

góry, co Szoszonowie postanowią.

- Winnetou ma rację - przyznał

Old Shatterhand. - Szoszonom nie wpadnie do głowy myśl, aby przybyć tutaj. Nie wiedzą oni, z kim mają do czynienia i jak liczny jest nieprzyjaciel. Raczej będą musieli się ograniczyć do ubezpieczenia obozu. Dopiero z nastaniem dnia będą mogli podjąć jakieś działanie.

- Winnetou ostrzeże ich w taki sposób, że stracą oni ochotę do wyjścia poza obóz.

Apacz trzymał wylot rewolweru blisko ziemi. Old Shatterhand w lot zrozumiał, o co chodzi.

- Stop! - ostrzegł. - Nie wolno im zobaczyć błysku wystrzału, aby nie mogli się zorientować, w którym miejscu się znajdujemy. Musimy natomiast wywołać echo, które ich zmyli. Mesh. shurs, dajcie tutaj swoje kurtki i surduty!

Długi Davy zdjął z ramienia sfatygowany płaszcz gumowy. Również pozostali poszli za wezwaniem Old Shatterhanda. Z garderoby tej uczyniono osłonę, za którą Winnetou dwukrotnie nacisnął spust. Rozległy się strzały. Odbiło się ono echem o ściany doliny, a ponieważ błysk ich pozostał niedostrzegalny, Szoszonowie nie mogli wiedzieć, skąd oddano strzał. Odpowiedzią było przejmujące wycie.

Kiedy dotarł do nich okrzyk - Tukhuavat, tukhuavat! - skoczyli od ogniska na równe nogi i usiłowali wypatrzyć przeciwnika, lecz wzrok ich powoli przyzwyczajał się do ciemności, więc Old Shatterhand i Winnetou zdążyli znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Większość czerwonoskórych wojowników zbliżyła się do namiotu wodza. Zaglądali do środka, lecz namiot był pusty.

- Dzielny Bawół wyszedł rozpytać strażę - zauważył jeden z nich.

- Mój brat się myli - odparł inny. - Wódz nie mógł opuścić namiotu, musielibyśmy to zauważyć.

- Tutaj go jednak nie ma!

- A wyjść nie mógł!

- Zniknął zatem za sprawą

Ducha Zła, Takwantony!

Na to wojownik starszy od innych odsunął ich na bok wyjaśniając, że zły duch może zabić i spowodować nieszczęście, ale nie zabiera wojowników. Jeśli wódz nie wychodził z namiotu, a mimo to zniknął, to mógł on jedynie...

Zatrzymał się wpół zdania. Wcześniej uchylono jedynie część zasłony przy wejściu, teraz jednak odsłonięto ją całkowicie i blask ogniska oświetlił całe wnętrze namiotu. Stary wojownik wszedł do środka, nachylił się i zawołał:

- Wodza nam wykradziono!

Nikt nic nie odpowiedział.

- Moi bracia mi nie wierzą? - zapytał. - Niech zatem spojrzą tutaj. W tym miejscu poluźniono brezent, a tutaj zatknięto w ziemi gałązki. Wiem, co one znaczą. Jest to znak Nonpeh tahama, którego blade twarze nazywają Old Shatterhandem. Przyszedł on tutaj i uprowadził nam Dzielnego Bawołu. Wtedy to rozległy się dwa strzały Apacza. Rozwiązały one Szoszonom języki. Wydały z siebie owo przejmujące wycie.

- Szybko zagaście ogień! - polecił stary wojownik. - Nie wolno nam się wystawiać wrogowi na cel.

Posłuchali go, wyciągając w pośpiechu płonące gałęzie i depcząc ogień. W obozie zrobiło się ciemno. Ponieważ zabrakło im wodza, Szoszonowie podporządkowali się dobrowolnie najstarszemu wojownikowi. Każdy z nich chwycił za broń i na rozkaz starego wojownicy utworzyli wokół namiotów krąg, aby stawić czoło wrogowi,

obojętnie z której strony by się pojawił.

Rozstawione zostały cztery posterunki, aby strzec obozu ze wszystkich czterech stron świata. Gdy padły strzały, trzech wartowników wycofało się natychmiast do swoich. Czwartego natomiast zabrakło. A właśnie on był spośród nich najcenniejszy, bowiem był to Moh_aw, syn wodza. Ktoś śmielszy postanowił pójść go poszukać. Położył się na trawie i zaczął się czołgać w ciemności w kierunku, w którym należało poszukiwać zaginionego. Po pewnym czasie zawrócił z karabinem Moh_awa. Stanowiło to oczywisty dowód, że synowi wodza też przytrafiło się nieszczęście.

Stary Indianin odbył krótką naradę z najdzielniejszymi wojownikami. Postanowiono wzmocnić pieczę nad namiotem, w którym znajdowali się jeńcy, zgromadzić konie tuż przy obozie i poczekać do świtu.

Tymczasem nasi myśliwi zrobili wszystko, aby obaj pojmani nie mogli krzyczeć, sami zaś zachowując ciszę skupili swoją uwagę na okolicy. Nie usłyszeli jednak nic poza tłumionymi odgłosami końskiego stąpania.

- Niech moi bracia nadstawią uszu! Szoszonowie gromadzą konie. Uwiążą je teraz w pobliżu namiotów i nie rozpoczną nic przed nastaniem dnia - powiedział Winnetou. - Możemy stąd odejść.

- Tak, zawracajmy - przytaknął

Old Shatterhand. - My nie będziemy czekać do rana. Oihitka_petay musi się jak najwcześniej dowiedzieć, czego od niego żądamy.

Nie wiedział jeszcze, że nocny
połów był cenniejszy, niż
przypuszczał. Podniósł z ziemi
Dzielnego Bawołu, który w tym
czasie zdołał odzyskać
przytomność, przerzucił go sobie

przez ramię i zaczął wspinać się w górę. Pozostali podążyli za nim, Winnetou dźwigał Moh_awa, czyli Moskita. Po uciążliwym wdrapaniu się na górę dotarli do miejsca, w którym pozostawili Wohkadeha.

Długi Davy odczepił łąso i powiedział:

- Dawajcie tych łobuzów tutaj.

Zwiążemy ich razem z tamtymi.

- O nie! - odparł Old

Shatterhand. - Musimy stąd zniknąć.

- Dlaczego? Uważa pan, że nie jesteśmy tutaj bezpieczni? Szoszonowie zostawią nas chętnie w spokoju! I tak są zadowoleni, że im się nic nie stało.

- Wiem to tak samo dobrze jak pan, mister Davy, ale musimy porozmawiać z wodzem, a może także z tym drugim, i dlatego musimy im odkneblować usta, a gdybyśmy uczynili to teraz, oni mogliby zawołać do swoich, byłiby wyraźnie słyszani na dole.

- Mój brat ma rację - potwierdził Apacz. - Winnetou był już dzisiaj tutaj, aby podpatrzeć Szoszonów, i zna miejsce, w którym moglibyśmy z jeńcami obozować.

- Musimy rozpalić ognisko - odparł Old Shatterhand. - Czy to będzie możliwe.

- Oczywiście. Przywiążemy jeńców do koni.

Tak zrobiono, i po chwili niewielki pochód ruszył w noc przez gęsty las z Winnetou jako wodzem na przedzie. Ze zrozumiałych względów posuwali się wolno, krok za krokiem. W ciągu pół godziny pokonali odcinek drogi, na którego przebycie w ciągu dnia wystarczyłoby z pewnością kilka minut. Apacz zatrzymał się.

Jeńcy nie wiedzieli oczywiście, w czyje ręce wpadli.

Obaj zwiadowcy z powodu
ciemności nie mogli zobaczyć, że
przybyło jeszcze dwóch jeńców. Z
drugiej strony dwaj nowi nie

mieli pojęcia o napadzie dokonany na zwiadowców, zaś wódz o tym, iż wraz z nim pojmano także jego syna. Z tego względu, kiedy tylko zdjęto ich z koni, zostali od siebie oddzieleni.

Old Shatterhand postanowił uniemożliwić Dzielnemu Bawołowi rozpoznanie sił wroga, w którego rękach się znalazł, dlatego zdecydował, iż najpierw będzie pertraktował z wodzem w pojedynkę. Wszyscy natomiast powinni się oddalić. Zgarnął leżące na ziemi suche gałęzie, aby rozpalić ognisko.

Wraz z Szoszonem znajdował się na polance liczącej zaledwie kilka kroków. Apacz zauważył jeszcze za dnia, jak bardzo nadawała się ona na założenie dobrze ukrytego obozowiska, zaś zmysłowi orientacji zawdzięczał, że odnalazł ją pomimo ciemności. Miejsce to otoczone było drzewami, pod którymi paprocie i kolczaste zarośla tworzyły gęstą zaporę, za którą płomień ognia nie był widoczny. Old Shatterhand z łatwością rozpałił ognisko z suchych gałęzi za pomocą periowej zapalniczki, potem ściął jeszcze tomahawką dolne, uschnięte gałązki z najbliższych drzew, aby

podtrzymywać nimi ogień, który miał służyć jako światło, i dlatego nie musiał być duży.

Szoszon, leżąc na ziemi przypatrywał się ponurym wzrokiem krzątaniu białego myśliwego. Gdy Old Shatterhand ukończył swoje przygotowania, przyciągnął jeńca w pobliże ognia, uniósł go do pozycji siedzącej i odkneblował usta. Ani miną, ani też westchnieniem Indianin nie zdradził się, że przyniosło mu to ulgę, byłoby bowiem hańbą, jeśliby wojownik indiański pozwolił po sobie poznać, co czuje lub co myśli.

Old Shatterhand usiadł po przeciwnej stronie ogniska i

przyglądał się najpierw wrogowi.

Wódz był silnej budowy i miał na sobie strój indiański z bawolej skóry, bez żadnych ozdób. Jedyne szwy zawierały włosy z oskalpowanych głów, zaś u pasa zwisało mu około dwudziestu skalpów, okrojonych do wielkości dłoni, aby nie zajmowały zbyt wiele miejsca. Nie miał pomalowanej twarzy, także czerwone blizny na policzkach były wyraźnie widoczne. Siedział nieruchomo, wpatrując się uporczywie w ogień, nie darząc białego ani jednym wejrzeniem.

- Oihka_petay nie ma na sobie barw wojennych - rozpoczął Old Shatterhand - dlaczego zatem występuje jako wróg przeciw pokojowo nastawionym ludziom?

Nie było odpowiedzi, dlatego ciągnął dalej:

- Czyżby wódz Szoszonów ze strachu zaniemówił, że nie odpowiada na moje pytanie?

Myśliwy wiedział dobrze, w jaki sposób należy pobudzić Indianina, gdyż reakcja nastąpiła natychmiast, i jeniec rzuciwszy mu gniewne spojrzenie odparł:

- Oihka_petay nie wie, co to strach, i nie boi się ani wroga, ani śmierci.

- A pomimo tego postępuje tak, jak gdyby się obawiał. Odważny wojownik, zanim zaatakuje, zdobi sobie twarz barwami wojennymi. Jest to z jego strony uczciwe i dowodzi śmiałości, gdyż w takim przypadku przeciwnik wie, że musi się bronić. Wódz Szoszonów nie ma tych barw, jego twarz wskazuje na pokojowe zamiary, a mimo to zaatakował białych. Czy Dzielny Bawół znajdzie chociaż słowo na swoją obronę?

Indianin spuścił wzrok i rzekł:

- Dzielnego Bawołu nie było pośród wojowników, kiedy ci rozpoczęli nagonkę na blade twarze.

- To nie jest

usprawiedliwienie. Gdyby Ohitka_petay był uczciwym i dzielnym człowiekiem, natychmiast uwolniłby blade twarze. Sam wcale się nie zorientowałem, że wojownicy Szoszonów wykopali wojenny topór. Namioty stojące nad wodami Tongue i Big Hornu wyglądają pokojowo, ich mieszkańcy zaś przybywają do osad bladych twarzy, a mimo to Dzielny Bawół napada na mężczyzn, którzy nigdy go nie obrazili. Czy dzielny człowiek może zaprzeczyć, że w taki sposób postępuje jedynie tchórz?

Czerwonoskóry w sposób ledwie dostrzegalny rzucił okiem na białego człowieka, owo spojrzenie zdradzało, że Indianin drży cały z gniewu, a mimo to opanowanym głosem odparł:

- Może ty uważasz, że jesteś dzielny? Czy zważ cię jakimś mianem?

- Owszem - potwierdził zapytany obojętnie.

- Błędym twarzom wolno posługiwać się bronią i imionami, nawet gdy są tchórzami. Ludzie o zajętych sercach mają u nich najdłuższe imiona. Moje imię znasz, wiesz zatem, że Dzielny Bawół nie ma w sobie zajętego serca.

- Zatem uwolnij twoich białych jeńców i walcz z nimi otwarcie i uczciwie!

- Oni odważyli się naruszyć obszar Jeziora Krwi, tereny te są święte, gdyż błędzą po nich duchy zabitych Szoszonów. Biali jeńcy muszą zatem umrzeć.

- Wtedy ty umrzesz także!

- Dzielny Bawół już powiedział, że nie lęka się śmierci, a nawet na nią czeka!

- Dlaczego?

- Bo ujęto go w jego własnym wigwamie, a więc utracił honor i nie ma prawa żyć. Musi umrzeć nie intonując wojennego śpiewu.

Nie znajdzie się w grobie w postawie dumnej i wyprostowany na bojowym rumaku, obwieszony skalpami wrogów, lecz rozdziobią go na piachu ścierwożerne sępy...

Z każdego słowa, które wypowiadał powoli monotennie, bez oznak jakiegokolwiek napięcia w rysach twarzy, przebijało uczucie graniczące z beznadziejnością. I zgodnie z zasadami, jakie wyznawał, miał absolutną

rację. Potworną hańbę stanowiło dla niego to, że uprowadzono go jako jeńca z namiotu, z otoczenia uzbrojonych wojowników.

Postawa wodza wzruszyła Old Shatterhanda, ale nie zdradzał on swego współczucia. Stanowiłoby ono obrazę dla czerwonoskórego, a myśl o śmierci jeszcze bardziej by się w nim utwierdziła, dlatego powiedział:

- Oihka_petay zasłużył na taki los, lecz może się on utrzymać przy życiu, mimo że jest moim jeńcem. Jestem gotów przywrócić mu wolność, jeśli nakaże on swoim ludziom, aby uwolnili obie blade twarze.

Odpowiedź czerwonoskórego zabrzmiała dumną drwiną:

- Oihka_petay nie może dłużej żyć! Pragnie umrzeć. Przywiąż go spokojnie do pala męczarni! Wprawdzie nie wolno mu mówić o czynach, które szerzyły jego sławę, ale mimo śmiertelnych mąk nie drgnie mu nawet powieka.

- Jestem chrześcijaninem i nie będę cię przywiązywał do pala męczarni. Nawet wtedy gdy muszę zabić zwierzę, czynię to tak, by się nie męczyło. Poza tym umarłbyś daremnie. Po twojej śmierci i tak uwolnię jeńców z rąk twoich ludzi.

- Spróbuj zatem! Mnie mogłeś podejść, ogłuszyć podstępnym chwytem i wynieść w mroku nocy.

Lecz wojownicy Szoszonów

zostali już ostrzeżeni i nie

zdołasz bladych twarzy uwolnić. Odważyli się oni pojawić nad Jeziorem Krwi i odpokutują to powolną śmiercią. Zwyciężyłeś Dzielnego Bawołu i dlatego Dzielny Bawół umrze, lecz żyje jeszcze Moh_aw, jedyny syn i duma jego duszy, on go pomści. Moh_aw pokrył sobie twarz barwami wojennymi, gdyż ma zadać śmiertelny cios białym jeńcom. Posmaruje swoje ciało ciepłą krwią, aby chroniła go ona przed białymi wrogami.

W tym momencie zaszeleściło w zaroślach. Zjawił się Martin Baumann i nachylając się do ucha Old Shatterhanda zaszeptał:

- Sir, mam panu powiedzieć, że pojmany wojownik jest synem wodza. Winnetou wydobyl z niego tę wiadomość.

Myśliwemu była ona bardzo przydatna. Równie cicho odpowiedział:

- Winnetou niech go tutaj za chwilę przyśle. Niech go przyniesie Długi Davy i przy nim usiądzie.

Martin oddalił się. Old Shatterhand znów się zwrócił do Indianina mówiąc:

- Nie obawiam się Moh_awa. Od kiedy nosi on swoje imię i gdzie słyszano o jego czynach? Pojmę go podobnie jak i ciebie.

Dzielny Bawół zaczął tracić opanowanie, wyrażano się tu bowiem pogardliwie o jego synu. Ściągnął brwi, zaiskrzyły mu się oczy i zapytał gniewnie:

- Kim jesteś, że odważasz się wyrażać w taki sposób o Moh_awie? Pod jego wejrzeniem schowasz się pod ziemię! Moh_aw walczył z Siuksami_Oglalajami i wielu z nich pokonał. Ma on wzrok orła i słuch nocnych ptaków. Żaden wróg nie zdoła go zaskoczyć, i on to właśnie krwawo pomści swego ojca, Dzielnego Bawołu!

Ale oto zbliżał się już Długi

Davy niosąc młodego Indianina na barku. Długimi nogami przesadzał najgęstsze zarośla i kładąc

jeńca na ziemi powiedział:

- Przyniosłem tego szczeniaka.

- Niech pan go posadzi prosto, mister Davy, i zajmie miejsce obok niego! Może mu pan odkneblować usta.

- Ay, sir! Chciałbym jednak wiedzieć, co ten chłopak może tutaj wnieść. Kiedy Moh_aw usiadł wyprostowany, obaj Indianie spojrzeli sobie w oczy i przerazili się. Wódz nic nie powiedział ani się nie poruszył, lecz mimo ciemnego koloru skóry można było dostrzec, że mu krew odpłynęła z twarzy. Syn jednak zawołał:

- Uff! Oihtka_petay jest także w niewoli! Dopiero będzie szloch w wigwamach Szoszonów. Wielki Duch zasłonił oblicze przed swoimi dziećmi.

- Milcz! - krzyknął na niego ojciec. - Żadna skwaw Szoszonów nie uroni jednej łzy, jeżeli Oihtka_petay i Moh_aw zostaną pochłonięci przez mgławicę śmierci. Mieli oni zamknięte oczy i uszy i nie mieli rozumu, jak ropucha, która bez oporu pozwala się wchłonąć wężowi. Hańba ojcu i hańba synowi! W tym momencie Old Shatterhand zwrócił się do Daviego, wydając mu cichy rozkaz:

- Przeprowadź wszystkich pozostałych, jedynie Winnetou niech się jeszcze nie pokazuje!

Długi wstał i oddalił się.

- Czy Dzielny Bawół widzi, abym przed wzrokiem jego syna chował się pod ziemię? Nie chcę was obrażać. Wódz Szoszonów słynie z dzielności i mądrości w radzie starszych. Moh_aw, jego syn, wstąpi w ślady ojca i będzie równie dzielny i mądry. Daruję wam wolność za uwolnienie obu białych myśliwych.

Przez oblicze syna przemknęło coś jakby radość. Ojciec rzucił mu jednak groźne spojrzenie i zagrzmiał:

- Dzielny Bawół oraz Moh_aw

dostali się bez walki w ręce jakiejś nędznej bladej twarzy, dlatego nie zasługują oni na to, aby dłużej żyć. Tylko śmiercią mogą zmazać hańbę, i dlatego biali jeńcy również umrą, a z nimi ci wszyscy, którzy wpadną jeszcze w ręce Szoszo... Urwał wpół zdania. Przerażony wzrok jego spoczął na dwóch zwiadowcach, których przyprowadzili Davy, Bob i Martin.

- Dlaczego Dzielny Bawół nie kończy zdania? - zapytał Old Shatterhand. - Czyżby strach sparaliżował mu serce?

Wódz pochylił głowę i bez słowa patrzył w dół. Za jego plecami poruszyły się gałęzie, ale nie spostrzegł tego. Old Shatterhand zauważył głowę Apacza i rzucił mu pytające spojrzenie. Odpowiedzią było ciche skiniecie.

- Oihka_petay widzi teraz, że jego nadzieja na nowe zwycięstwa jest daremna - ciągnął dalej Old Shatterhand - lecz my nie wyszliśmy na wyprawę po to, aby zabijać wojowników dzielnych Szoszonów, ale po to, aby okiełznać Oglalajów. Pozwalamy wam wrócić do waszych namiotów.

Przy tych słowach wstał, podszedł ku wodzowi i rozwiązał mu pęta. Zdawał sobie sprawę z tego, że zaczął prowadzić ryzykowną grę, ale znał on dobrze Zachód i psychikę jego mieszkańców i był przeświadczony, że gry tej nie przegra.

Wódz utracił całkowicie panowanie nad sobą. To, co czynił biały człowiek, było dla niego absolutnie niepojęte i całkowicie nierozsądne! Uwalniał przecież wroga, nie wydostając swoich przyjaciół. Old Shatterhand podszedł z kolei do Moh_awa i rozsypał jego sznury.

Dzielny Bawół wlepił w niego
oniemiały wzrok. Potem jednym
zrywem wyrwał siedzącemu obok

Martinowi zza pasa nóż i nagle wstał. W jego oczach zapalił się dziki płomień.

- Mamy być wolni? - zawołał. -

Wolni?! Po to, aby stare kobiety wskazywały na nas palcami, opowiadając, że zostaliśmy napadnięci i pokonani przez bezimiennie psy? by w Krainie Wiecznych Łowów leżeć na ziemi i żywić się myszami, podczas gdy nasi czerwonoskórzy bracia będą się raczyli mięsem wiecznie żywych niedźwiedzi i bawołów? Imiona nasze zostały splamione! Jedynie krew nasza, nie zaś krew naszych wrogów, może ową plamę zetrzeć. Oihka_petay umrze, a wcześniej wyśle tam duszę swego syna! Podniósł rękę z nożem i doskoczył do syna, aby pchnąć mu ostrze w serce, a potem zabić się samemu. Moh_aw nie poruszył się, gotów na przyjęcie śmiertelnego ciosu z ręki ojca.

- Oihka_petay! - zabrzmiało za jego plecami.

Z podniesioną w górę ręką, w której dzierżył nóż, Dzielny Bawół odwrócił się. Stał przed nim wódz Szoszonów. Szoszon opuścił ramię.

- Winnetou!... - zawołał.

- Czy wódz Szoszonów uważa

Winnetou za kojota? - zapytał Apacz.

Kojot jest rodzajem małego wilka. Jest to zwierzę tchórzliwe i często żywi się padliną razem z sępami, dlatego porównanie koghoś na Zachodzie do kojota jest wielką hańbą.

- Któż by ważył się tak mówić?

- odparł zapytany.

- Sam Oihka_petay to powiedział. Czyż nie nazwał on tych, którzy go zwyciężyli, bezimiennymi psami?

W tym momencie Szoszon opuścił nóż.

- Czy zatem Winnetou jest tym zwycięzcą?

- Nie, jest nim jego biały brat, który stoi tu obok niego.

- I wskazał na Old Shatterhanda.

- Uff! Uff! Uff! - wydobył z siebie Dzielny Bawół. - Czy ten duży człowiek Nonpeh_tahan, którego blade twarze nazywają Old Shatterhandem? Jego pytający wzrok wędrował od Old Shatterhanda do Winnetou.

Apacz wyjaśnił mu:

- Oczy mego czerwonego brata były zmęczone, znużony był także jego umysł, gdyż inaczej domyśliłby się wszystkiego. Jeśli ktoś jednym chwytem pozbawia tchu Dzielnego Bawołu, to może to być tylko człowiek o znanym imieniu.

Szoszon chwycił się za głowę i zawołał:

- Oihka_petay miał mózg, lecz nie miał w nim żadnych myśli.
- Oto stoi przed tobą twój zwycięzca, Old Shatterhand. Czy dlatego mój czerwony brat ma wybierać śmierć?
- Nie - brzmiała odpowiedź, której towarzyszyło głębokie westchnienie ulgi.
- Teraz wolno mu żyć.
- Owszem, gdyż dzięki temu, że

Oihka_petay chciał się z własnej woli udać do Krainy Wiecznych Łowów, dowiódł, że ma dzielne serce. Old Shatterhand jest także tym człowiekiem, który swoją ciężką dłoń jednym ciosem zwałił Moh_awa z nóg. Czy może to być hańbą dla młodego, dzielnego wojownika?

- Nie. Również on może żyć.
- Old Shatterhand i Winnetou razem wzięli do niewoli zwiadowców, nie jako wrogów, tylko po to, aby wymienić ich za pojmane blade twarze. Czy mój czerwony brat wie o tym, że Old Shatterhand i Winnetou są przyjaciółmi wszystkich odważnych, czerwonoskórych wojowników?
- Oihka_petay o tym wie.
- Niech zatem wybiera, kim chce być, naszym bratem czy naszym wrogiem. Jeśli zostanie naszym bratem, wtedy jego

wrogowie będą także naszymi wrogami. Jeśli wybierze wrogość, wówczas wypuścimy jego wraz z synem i zwiadowców także, ale wtedy poleje się sporo krwi w walce o uwolnienie białych myśliwych, zaś dzieci Szoszonów będą nakrywały swoje głowy, a żałobne zawodzenia będzie słyszeć z każdego wigwamu i przy każdym ognisku. Niech zatem wybiera. Winnetou powiedział wszystko!

Zapadła głęboka cisza. Wrażenie, jakie wywarła osobowość Apacza oraz jego mowa, było duże. Oihka_petay schylił się, podniósł opuszczony nóż, wbił ostrze aż po rękojeść w ziemię i zawołał:

- Tak jak zginęło ostrze tego noża, tak niech zginie wszelka wrogość pomiędzy wojownikami Szoszonów i odważnymi wojownikami, którzy są sprzymierzeńcami Winnetou!

Wyjął nóż i wznosząc go groźnie ostrzem w górę ciągnął:

- Niech nóż ten trafi wrogów, którzy występują przeciwko Szoszonom i ich braciom! Howgh!
- Howgh! Howgh! - zabrzmiało wokół.

- Mój brat dokonał mądrego wyboru - powiedział Old Shatterhand. - Oto ma przed sobą Davy_honskeha, słynnego myśliwego. Czy zna imiona bladych twarzy uwięzionych w namiocie?

- Nie.

- To Jemmy_petahczeh z

Frankiem Kulawym, towarzyszem Mato_poki, Łowcy Niedźwiedzi.

- Mato_poki? - zawołał zdziwiony Szoszon. - Dlaczego Kulawy tego nie powiedział? Czyż Mato_poka nie jest bratem Szoszonów? Czy nie uratował on życia Oihtki_petay, gdy wpadli na jego trop Oglalajowie?

- On tobie uratował życie? A więc poznaj tutaj jego syna Martina i służę Boba. Wybrali się oni, aby mu pomóc, my zaś

towarzyszymy im, gdyż Mato_poka, Łowca Niedźwiedzi, wpadł w ręce Oglalajów i wraz z pięcioma towarzyszami ma zostać przez nich uśmiercony.

- Zatem psy Oglalajów pragną skazać Łowcę Niedźwiedzi na powolną śmierć? Zniszczy ich Wielki Manitu. Niechaj dusze opuszczą ich ciała, zaś szkielety zbieją na słońcu! A gdzie ich trop?

- Udali się w góry Yellowstone

River, tam gdzie postawiono grobowiec Złego Ognia.

- Brat mój Old Shatterhand, zabił gołą pięścią Złego Ognia i dwóch jego wojowników! Niech zginą zatem również ci, którzy odważyli się targnąć na Łowcę Niedźwiedzi! Niech moi bracia zechcą się udać za mną do obozu moich wojowników! Niech nas połączy fajka pokoju! Naradzimy się przy ognisku. Wszyscy byli co do tego zgodni. Uwolniono także obu zwiadowców i sprowadzono konie.

- Przebiegły z pana facet! - szepnął Długi Davy do ucha Old Shatterhandowi. - Wszystko, co pan robi, jest diabelnie śmiałe, a udaje się panu tak wybornie, jakby chodziło o drobiazg. Chylę przed panem kapelusza. Zerwał z głowy swój cylinder z resztką runda i wywijał nim tak energicznie, jakby chciał wybrać ze stawu całą wodę.

Ruszyli. Prowadząc za sobą konie, myśliwi zawracali znów ku zbocz. Przedtem zgasili ognisko. Jeszcze przed zejściem w dolinę Moh_aw zwinawszy w trąbkę dłonie zawołał w kierunku milczącej ciemności:

- Kuna, kuna, kothko! Ognisko, ognisko, rozpalcie ognisko!

Wołanie odbiło się wielokrotnym echem. W dole je usłyszano i zrozumiano jego sens, gdyż zaczęły stamtąd dobiegać odgłosy.

- Hang pa? Kto tam? - rozległo się gromkie pytanie.

- Moh_aw! Moh_aw! - odpowiedział syn wodza.

- Ha ha hi! - zabrzmiało głośno i radośnie, a w kilka chwil potem ujrzeni płomień powtórnie rozpalonego ogniska. Stanowiło to wiarygodny znak, że Szoszonowie poznali głos młodego Indianina. Pomimo to byli tak ostrożni, że wysłali naprzeciw zbliżających się kilku ludzi, którzy mieli się przekonać o tym, że istotnie nic im nie zagraża.

Kiedy wódz wraz z całym towarzystwem znalazł się w obozie, ludzie wyrażali szczerą radość z jego powrotu. Dręczyła ich ciekawość, jak doszło do owego zagadkowego zniknięcia, lecz żaden z nich nie dawał tego po sobie poznać. Ogarnęło ich zdumienie, gdy pojawili się z nim nieznani im biali ludzie. Nauczyli się ukrywać swoje uczucia za maską obojętności. Stary wojownik, który w czasie nieobecności wodza przewodził Szoszonom, zbliżył się ku niemu i powiedział:

- Oihka_petay jest wielkim czarodziejem, który znika ze swego namiotu, jak znika słowo, kiedy się je wypowie.

- Czy moi bracia naprawdę wierzyli, że Dzielny Bawół zniknął bez śladu jak dym, który się wznosi w przestworza? - zapytał wódz. - Czyż nie mają ani oczu, aby widzieć, co się stało?

- Wojownicy Szoszonów mają oczy, znaleźli znak sławnego białego myśliwego i zrozumieli, że Nonpeh_tahan rozmawiał z ich wodzem. Był to taktowny opis uprowadzenia Dzielnego Bawołu przez Old Shatterhanda.

- Przypuszczenia moich braci były słuszne - wyjaśnił wódz. - Stoi oto tutaj Nonpeh_tahan, biały myśliwy, który pięścią pokonuje swoich wrogów, zaś obok niego Winnetou, wielki wódz

Apaczów.

- Uff, uff! - rozległo się wokół.

Z podziwem i poważaniem przyglądali się teraz Szoszonowie obu znanym mężczyznom, a kiedy z szacunkiem od nich odstępili, poszerzyło się koło, które powstało wokół przybyszy.

- Wojownicy ci przybyli do nas, by wypalić z nami fajkę pokoju - ciągnął dalej wódz. - Chcieli oni uwolnić swoich dwóch towarzyszy, którzy znajdują się tam w namiocie. Mieli oni w ręku życie Dzielnego Bawołu i jego syna, a mimo to zachowali ich przy życiu, dlatego niech wojownicy Szoszonów rozwiążą pęta swym jeńcom. Moi bracia zdobędą za to skalpy wielu Siuksów_Oglalajów, którzy jak myszy wynurzyli się z nor, lecz udusi ich jastrząb. Z nastaniem dnia podążymy ich tropem. Teraz jednak niechaj wojownicy zasiądą wokół ogniska, aby zapytać Wielkiego Ducha, czy tej wyprawie wojennej zapewni on powodzenie!

Nikt nie wyrzekł słowa, mimo że wieść, którą usłyszeli, była emocjonująca. Kilku z nich udało się w ciszy do wspomnianego namiotu, aby wykonać rozkaz wodza, i wkrótce przywiedli jeńców do ogniska. Obaj szli chwiejnym i niepewnym krokiem. Pęta wpiły im się tak mocno w ciało, że wstrzymywały obieg krwi.

- Zachciało ci się głupstw stary szopie? - takim oto pytaniem powitał Długi Davy Grubego przyjaciela. - Tylko taka żaba jak ty wskakuje bocianowi wprost do dzioba!

- Zamknij więc swój, gdyż zaraz do niego wskoczę! - odparł gniewnie Jemmy, rozcierając obolałe przeguby rąk.

- No, no, stary, uspokój się!

Nie chciałem być złośliwy i wiesz przecież, że ogromnie się

cieszę widząc cię znów na wolności.

- Pięknie! Ale wolność moją zawdzięczam chyba przede wszystkim Old Shatterhandowi. - I zwracając się do niego powiedział: - Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób mogę się panu odwdziaczyć! Wprawdzie życie moje to jedynie życie Grubego Jemmy, ale jest on w każdej chwili gotów oddać je do pana dyspozycji.

- Nie mnie należy się pańska wdzięczność - wzbraniał się Old Shatterhand. - Pańscy towarzysze dzielnie tu współdziałali. A przede wszystkim proszę się zwrócić do Winnetou, bez jego pomocy nie moglibyśmy tak szybko i pewnie działać.

Gruby z podziwem musnął wzrokiem szczupłą, a mimo to silną sylwetkę Apacza. Podał mu dłoń i rzekł:

- Wiedziałem, że Winnetou musi być blisko, gdy się Old Shatterhand pojawi. Ponieważ mam być żabą, niech mnie zatem połknie bocian w postaci

Długiego Davy, jeśli nie jest pan najdzielniejszym Indianinem, któremu kiedykolwiek podawałem dłoń.

Murzyn Bob podszedł do Hobbles Franka wykrzykując radośnie:

- Nareszcie, nareszcie masser

Bob widzieć znów dobrego massa Frank! Masser Bob chciał zabić całkiem wszystkich Szoszonów, ale massa Shatterhand chce z massa Winnetou zupełnie sami zrobić to uwolnienie, dlatego Szoszonowie jeszcze raz mogą sobie żyć. Bob ujął ręce Franka i głaskał okaleczone miejsca ze wzruszającą czułością.

7. Szary niedźwiedź

Niby długi, cienki wąż

ciągnęli Szoszonowie przez
prerię zwaną Blue Grass,
ciągnącą się od Devil Head do

Big Horn River pomiędzy No Water Creek i No Wood Creek.

Owa tak zwana błękitna trawa nie jest na Zachodzie częstym zjawiskiem. Na podłożu o odpowiedniej wilgotności sięga ona wysokość dorosłego człowieka i sprawia westmanowi sporo kłopotu. Mądrze postępując wykorzystuje on wydeptane przez bawoły ścieżki w morzu gęstej trawy. Falując zasłania mu ona widoczność, zaś podczas pochmurnej pogody zdarzało się już nie raz, że nawet doświadczeni myśliwi, nie posiadający kompasu i pozbawieni możliwości określenia swego położenia według słońca, po uciążliwej jeździe znaleźli się wieczorem w miejscu, z którego rankiem wyruszyli. Niejeden błdził w kółko do tego stopnia, że trafiając na swój własny trop uważał go za trop innego człowieka.

Podążanie ścieżką wydeptaną przez bawoły nie jest również pozbawione ryzyka. Można na niej bowiem zupełnie nieoczekiwanie natknąć się na wroga, którym może być zarówno człowiek, jak i zwierzę. Napotkanie znieścacka starego bawołu, który odłączył się od stada jako wytrwały pustelnik, jest tak samo groźne jak spotkanie z wrogo usposobionym Indianinem, który ze strzelbą gotową do strzału stał nagle o trzy kroki. Należy wówczas błyskawicznie działać. Przeżyje ten, kto pierwszy odda strzał.

Szoszonowie jechali gęsiego, jeden za drugim, tak aby każdy następny koń stąpał śladami poprzednika. W takim szyku Indianie posuwają się zawsze wtedy, kiedy nie są pewni, czy nie grozi im niebezpieczeństwo.

Nadto wysyłają przed sobą z
ostrożności zwiadowców. Są nimi
zwykle przebiegli Indianie o

najbardziej wyostrzonych
zmysłach, których uwagi nie

ujdzie żaden ruch trawy przeciwny wiatrowi ani najlżejszy nawet trzask łamanej gałązki.

Skoncentrowany w sobie i pochylony ku przodowi, zwiadowca taki sprawia wrażenie, jak gdyby umiejętność jazdy konnej była mu zupełnie obca. Wydawać się może, że ma zamknięte oczy. Jest zupełnie nieruchomy. Również jego koń porusza się jakby sennie, od niechcenia. Ktoś, kto obserwuje ich z ukrycia, może pomyśleć, że jeździec zasnął w siodle. A jednak jest zupełnie inaczej! Uwaga zwiadowcy jest tym bardziej napięta, im mniej jest to widoczne. Nawet jeśli ma spuszczone powieki, wzrok jego wymyka się spod nich nad wyraz czujnie.

Najlżejszy, niemal niedosłyszalny odgłos dociera do uszu takiego zwiadowcy. Oto za pobliskimi krzewami czyha wróg, który podniósł karabin, aby wycelować do zwiadowcy, ale czyniąc to, zaczepił kolbą o rogowy guzik przy kurtce. Ledwie wyczuwalny szmer nie uszedł uwadze zwiadowcy. Krótkie, przenikliwe spojrzenie w kierunku zarośli, ciągnięcie wodzy - jeździec osuwa się z konia, pozostawiając stopę w siodle i rękę w uździenicy. Wisi tak, że koń go całkowicie zasłania i nie może trafić kula wroga. Koń wytracony nagle z pozornej ocieężałości, robi dwa lub trzy skoki w bok i znika ze swoim jeźdźcem w gęstwinie trawy lub za drzewami. Dzieje się to w ciągu dwóch zaledwie sekund, zanim wróg zdołał wziąć zwiadowcę na muszkę. Strzelec ukryty w zasadzce ma przez sekundę szansę, aby pomyśleć o własnym bezpieczeństwie.

Tacy to właśnie zwiadowcy wyprzedzali Szoszonów na stosunkowo dużą odległość.

Czołówkę głównej siły stanowili:

Old Shatterhand, Winnetou oraz

Dzielny Bawół. Za nimi podążali biali z Wohkadehem i Bobem.

Murzyn, pomimo długiej konnej jazdy, nie opanował jeździeckiego rzemiosła. Jego skóra nie uodporniła się. Miał poodparzane ciało i siedział teraz na koniu jeszcze żałośniej niż przedtem. Z nieustającym ochem i achem zsuwał się to na jedną, to znów na drugą stronę. Stękał i pojękiwał we wszystkich możliwych tonacjach i zapewniał ze strasznym grymasem twarzy, że Siuksowie okrutnie odpokutują jego cierpienia.

Aby mu było wygodniej, uwił sobie coś w rodzaju poduszki z błękitnej trawy. Nie zdołał jej jednak umocować na końskim grzbiecie i trawa zsuwała się od czasu do czasu oczywiście wraz z nim, tak że niemal w regularnych odstępach czasu Bob lądował na ziemi. Wywoływało to u poważnych zwykle Szoszonów ogólną wesołość, a kiedy jeden z nich, który rozumiał nieco po angielsku, nazwał go Slipping_Bobem, co znaczyło po prostu Bob_Ślizgacz, słowo to podawane z ust do ust, nabrało w końcu cech przerwiska, którym się potem przy różnych okazjach posługiwano.

Zachodni skraj horyzontu tworzyła dotąd równa linia. Teraz zaczynał się on miejscami wznosić. Pojawiły się tam góry, wcale nie niebieskawe ani zamglone, lecz zarysowane ostro i wyraźnie mimo dużej odległości, którą należało jeszcze pokonać.

W niektórych miejscach

widoczność jest tutaj tak
doskonała, powietrze tak
klarowne, że punkty leżące o
miał zdają się tak bliskie, że
wydaje się, iż można dotrzeć do
nich w parę minut. A przy tym
powietrze jest naelektryzowane i
wystarczy na przykład, aby dwoje
ludzi dotknęło się rękami albo

łokciami, aby wywołać przelatujące iskry. Owo napięcie elektryczności dąży do wyrównania poprzez nieustanne wyładowania. Błyska się wokół, mimo że nie ma chmur. Często zdaje się, iż cały widnokrąg stoi w płomieniach, lecz samopoczucie człowieka czy zwierzęcia wcale nie ulega przez to najmniejszemu zakłóceniu. Kiedy zapadną wieczorne ciemności, wówczas owo migocące świecenie i żarzenie tworzy nieopisany widok, i nawet przywykły do tego westman nie może oprzeć się dziwnemu wrażeniu. On, który nauczył się polegać jedynie na sobie, czuje się wobec tych tajemnych sił mały i bezradny. Myśli wtedy o Bogu, o którym być może dawno zapomniał, i w postaci nabożnego wspomnienia młodości budzą się w nim często słyszane w szkole słowa psalmisty:

Gdzież się oddalę przed Twoim

duchem?@ Gdzie ucieknę od Twego
oblicza?@ Gdy wstąpię do nieba,
jesteś tam;@ Jesteś przy mnie,
gdy się w Szeolu położę.@ Gdybym
przybrał skrzydła jutrzeńki,@
zamieszkał na krańcu morza:@ tam

również Twa ręka będzie mnie
wiodła@ i podtrzyma mię Twoja
prawica!@

To samo myśli i czuje Indianin:

Wakan_tanka_wakuon_pehta. Wigwamowym ogniskiem Wielkiego Ducha nazywa
Siuks owe błyskawice. - Manitunimeh wartrenton. Widziałem Manitu w błyskawicy
- powie Indianin z plemienia Ute, opowiadając swoim, że przebył drogę powrotną
przy owym elektrycznym oświetleniu.

Wyładowania elektryczne mogą
się w czasie wojny okazać bardzo
niebezpieczne. Indianin wierzy
bowiem, iż wojownik, który
polegnie w nocy, będzie żył w

Krainie Wiecznych Łowów w nieustających ciemnościach, dlatego unika on, o ile to
tylko możliwe, walki w nocy i atakuje najchętniej o brzasku. Natomiast ten, kto
umrze w ogniu Wielkiego Ducha, a więc w błyskawicy, nie odchodzi w zaświaty w
mroku, lecz również tam znajdzie rozjaśnione światłem ścieżki łowne i wojenne. Z
tego względu Indianin nie zawaha się atakować w ogniu przeszywających niebo
błyskawic i niejeden, który tego nie wiedział albo sobie to zlekceważył, swoją
niewiedzę albo nieostrożność przypłacił oskaldowaniem i życiem.

Mały Hobbler Frank nigdy jeszcze takiego zjawiska nie obserwował, dlatego odezwał
się do jadącego przed nim Grubego Jemmy:

- Panie Pfefferkorn, był pan ongiś w Niemczech gimnazjastą i z pewnością
przypomina pan sobie coś niecoś, co tam uczono na temat psychikalnych
zjawisk. Dlaczego to tutaj właściwie tak błyska i świeci?

- Mówi się fizykalnych, a nie psychikalnych - poprawił go Gruby.

- Wszystko jedno, czy powiem psychikalnie czy fizykalnie. Najważniejsze,
że prawidłowo wymawiam „ygrok”.

- Chyba „igrek”?

- Co? Jak proszę? Ja mam nie wiedzieć, jak się wymawia jedną z ostatnich
liter alfabetu? Jeśli powie mi pan to jeszcze raz, to może się panu przytrafić coś
w głowę. Wielbiciel nauki nie pozwoli sobie na coś podobnego. Nie potrafi pan
na moje pytanie udzielić uczonej odpowiedzi, dlatego usiłuje pan wykrętnie
wydostać się z tej pułapki, lecz jeśli myśli pan, że się to uda, to się pan myli.
Może mi pan zatem odpowiedzieć czy też nie?

- Oczywiście! - zaśmiał się

Gruby.

- Zatem proszę, czekam! A więc, dlaczego się tutaj tak bardzo błyska?

- Bo istnieje tutaj dużo elektryczności.

- Ach tak! I to nazywa pan odpowiedzią? Oczywiście, aby tak powiedzieć, nie trzeba być gimnazjastą! Ja wprawdzie nie uczęszczałem do żadnej Alma Mater, nie byłem studentem, nigdy nie byłem na maturalnym balu i nie wkuwałem aleksandrynow, ale jestem absolutnie pewny, że tam gdzie się błyska, musi być elektryczność. Każdy skutek ma swoją przyczynę. Jeśli ktoś dostał w twarz, to musi być ktoś, kto mu ten policzek wymierzył. Natomiast kiedy się błyska, to... to...

- ...to musi istnieć ktoś, kto błyskanie wywołuje - dokończył za niego Jemmy.

Hobble Frank milczał przez chwilę, aby zastanowić się nad słowami Grubego, i wybuchnął gniewnie:

- Słuchaj pan, panie

Pfefferkorn, dobrze że nie wypiliśmy jeszcze „pertyka”, gdyż musiałbym go teraz bezzwłocznie odwołać, a stanowiłoby to wieczną plamę na pańskim mieszczańskim honorze. Dlaczego właściwie przerywa mi pan moje najpiękniejsze zdanie? Jeśli w inteligentny i bezpośredni sposób przyrównuję elektryczność do wymierzonego policzka, wówczas pan nie ma najmniejszego prawa, by niby jakiś herszt zagarnąć moje porównanie. Była zatem mowa o błyskawicy. Pan powiada, że błyska się z powodu występowania elektryczności. Idę dlatego dalej i pytam, dlaczego właśnie tutaj, w tej okolicy nagromadziło się tyle elektryczności? Nigdy dotąd nie widziałem jej tyle na raz. Ma pan teraz najlepszą okazję, aby zdać swój egzamin.

Gruby Jemmy roześmiał się głośno i dlatego Frank zapytał:

- Dlaczego się pan śmieje? Czy śmiech ten ma ukryć pańskie zakłopotanie? Jestem bardzo ciekaw, w jaki sposób pan z tego wybrnie, kochany mój panie Pfefferkorn!

- Owszem - odparł Jemmy. - Na pańskie pytanie oczywiście trudno odpowiedzieć. Nawet profesor daremnie by się trudził.

- Tak! Innej odpowiedzi nie mogę zatem od pana oczekiwać?

- A może jednak.

- To niech ją pan wyłoży!

Zamieniam się w słuch.

- Może to duże zasoby metalu w

Górach Skalistych winne są tak obfitemu nagromadzeniu się elektryczności.

- Zasoby metalu? Elektryczność nie ma z nimi nic wspólnego.

- A jednak! Dlaczego przyciąga ją piorunochron?

- Ale i tak po nim jedynie przelatuje, nic o nim nie wiedząc, zresztą błyskawica rozłupuje niejedno drzewo, które przecież nie ma w sobie ani grama żelaza. Nie, nie mogę się z tym zgodzić. W takim razie błyskawice musiałyby się skupić na wszystkich odlewniach żeliwa.

- A może dzieje się to z tego powodu, że zbliżamy się do magnetycznego bieguna?

- Gdzie on się znajduje?

- W północnej Ameryce, w każdym bądź razie spory kawał drogi stąd.

- Zostawmy go więc! On nie ma nic wspólnego z tym błyskaniem.

- A może elektryczność skupia się tutaj w wyniku niesamowicie szybkich obrotów Ziemi w pobliżu ogromnej wysokości Gór Skalistych?

- Nie. To brzmi

niewiarygodnie. Elektryczność nie jest przecież gęsta jak syrop i zupełnie łatwo przemyka nad górami. Niestety, nie zdał pan egzaminu.

- Jeśli zatem pan jest moim

egzaminatorem, w takim razie musi pan to lepiej wyjaśnić ode mnie.

- Owszem! W chwili szczerości nauczyciel z Mortizburga powiedział mi, że elektryczność powstaje w efekcie tarcia. Chyba się pan z tym zgadza?

- Oczywiście.

- Przeto tam gdzie istnieje tarcie, musi powstawać elektryczność.

- Na przykład przy tarceniu kartofli!

- Niech pan zostawi te uczniowskie dowcipy, panie Pfefferkorn, gdy rozmawia pan z człowiekiem, któremu nie obca jest wiedza. Z ową elektrycznością nie będę robił wielkich ceregieli. Nie zależy mi wcale na tym, czy tego tarcia będzie trochę mniej czy trochę więcej, szczególnie w tej okolicy. Mamy tu potężne prairie, potężne góry. O ile tylko wiatr albo i nawałnica będą tutaj hulać, powstanie niesamowite tarcie. Czyż nie?

- Owszem - zgodził się Jemmy z szelmowskim uśmiechem.

- Nawałnica trze ziemię.

Miliony traw trą się o siebie. Niezliczone gałęzie, konary i liście drzew pocierają się także. Bawoły kładą się na ziemi, trąć się o nią, co wytwarza szczególne tarcie. Mówiąc zwięźle, w tym miejscu tyle wszystkiego się trze jak nigdzie indziej i dlatego gromadzi się tutaj olbrzymi zapas elektryczności. Wyjaśniłem to panu prosto i w sposób niepodważalny. Może coś jeszcze dodać?

- Nie, nie - śmiał się Jemmy - w zupełności wystarczy.
- A więc, proszę przyjąć to wyjaśnienie z powagą i należyтым szacunkiem. Śmiech jest tutaj zupełnie nie na miejscu. Gdyby sławetny Old Shatterhand nie przyszedł nam z pomocą, musiałby

pan mimo całej swej przebiegłości wykonać ryzykowne salto quartale w Krainę Wiecznych Łowów.

- Mówi się mortale, a nie quartale!

- Zamknij się pan! Coś podobnego mi się już w tym kwartale nie przydarzy, dlatego mówię quartale. A teraz nasza naukowa dysputa jest finisparterra, bo jesteśmy już blisko gór, a przed nami zatrzymali się zwiadowcy. Widocznie wykryli coś ważnego.

Nasz niewielkiego wzrostu pseudonaukowiec podczas dzieciennego sporu nie zwracał prawie uwagi na to, że przebyli już spory szmat drogi. Zniknęła błękitna trawa. Na jej miejscu pojawiły się trawy kostrzewiaste, gęsto poprzątkane wonną marzanką, zaś w pewnej odległości rozpościerały się bujne zarośla, ponad które wystawały wierzchołki kilku czerwonych klonów. Drzewa te lubią wilgotną glebę, stanowiły zatem pocieszający znak, że po gorącej jeździe czeka na jadących łyk orzeźwiającej wody.

Właśnie przy takich krzewach zatrzymali się zwiadowcy. Kiedy gromada jeźdźców zbliżała się ku nim, gestykulowali rękami nakazując ostrożność, zaś jeden z nich wołał:

- Neragpan, neragpan!

Słowo to oznaczało trop. Zwiadowcy nakazywali zatem ostrożność, aby odkryty przez nich trop nie uległ zniszczeniu, zanim nie odczytają go dowodzący.

Wohkadeh podjechał do nich ignorując ich gesty.

- Wp hets! - zawołał oburzony zwiadowca.

Znaczyło to tyle co „młody człowieku” i stanowiło napomnienie. Młody człowiek nie postępuje tak przezornie, jak powinien postąpić człowiek

dojrzały. Określenie to oznaczało zarzut, bez zamiaru obrażania Wohkadeha. Mimo to Wohkadeh zareagował:

- Czy moi bracia policzyli zimy, które przeżył Wohkadeh? Wohkadeh dobrze wie, co czyni, i zna ten trop, gdyż są tutaj także ślady jego stóp. Biwakował tu bowiem z Siuksami ze szczepu Oglala, zanim go wysłali, aby szukał namiotów Szoszonów. W każdym razie Oglalajowie ruszyli stąd wprost na zachód, aby dotrzeć do rzeki Big Horn, i pozostawili dla Wohkadeha znaki, które miały mu pomóc, aby szybko podążył za nimi.

Miejsce, w którym się zatrzymali, nosiło ślady wskazujące na to, że przed kilkoma dniami biwakowała tu pokaźna gromada jeźdźców. Ślady ich pobytu mogły dostrzec jedynie wyćwiczone oczy. Zdeptana trawa wyprostowała się już zupełnie, lecz najbliższe krzewy pozbawione były czubków gałązek objedzonych przez konie. Wyjaśnienie Wohkadeha wskazywało na to, że nie ma sensu dłużej się tu zatrzymywać. Słońce znajdowało się wprawdzie w zenicie, była to zatem pora największego upału i koniom należałoby się krótki odpoczynek, ale postanowiono poczekać z tym, aż znajdzie się wodę.

Równinna dotąd ziemia zaczynała się wznosić. Przed nimi z prawa i z lewa pojawiały się łańcuchy górskich grzbietów. Jeźdźcy podążali teraz szeroką rozpadliną pomiędzy wzgórzami.

Także i tutaj rosły wysokie
trawy, ale coraz więcej było
także zarośli, najpierw z
gatunku twardych, wkrótce jednak
pojawiły się również gatunki
miękkie, krzaczaste topole
balsamiczne, które nie wyrastają
w wysokie drzewa, i dzikie
grusze z rodzaju, który
Amerykanin nazywa spiked

hawthorn.

Obecnie liczniej występowały również te drzewa, które przedtem rosły pojedynczo: białe jesiony, kasztany, wiązowce, dęby i lipy, których pnie oplatał kwitnący purpurową czerwienią kokornak.

Kiedy zaś za jednym ze wzgórz droga skręciła gwałtownie na północ, jeźdźcy ujrzeli przed sobą gęsto zalesione góry. Z pewnością była tam i woda. Stały tu naprzeciw siebie dwa poprzecinane dzikimi rozpadlinami niemal strome szczyty, a między nimi biegła wąska dolina, na której dnie woda szemrała cichą melodię.

Czy należało tu skrócić, czy też podążać w dotychczasowym kierunku?

Old Shatterhand lustrował przenikliwym? skraj lasu. Niebawem jednak zadowolony wskazał na drogę przed sobą mówiąc:

- Pojedziemy w lewo, w dolinę.

- Dlaczego? - zdziwił się

Długi Davy.

- Czyż nie dostrzegacie gałązki świerku zatkniętej w pniu lipy?

- Ay sir. Zaiste ciekawe, że drzewko iglaste wyrasta z drzewa liściastego.

- Jest to znak przeznaczony dla Wohkadeha. Siuksowie umieścili go w taki sposób w pniu lipowym, aby wskazywał na dolinę. Udali się następnie w tym kierunku i przypuszczam, że spotkamy jeszcze więcej takich drogowskazów. Zatem w drogę!

Winnetou zdołał już w milczeniu znaleźć się na czele kolumny, rzucając tylko krótkie spojrzenie na lipowe drzewo. Było to charakterystyczne dla niego.

Lubił działać, bez długiego gadania.

Kiedy przebyli niewielki

odcinek drogi, znaleźli miejsce,

które nadawało się idealnie pod

obozowisko. Zatrzymali się. Była

tu woda, cień i wyborna trawa na popas dla koni. Wszyscy zsiadli i pozwolili zwierzętom popasać. Szoszonowie byli dobrze zaopatrzeni w suszone mięso, biali natomiast mieli jeszcze zapasy pobrane z chaty Łowcy Niedźwiedzi. Posilili się i położyli w trawie na krótką drzemkę albo siedząc pospołu w gromadkach, rozmawiali.

Najbardziej niespokojny okazał się Bob. Ponieważ pościerał sobie skórę, bolały go zranione miejsca.

- Masser Bob być chory, bardzo chory - biadał. - Masser Bob nie mieć już swojej skóry na nogi. Cała skóra nie ma, i spodnie kleić się teraz do nóg, i to bardzo boleć masser Boba. Kto temu być winien? Siuksy. Kiedy masser Bob znaleźć wtedy ich zabić, na śmierć zabić. Masser Bob nie móc jechać, siedzieć, stać ani leżeć. Masser mieć na nogach ogień.

- Jest na to lekarstwo - poradził mu Martin Baumann. - Znajdź sobie liść podbiału i połóż go na rany.

- Ale gdzie rosnąć ten podbiał?

- Szczególnie na skrajach lasów. Być może, że znajdziemy go właśnie tutaj.

- Ale masser Bob tej rośliny nie znać. Więc jak mam ją znaleźć?

- Chodź! Będę szukał wraz z tobą.

Obaj mieli zamiar się oddalić. Jemmy słyszał, o czym mówili, i ostrzegł ich:

- Weźcie z sobą broń! Tu nie można przewidzieć, co przyniesie następna chwila.

Martin sięgnął bez słowa po broń, Murzyn zarzucił również strzelbę na ramię.

- Yes! Masser Bob wziąć także swoją strzelbę. Gdy zjawić się Siuks albo dziki zwierz, zastrzelić wszystko, aby osłonić młody marsa Martin. Come on! Obaj szli powoli wzdłuż skraju

doliny, ale podbiału nie było widać. I w taki sposób oddalali się coraz dalej i dalej od obozowiska. W dolinie było cicho i słonecznie. Motyle igrały wokół kwiatów.

Chrząszcze przenosiły się brzęcząc z miejsca na miejsce. Woda pluskała pogodnie, a wierzchołki drzew kąpały się w słonecznych promieniach.

Naraz idący jako pierwszy Martin przystanął wskazując na linię, która w niewielkiej odległości od nich wiodła od strumyka przez trawę prosto ku ścianie doliny, gdzie ginęła pod drzewami.

Zbliżyli się do tropu, bacznie mu się przypatrując. Trawa, począwszy od wody aż ku drzewom, była na szerokości kilku stóp nie tylko przydeptana, lecz rozdeptana tak bardzo, że odsłaniała nagą ziemię. Martin i Bob stali przy ścieżce.

- To nie być żadne zwierzę - zauważył Murzyn. - Tu biegać często człowiek w butach. Massa Martin przyznać rację masser Bob.

Chłopak jednak z powątpiewaniem kiwał głową. Badał dokładnie ścieżkę odpowiadając na stwierdzenie Boba:

- Sprawa wcale nie jest prosta. Nie można rozpoznać śladów kopyt czy pazurów. Ziemia tak jest udeptana, że nie da się nawet ustalić, kiedy ktoś chodził ostatni raz po tej ścieżce. Mogę się założyć, że jedynie zwierzę kopytne mogło wydeptać taką drogę.

- To być pięknie, bardzo pięknie! - cieszył się Murzyn. - Może to być opos. Masser Bob bardzo lubić oposa.

Opos, inaczej dydelf wirgiński, dochodzi do półmetrowej długości. Posiada on wprawdzie delikatne, białe i puszyste mięso, jednak o woni tak odrażającej, że biały człowiek nigdy go nie spożywa.

Murzyni natomiast nim nie pogardzają, a dla niejednego owa pieczeń wydzielająca nieprzyjemną woń stanowi nader łakomy kęs. Do takich smakoszy należał także Bob.

- Co też ci przychodzi do głowy! - śmiał się Martin. - Opos tutaj? Czy opos należy do kopytnych?

- Do czego oposy należą, masser Bob to nie obchodzić. Opos być smaczne, wspaniałe mięso, i masser Bob próbować, czy opos dać się złapać. Już miał zamiar oddalić się podążając śladem, lecz Martin powstrzymał go.

- Zostań tu i nie ośmieszaj się! O oposie nie może być tutaj mowy. Jest on stanowczo za mały, aby udeptać aż taki ślad. Było to jakieś duże zwierzę, może nawet łoś!

- Łoś, łoś - wołał Bob mlaskając językiem. - Łoś dawać dużo, dużo mięsa i łoju, i skóry. Łoś być dobry, bardzo dobry! ac Bob zaraz zastrzelić łosia.

- Hola, hola! Nie mógł to być łoś, gdyż byłaby tu wyjeżdżona trawa.

- Więc masser Bob zobaczyć, co to być. Może to jednak opos. Oho! Jeśli masser Bob ma znaleźć oposa, będzie wielka uczta. I pobiegł tropem ku porośniętej lasem ścianie doliny.

- Zaczekaj no, Bob! - ostrzegwał Martin. - To może przecież być także jakiś drapieżnik!

- Opos być drapieżnikiem, żywić się ptakami i inną drobną zwierzyną, masser Bob go złapać.

Nie słuchał przestrogi i szedł dalej. Myśl o ulubionej pieczeni wyparła w tym wypadku nieodzowną tutaj ostrożność. Martin podążył za nim, aby w przypadku jakiejś nieprzyjemnej niespodzianki być szybko pod ręką, lecz Murzyn wyprzedził go już spory kawał drogi.

Dotarli do krawędzi lasu, tam gdzie grunt podobnie jak i po drugiej stronie doliny zaczynał się wznosić stosunkowo stromo w górę. Ścieżka zmierzała prościuteńko pomiędzy drzewa i dalej w górę pomiędzy duże zręby skał. Także i tutaj na tyle ubita, że nie można było rozemnać wyraźnie pojedynczych śladów. Murzyn wspinał się, ciągle jeszcze daleko w przodzie, na wzniesienie. Drzewa rosły tutaj stosunkowo gęsto, zaś pomiędzy ich pniami pleniło się wszelakie podszycie, tak że owa dzika ścieżka prowadziła poprzez normalną gęstwinę. Wtem Martin usłyszał triumfujący głos Murzyna.

- Massa przyjsć, przyjsć szybko! Masser Bob znaleźć gniazdo oposa.

Chłopak podążył szybko, jak tylko to było możliwe, za tym wołaniem. Opos nie mógł tutaj zupełnie wchodzić w rachubę i dlatego należało się obawiać, że Bob znalazł się w niebezpieczeństwie, o którego rozmiarach nie miał pojęcia.

- Zatrzymaj się! - ostrzegwał

Martin. - I nie rób nic, dopóki do ciebie nie przyjdę.

- O, tutaj być dziura, drzwi do gniazda oposa! Masser Bob złożyć wizytę oposowi.

Martin dotarł teraz do miejsca, w którym znajdował się teraz Murzyn. Jedne na drugich leżały tam spiętrzone fragmenty skał. Dwa spośród nich były o siebie wsparte i tworzyły pieczarę zarośniętą krzewami leszczyny i morwy, chaszczami malin i jeżyn. Poprzez te zarośla prowadził ganek. Ślad, którym dotąd podążali, zmierzał właśnie tam, lecz liczne, prowadzące na prawo i lewo tropy wskazywały na to, że mieszkaniec pieczary krążył nie tylko pomiędzy pieczarą a wodą, lecz że podejmował również inne jeszcze wypadki.

Murzyn przykucnął i zaczął wchodzić w chaszczę, aby wczłgać się do pieczary. Ku swemu przerażeniu Martin rozpoznał dopiero teraz, że jego obawa miała swoje uzasadnienie. Zobaczył wyraźnie, z jakim to zwierzęciem mają do czynienia.

- Cofnij się, na miły Bóg, cofnij się! - wołał. - To pieczara niedźwiedzia! Jednocześnie schwycił Boba za nogi, by go odciągnąć do tyłu. Murzyn sprawiał wrażenie, że go nie rozumie, gdyż mówił:

- Dlaczego mnie trzymać?

Masser Bob być śmiały i zwyciężyć całe gniazdo pełne oposów.

- To niedźwiedź, nie opos!

Martin trzymał Murzyna wszystkimi siłami. Nagle rozległ się głuchy, gniewny pomruk i Murzyn wydobył z siebie okrzyk przerażenia:

- Jezus! Co za bydlę, istny potwór! O masser Bob, o masser Bob!...

Błyskawicznie wycofał się z chaszczy i raptownie podskoczył. Mimo ciemnej skóry, Martin widział, że z przerażenia z oblicza Boba odpłynęła wszelka krew.

- Czy niedźwiedź jest jeszcze w pieczarze? - zapytał chłopak.

Bob wymachiwał w powietrzu rękami i poruszał wargami, ale nic nie odpowiadał. Wypuścił z rąk strzelbę, wyrwał gałki oczu i szczął zębami.

Wtem zaszeleściło coś w chaszczach i wynurzył się stamtąd łeb szarego niedźwiedzia zwanego grizzly. Widok ów przywrócił Murzynowi mowę.

- Uciekać, uciekać! - krzyczał. - Masser Bob, na drzewo!

Wykonał potężny skok do przodu w kierunku cienkiej, wiotkiej brzoźki i zaczął się po niej wspinać z prędkością wiewiórki.

Martin śmiertelnie blady, ale wcale nie ze strachu, zwinnym

ruchem chwycił strzelbę Murzyna i uskoczył za pień masywnego buka. Oparł się o niego i schwycił własną dubeltówkę zwisającą z ramienia.

Niedźwiedź wysuwał się powoli spomiędzy krzewów ciernia. Małymi oczkami spojrzał w pierw na Murzyna, który trzymając się rękoma dolnych gałęzi, zwisał z brzozy, a potem na Martina, który znajdował się nieco dalej. Schylił łeb, otworzył zaślinioną paszczę i wywiesił język. Wydawać się mogło, że zastanawia się, ku któremu z dwóch wrogów najpierw się zwrócić. Potem z wolna, kołysząc się wznosił się na tylnych łapach. Grizzly liczył ponad dwa metry wzrostu i szerzył wokół siebie przenikliwą woń właściwą wszystkim drapieżnikom żyjącym w stanie dzikim. Od momentu, w którym Bob wskoczył na drzewo, nie upłynęła nawet jedna minuta. Gdy Murzyn zobaczył w odległości zaledwie czterech kroków potężne zwierzę gotowe do ataku, wrzasnął:

- For gods sake! Niedźwiedź chce pożreć masser Boba! Szybko, szybko, wyżej!

Wykonując gorączkowe ruchy wspinał się coraz wyżej. Brzózka była niestety tak słaba, że zgięła się pod ciężarem ogromnego Murzyna. Podciągał on stopy możliwie jak najwyżej i obejmował ją mocno nogami i rękoma, lecz mimo to nie mógł się utrzymać w pozycji jeźdźca. Cieniutki wierzchołek drzewka skłaniał się coraz niżej i Bob zwisał teraz jak wielki nietoperz.

Niedźwiedź zdawał się rozumieć, że czarnego wroga pokona łatwiej niż białego. Skierował się zatem ku brzozie i wyciągnął lewą łapę ku Bobowi.

Martin sięgnął za koszulę. Miał tam lalkę, krwawe wspomnienie po nieszczęśliwej siostrzyczce.

- Lucy, Lucy! - szeptał. -

Pomszczę cię!...

Pewną dłonią wycelował strzelbę. Rozległ się wystrzał, potem jeszcze jeden...

Bob puścił się ze strachu.

- O Jezus, Jezus! - wołał. -

Masser Bob nie żyć, quite dead!

Spadł na ziemię, brzoza wyprostowała się.

Niedźwiedź skulił się, jakby otrzymał cios albo pchnięcie. Rozwarł okropną, pełną żółtych zębisk paszczę i z trudem uczynił jeszcze dwa kroki w kierunku leżącego na ziemi Murzyna, który wrzeszczał wniebogłosy.

W tym samym momencie odważny chłopak znalazł się pomiędzy nim a zwierzęciem. Odrzucił teraz swoją dwururkę i ujął strzelbę Murzyna, kierując lufę w niedźwiedzia. Człowiek i zwierzę znajdowali się zaledwie o dwa kroki od siebie. Wzrok Martina wyrażał odwagę, natomiast zaciśnięte usta zdawały się mówić: ty albo ja! Jednak zamiast pociągnąć za spust, opuścił karabin i cofnął się gwałtownie. Spostrzegł bowiem, że trzeci strzał byłby zbyt cenny. Niedźwiedź przystanął. Z gardzieli wydobył charczący pomruk, po nim nastąpiło coś jakby wyjący jęk. Drżenie ogarnęło jego ciało, opadł na przednie łapy, po języku spłynęła mu ciemna posoka, wreszcie zwałił się na ziemię. Jeszcze jedno konwulsyjne drgnienie, niedźwiedź wykonał pół obrotu i leżał nieruchomo obok Murzyna.

- Help, help! Na pomoc, na pomoc! - skamlał Bob, który przerażony, wciąż jeszcze leżał na ziemi i opędał się rękami w powietrzu.

- Przestań, stary! - ofuknął go Martin. - Czemu biadolisz, tchórze? Niedźwiedź już nie żyje! Założę się, że obiema kulami trafiłem go w samo serce.

Bob podniósł się teraz szybko. Okazało się, że spadając wcale nie połamał sobie kości, nie poniósł na zdrowiu najmniejszego uszczerbku i teraz triumfująco wykrzykiwał:

- Nie żyje! Niedźwiedź nie żyje! Ho ho ho! Masser Bob i massa Martin zwyciężyć potwora! Masser Bob polować na niedźwiedzie. Ho ho, masser Bob to odważny i sławny westman! Wszyscy ludzie mówić, jaki to śmiały i nieustraszony ten masser Bob!

- Owszem - śmiał się Martin - wykazałeś niemało odwagi spadając z drzewa jak dojrzała śliwka niemal wprost w paszczę niedźwiedzia! Murzyn zrobił zdziwioną minę.

- Spadając? - powtórzył. - Bob wcale nie spaść. Bob zeskoczyć do walki z nim. Masser Bob chcieć pokazać, że się nie boi niedźwiedzia. Ho ho! Co tam jeden niedźwiedź dla masser Boba! - Uczynił odważnie krok w jego kierunku, wolał jednak zatrzymać się w przyzwoitej odległości od martwego zwierzęcia. Można było teraz usłyszeć odgłosy rozmowy i pośpieszne kroki.

- By Jove, ślad niedźwiedzia!

- rozległo się od strony wody.

- Może to być jedynie olbrzymi grizzly. Martin i Bob na tym się nie poznali i nic nie przeczuwając, poszli mu naprzeciw. Szybko za nimi! Był to głos Old Shatterhanda. Doświadczony westman od pierwszego spojrzenia nie miał żadnych wątpliwości, jakie to zwierzę go wydeptało.

- Tak, to oczywiście grizzly - przytakująco wołał Gruby Jemmy.
- Może już obaj zginęli.
Naprzód, prędzej w las!

Można było usłyszeć nawoływanie.

- Hallo! - zawołał Martin w

stronę przybyszy. - Nie martwcie się! Jesteśmy zdrowi!

Old Shatterhand i Winnetou pierwsi zjawili się na polu walki z niedźwiedziem.

- To faktycznie grizzly! - zawołał Old Shatterhand, spojrzawszy na zabite zwierzę.

- Co za okazała sztuka, a pan żyje, Martin! Co za ogromne szczęście! -
Podszedł do zwierzęcia oglądając ranę. - Trafiony w samo serce, i to z
niewielkiej odległości! Mistrzowski strzał. Nie muszę chyba pytać, kto położył
to zwierzę.

Wówczas wystąpił do przodu Bob i z dumą, szczerząc zęby, powiedział:

- Masseur Bob pokonać tego niedźwiedzia. Masseur Bob to człowiek, który
sprawił, że niedźwiedź oddał życie.

- Słuchaj, Bob? Czy ty mówisz prawdę?

- Hm! To być prawda, bardzo prawda! Masseur Bob usiąść przed sam nos
niedźwiedzia, aby niedźwiedź widzieć tylko jego, a nie massa Martin, który
mieć strzelać.

Old Shatterhand uśmiechnął się. Wyćwiczonemu oku nic nie uszło uwagi.

Spojrzał na zielone brzożowe listki leżące na ziemi. Bob postrząsał je z gałęzi
wdrapując się na drzewko. Niektóre połamane gałązki zwisały jeszcze z
konarów.

- Owszem, masser Bob zachował się bardzo dzielnie - potwierdził westman.

- Kiedy zobaczył niedźwiedzia, ze strachu wdrapał się na tę tutaj brzożkę, nie
przewidując, że jest za słaba, aby go utrzymać. Ugięła się, zaś masser Bob
spadł tuż przed niedźwiedziem. I byłby niechybnie zginął, gdyby jego młody
pan w czas nie strzelał. Czy nie było to właśnie tak, panie Martin?

Martin musiał się zgodzić z

oceną, mimo że z przykrością

karął zacnego Murzyna za jego przechwałki. Bob usiłował się jeszcze usprawiedliwiać:

- Owszem, masser Bob wspiąć się na brzoźkę, aby niedźwiedź wspinać się za nim i nie ruszać dobrego massa Martin.

Lecz musiał lpogodzić się niestety z tym, że jego zapewnieniu nikt nie wierzy.

Teraz wszyscy pragnęli wiedzieć, jak w rzeczywistości wyglądało owo niebezpieczne zajście, i Martin odtworzył cały jego przebieg, uczynił to w prostych słowach, bez jakiegokolwiek upiększania. Pomimo to słuchacze zrozumieli, jaką odwagą i zimną krwią musiał się wykazać.

- Drogi mój młody przyjacielu!

- jako pierwszy zabrał głos Old Shatterhand. - Z miłą chęcią przyznaję, że najbardziej doświadczony myśliwy nie poczynałby sobie lepiej od pana. Postępując tak dalej, wyrośnie z pana człowiek, o którym będzie się wiele mówić.

Również milczący zazwyczaj Winnetou powiedział przyjaźnie:

- Mój mały biały brat ma przytomność wytrawnego wojownika i jest godnym synem słynnego Łowcy Niedźwiedzi. Wódz Apaczów pragnie uścisnąć mu dłoń.

Dla Szoszonów niedźwiedź jest upragnioną zdobyczą. Smaczny jest z niego schab, szynki są jeszcze lepsze, zaś łapy uważane są nawet za przysmak.

Jedynie serce i wątrobę Indianie odrzucają, uważając, że są one trujące.

Szczególnie ceniony jest tłuszcz niedźwiedzi, gdyż przyrządzają z niego oleistą ciecz. Olej z niedźwiedzia służy do przyrządzania różnorodnych farb, którymi się malują, na przykład farb wojennych albo ochry używanej przez Siuksów do farbowania przedziałka na głowie.

Na pytający gest ręki wodza Szoszonów Martin odpowiedział:

- Moi braci mogą zabrać mięso niedźwiedzia. Skórę zatrzymuję.

Krótko potem zwierzę zostało odarte ze skóry, a mięso rozdzielono. Podczas, kiedy większość Szoszonów cięła dziczyznę ostrymi nożami do skalpowania na cienkie, szerokie pasma, inni zajęli się doraźnym wyprawianiem skóry.

Starannie oczyścili ją z resztek mięsa i rozłupali tomahawkami niedźwiedzią czaszkę, aby dotrzeć do mózgu, którym pocierali spodnią skórę.

Wszystko to odbywało się tak szybko, że nie upłynął nawet kwadrans, a cała robota została zakończona i wojownicy mogli wrócić do obozu. Skórę niedźwiedzia przywiązali na jednym z zapasowych koni Szoszonów, zaś mięso

włożyli pod siodła. Podczas jazdy nabierało ono miękkości i kruchości, tak że wieczorem nadawało się do spożycia. Oczywiście, że taki sposób przyrządzania dla europejskiego smakosza nie byłby zbyt zachęcający.

Sjesta popołudniowa została przez ową myśliwską przygodę przerwana i nie zamierzali jej kontynuować.

Ruszyli zatem w drogę.

8. Przygoda

Franka i Boba

Trakt prowadził niżej w dolinę, wił pośród sporadycznie występujących gór, aby połączyć się z tą samą szeroką niecką, którą jeźdźcy podążali już przedtem. Okazało się, że skrócili w ten sposób drogę przecinając znaczne zakole. Siuksowie dobrze znali szlak, który przemierzali. Od czasu do czasu, szczególnie wtedy kiedy zmieniali kierunek, zostawiali dalsze znaki dla Wohkadeha.

W ciągu dnia pochód jeźdźców
dotarł do doliny o owalnym
kształcie o średnicy kilku mil,

otoczonej wokół stromymi ścianami skalnymi. Na środku owej doliny wznosiła się pojedyncza, w kształcie kręgła góra, której gładkie ściany lśniły bielą w promieniach słońca. Na wierzchołku owej góry znajdował się płaski, szeroki głąz przypominający swoim kształtem żółwia.

Geolog nie miałby żadnych wątpliwości, że ongiś istniało tutaj jezioro, którego brzegi stanowiły wznoszące się wokół wzgórze. Wierzchołek góry, która wznosiła się obecnie pośrodku doliny, wystawał wówczas z wodnych odmętów. Badania wykazały, iż w okresie trzeciorzędu krajobraz Ameryki Północnej charakteryzował się licznymi jeziorami słodkowodnymi. Z biegiem czasu woda w owych wielkich zbiornikach opadła, a niegdyś jeziora zamieniły się w doliny i stały się równocześnie cementaryskami żyjących wtedy stworzeń. Badacz przyrody, w szczególności paleontolog, może wzbogacić się o nieznane mu bogactwo skamielin. Można tam znaleźć zęby i szczęki hipopotama podobnego do wodnego konia, resztki bezrogiego nosorożca i tysiące żółwi. Zdarzają się także szczątki kostne przeżuwiającej świni, hienodona, przedpotopowego wielbłąda i konia, a nawet potężnego tygrysa uzbrojonego w zęby o kształcie szabli. Współcześnie istnieje na całej kuli ziemskiej zaledwie około dziesięciu rodzajów koni, podczas gdy skamieliny wskazują na to, że w samej tylko Ameryce Północnej istniało ich mniej więcej trzydzieści gatunków. Jeden z nich miał wielkość zaledwie psa nowofunlandzkiego.

W owych prehistorycznych czasach
pały się słońce nad brzegami
północnoamerykańskich jezior i

świetnie tarzały się w błocie, jedne wielkości kota, inne hipopotama. Na pozbawionych obecnie drzew równinach Wyomingu palmy dawały cień dzięki liściom czterometrowej długości. Stworzenia wielkości słonia zamieszkiwały pod tymi palmami. Jeden rodzaj miał rogi z obu stron nosa, inny z boku oczy, a trzeci posiadał jedyny róg powyżej nosa.

Jeśli Indianin natknie się kiedykolwiek na prehistoryczne szczątki, odwróci się od nich w ciszy i z głębokim poszanowaniem. Nie mogąc pojąć ich pochodzenia i uważając je za tajemniczą „wielką medycynę”, uznał, że są one dla niego święte, i tylko niektóre usiłuje wyjaśnić sobie ich istnienie jakąś legendą.

Dolina zatem, na której skraju zatrzymali się obecni jeźdźcy, była ongiś również jeziorem. Siuksowie_Oglalajowie zostawili znak, który wskazywał Wohkadehowi drogę na przełaj, ale Old Shatterhand, który jechał teraz na czele, postanowił nie kierować się tą wskazówką, lecz zawrócił swego konia w lewo, aby obrać drogę wzdłuż górskich krawędzi.

- Tutaj mamy znak! - pokazywał

Davy wskazując na drzewo, w którego pniu tkwiła obca gałązka. - Jest tutaj znak Oglalajów. Dlaczego nie chce pan się nim kierować?

- Gdyż znam lepszą drogę - odparł zapytany. - Od tego miejsca znam tę okolice dokładnie. Góra ta to Keah_pah, Żółwi Pagór. Jest to Indiańska Góra Arrat. Ludzie należący do czerwonej rasy także zachowali w pamięci wielką powódź, czyli potop. Indianie z plemienia Crow opowiadają, iż wszyscy ludzie utonęli, poza jedną jedyną parą. Wielki Duch uratował ich zsyłając im olbrzymiego żółwia. Oboje oni,

wraz z całym swoim dobytkiem pomieścili się na grzbiecie zwierzęcia i mieszkali tam dopóty, dopóki wody nie zaczęły ustępować. Góra, którą tutaj widzimy, jest wyższa od innych wokół, dlatego najpierw ukazała się ona z wody jako wyspa. Dusza zwierzęcia wróciła do Wielkiego Ducha. Powłoka została jednak tam na górze kamieniejąc jako pamiątka po pierwszych przodkach obecnych czerwonoskórych. Opowiadał mi o tym Szunktanka, Wielki Pies, z

plemienia Crow, z którym ubiegłego lata biwakowałem u podnóża Żółwiej Góry.

- A więc, nie chce pan podążać drogą, którą jechali Siuksowie_Oglala?

- Nie. Znam bowiem dłuższą, która w znacznie krótszym czasie pozwoli nam osiągnąć cel. Do obszarów Yellowstone nie ma wielu dojść. Zdaje się, że Oglalajowie wcale nie znają najkrótszej drogi. Kierunek, w którym się udali, każe przypuszczać, że zmierzają oni do rancza Botelera, stamtąd pojadą wzdłuż Yellowstone, aby dotrzeć do rzeki zwanej Firehole. Grób, przy którym ma paść ofiarą mister Baumann wraz z towarzyszami, wcale nie znajduje się nad Yellowstone River, lecz nad Firehole. Aby tam dotrzeć, Siuksowie_Oglalajowie robią duży łuk, zaś okolica, przez którą przejeżdżają, nastęcza im tak wiele i tak dużych trudności, że w ciągu dnia nie posuną się zbyt daleko. Droga, którą ja zamierzam wybrać, niemal w prościutkiej linii zaprowadzi nas ku potokowi Pelikana, a kiedy go przejdziemy, poprowadzi między nimi a Wzgórzami Siarkowymi do miejsca, gdzie rzeka Yellowstone wypływa z jeziora o tej samej nazwie.

Stamtąd udamy się nad potok

Bridge, w pobliżu którego

napotkamy chyba ślady Siuksów, i pojedziemy ku górnemu Basenowi Gejzerów położonemu w pobliżu rzeki zwanej Firehole. Droga ta jest wprawdzie uciążliwa, lecz nie tak jak trasa okrężna, którą wybrali nasi wrogowie, i istnieje możliwość, że znajdziemy się u celu wcześniej niż oni.

Z dawna wyschnięta rzeczka wpadała przed laty od zachodu do starego zlewiska jeziora i wrzynała się przy tym głęboko w jego brzeg. Koryto owej rzeczki było bardzo wąskie, zaś ujście jej na tyle zakryte gęstą roślinnością, że można je było wypatrzeć jedynie bardzo bystrym wzrokiem. Tutaj właśnie Old Shatterhand skierował swego konia. Kiedy zaś pokonali barierę chaszczy, roślinność nie stwarzała już trudności. Można było bez większych przeszkód posuwać się konno przeciw niegdyśsiemu biegowi rzeczki do momentu, kiedy wąski parów znajdował ujście w tak zwanym Ondulating_Country. Na krajobraz składały się w tym miejscu małe prerie, oddzielone od siebie lesistymi pagórkami, a ponieważ pagóry te ciągnęły się najczęściej na zachód, położenie ich odpowiadało wędrującej tędy gromadzie.

Przed wieczorem dotarli do wody, która zdawała się należeć do rozlewiska Big Horn River.

Tutaj też znalazło się wyborne miejsce dla rozbicia obozu, więc

postanowili zatrzymać się już
teraz, mimo że ciemności jeszcze
nie zapadły. Strumyk poszerzał
się w pewnym miejscu tworząc
mały, płytki staw, na którego
brzegach rosła obficie trawa. W
klarownej, aż do samego dna
przezroczystej wodzie tkwiły
nieruchomo liczne pstrągi,
zapowiedź smakowitego nocnego
posiłku. Po jednej stronie brzeg
wznosił się stromo, na drugiej
był płaski, porośnięty gęsto

drzewami. Niezliczone konary leżące na ziemi pozwalały przypuszczać, że ostatniej zimy runęło to wszystko pod ciężarem śniegu. Zwaliska konarów tworzyły rodzaj zasieków wokół tego miejsca, co zwiększało poczucie bezpieczeństwa, a ponieważ drewno to było zupełnie suche, nie trzeba się było troszczyć o materiał na ognisko.

- Czeka nas łapanie pstrągów!

- wołał Gruby Jemmy, zeskakując uradowany ze swojej szkapę. - Urządzimy sobie prawdziwą weselną ucztę!

- Tylko powoli! - ostrzegał

Old Shatterhand. - Musimy zadbać przede wszystkim o to, aby nam ryby nie uciekły. Przynieście drewno! Wbijemy dwie kraty.

Po zabezpieczeniu koni zaostrzyli cienkie gałązki i poutykali je najpierw jedna przy drugiej w miękkim gruncie strumyka w miejscu, gdzie wypływał on ze stawu, tak że ryby nie mogły się prześlizgnąć między nimi. Następnie postawili podobną kratę również w górnej części stawu, lecz nie tam gdzie strumyk do niego wpływał, a jeszcze wyżej, tak że była ona oddalona mniej więcej o dwadzieścia kroków od górnej części stawu. Ucieczka ryb została także tutaj uniemożliwiona.

Gruby Jemmy zaczął ściągać z nóg wielkie buty z wywiniętymi cholewami. Zdążył już zdjąć pas i położyć na brzegu obok strzelby.

- Słuchaj no, Gruby - odezwał się do niego Długi Davy - widzę, że wybierasz się do wody!

- Oczywiście! Nie ma nad to większej przyjemności.

- Zostaw to raczej ludziom wyższym od ciebie. Taki, co to wystaje za ledwie wyżej stołka, może łatwo znaleźć się nieco poniżej tafli wody.

- Nie szkodzi. Potrafię przecież pływać. A zresztą staw

ten wcale nie jest głęboki. - Jemmy podszedł bliżej, aby przekonać się dokładnie o poziomie wody. - Najwyżej metr - stwierdził.

- To złudzenie. Patrząc na dno odnosisz wrażenie, że jest ono wyżej niż w rzeczywistości.

- Pah! Podejź tutaj i spojrzysz! Widać na dole każdy kamyczek... Do pioruna, brr, o rany!...

Przechyliwszy się zbyt do przodu stracił równowagę i wpadł głową w dół do stawu w miejscu, w którym był on najgłębszy. Mały, gruby myśliwy poszedł na dno, ale zaraz znów się pojawił. Był on wybornym pływakiem. Niestety miał na sobie jeszcze kozuch, który oczywiście razem z nim znalazł się pod wodą. Natomiast kapelusz z szerokim rondem pływał po tafli wody niby liść wiktorii.

- Heigh_day! - śmiał się długi

Davy. - Przypatrzcie się, dżentelmeni, temu pstrągowi, którego warto złowić! Niemało porcji byłoby z takiej grubej ryby.

Mały Saksończyk stał w pobliżu. W rozmowach chętnie przekomarzał się z Jemmy, ale przecież jako rodaka darzył go szacunkiem.

- O Boże! - zawołał przybiegłszy przerażony. - Co pan dobrego uczynił, panie Pfefferkorn? Dlaczego wskoczył pan do tego stawu? Z pewnością pan przemókł?

- I to do suchej nitki - odparł pływak Jemmy sapiąc i śmiejąc się.

- Do suchej nitki! Może się pan pięknie przeziębic. Na dodatek jeszcze w kozuchu! Niech pan zaraz wychodzi! Kapelusz sam dostanę! Gałęzią. Złapał długą gałąź i usiłował nią złowić owo nakrycie głowy. Wędzisko okazało się nieco przykrótkie, dlatego przechylił się jak najdalej.

- Niech pan uważa! - przestrzegał go Jemmy gramoląc się z wody. - Mogę go przecież sam sięgnąć. Już i tak jestem mokry.

- Niech pan nic nie gada! - odparł Frank. - Jeśli myśli pan, że jestem tak samo niezręczny, jak pan, to może pan pożałować. Nie ma obawy, że wpadnę, a jeśli ten przeklęty kapelusz odpłynie jeszcze dalej, to wyteżę się jeszcze trochę i... ojej! Naprawdę znajdę się w tym bajorze! Czegoś podobnego się nie spodziewałem!

Wpadł do wody. Wyglądało to tak komicznie, że wszyscy biali się śmiali. Indianie zachowywali powagę, chociaż wewnątrz śmieszyło ich to zabawne zdarzenie.

- Kto jest teraz tak samo niezręczny jak ja? - zapytał Jemmy płacząc ze śmiechu.

Frank pluskał w wodzie z wykrzywioną ze złością twarzą.

- Co w tym śmiesznego?! - wołał. - Pływam tutaj jako ofiara mojej uprzejmości i samarytańskiej miłości bliźniego, zaś w podzięcie za moje miłosierdzie wyśmiewa się mnie. Zapamiętam to sobie. Rozumie pan?

- Ja przecież się nie śmieję, tylko płaczę! Nie widzi pan tego?

- Zamilcz pan! Nie pozwolę z siebie kpić! Wszystko by jeszcze uszło, ale nie mogę sobie darować, że miałem na sobie w tym momencie frak. I oto pływa tam mój kapelusz, po bratersku obok pańskiego. Kastor i Pylaks, jak w mitologii czy w astronomii. Jest to wręcz...

- Mówi się Kastor i Polluks! - przerwał mu Jemmy.

- Niech pan milczy! Polluks!

Jako leśniczz miałem tyle do czynienia z psami myśliwskimi, że dokładnie wiem, czy mówi się Polluks czy Pylaks. Wypraszam sobie takie poprawki! Pomimo to wyłowię tę szlachetną parę.

Właściwie to pański powinien zostać w stawie. Nie zasłużył pan sobie na to, abym z powodu pańskiego kapelusza zmoczył się jeszcze bardziej.

Posunął się w kierunku obu kapeluszy i wy dostał je.

- No tak - powiedział. -

Zostały uratowane. Wykręcimy teraz z wody pański kozuch, a potem mój frak. Będą obydwaj płakać gorzkimi łzami, które już z nich kapia.

Obaj pechowcy mieli teraz tyle zajęcia ze swoimi przemoczonymi ubiorami, że ku swojemu zmartwieniu nie mogli uczestniczyć w łapaniu ryb, które się właśnie zaczynało. Działo się to bardzo sprawnie. Kilku Szoszonów weszło w jednym krańcu stawu do wody, tworząc poprzeczny, ściśle zamknięty szereg, i posuwając się z wolna, płoszyli ryby płynące ku górnemu brzegowi strumyka. Inni czerwonoskórzy zajęli stanowiska na leżąc po obu brzegach tak, że rękami mogli sięgać w wodę. Pstrągom zapędzonym w ową cieśninę nie udawało się prześliznąć przez górną część kraty, drogę powrotną miały również zagrodzoną. Indianie wybierali teraz stłoczone ryby i rzucali je ponad swoimi głowami na twardy grunt. Po kilku minutach bogaty połów został zakończony.

Wykopali teraz płytkie doły wykładając je kamieniami. Wypatroszone ryby układali na kamieniach przykrywając je drugą warstwą kamieni, na której rozpalili ogień.

Gdy po pewnym czasie odgarnęli popiół okazało się, że pomiędzy gorącymi kamieniami pstrągi uprzyły się we własnym sosie tak doskonale, iż przy dotknięciu mięso oddzielało się samo od kości.

Po posiłku spędzili konie w jedno miejsce i rozstawili warty.

Rozpalili kilka ognisk, wokół

których siadali gdzie każdemu

było wygodnie. Oczywiście, że biali zasiadali przy jednym ognisku. Old Shatterhand, Gruby Jemmy i mały Frank byli Niemcami. Długi Davy obcując z Jemmy rozumiał, co się po niemiecku mówi, sam jednak nie władał tym językiem, a ponieważ ojciec Martina Baumanna również pochodził z Niemiec, chłopak na tyle znał niemiecką mowę, że mógł się nią przy obozowym ognisku posługiwać. Także Bob rozumiał trochę, ponieważ Murzyni w ogóle mają dobrą pamięć językową. Taka gawęda przy ognisku w puszczy albo na prerii ma swoisty urok. Siedzący opowiadają o własnych przeżyciach albo mówią o czynach sławnych myśliwych. Nie do wiary, jak szybko na Dzikim Zachodzie mimo ogromnych odległości roznosi się od ogniska do ogniska wieść o odważnym czynie, sławnym człowieku albo o ważnym wydarzeniu. Jeśli tylko Czarne Stopy żyjące w górze nad rzeką Saskatchewan wykopią wojenny topór, to już po czternastu dniach mówią o tym Komancze nad Rio Concho, a gdy wśród Wallelawallów na terytorium Waszyngtonu pojawi się jakiś wielki czarownik, to wkrótce będą o nim opowiadali Dakoci z płaskowyżu Missouri.

Jak można było tego oczekiwać, mowa zeszła na dzisiejszy bohaterski czyn Martina Baumanna. Wyrażano mu uznanie, a Hobbler Frank powiedział:

- To prawda. Martin sprawił się na medal. Ale nie jest on jedyny, który może się szcycić taką przygodą. Mój niedźwiedź, na którego się niegdyś nadziałem, także nie był z papieru.

- Co słyszę? - zdziwił się

Jemmy. - Czyżby pan również miał do czynienia z niedźwiedziem?

- Oczywiście! Ja z nim, a on

ze mną.

- Niechże pan nam to opowie!

- Dlaczego nie? - Frank chrząknął obiecująco i zaczął: - Zdarzyło się to wtedy, kiedy w Stanach Zjednoczonych przebywałem od niedawna, co oznacza, że byłem jeszcze niedoświadczonym w tutejszych stosunkach. Nie chcę przez to oczywiście powiedzieć, że brakowało mi wykształcenia. Wręcz przeciwnie, już wtedy posiadałem spore walory ciała i ducha, ale mimo to wszystkiego się trzeba nauczyć, czego zaś człowiek nie widział albo nie dotknął, tego nie może też umieć. Na przykład bankier, nawet gdyby był bardzo zręczny, i tak nie potrafiłby z mety grać na oboju, albo uczony profesor astronomii eksperymentalnej nie mógłby bez niezbędnych wskazówek w zakresie obsługi zostać od razu manewrowym. Mówię to, aby się usprawiedliwić, a także bronić. ...Historia ta miała miejsce w Colorado w pobliżu Arkansas. Podejmowałem się różnych zajęć w wielu miastach i zebrałem pewną sumkę pieniędzy. Chciałem się na Zachodzie zająć działalnością handlową i dlatego z ładnym zapasem towaru rozpocząłem moją podróż jako domokrażca. Interesy moje rozwijały się tak dobrze, że kiedy przybyłem w okolice Fortu Lyon w pobliżu Arkansas, wszystko już sprzedałem. Nawet mój wózek poszedł z zyskiem. Siedziałem zatem na koniu ze strzelbą w ręce, z torbą pełną pieniędzy i postanowiłem dla przyjemności udać się raz dalej w głąb kraju. Już wtedy miałem wielką ochotę, aby zostać słynnym westmanem.

- I został nim pan! - zauważył Jemmy.

- No, jeszcze niezupełnie, myślę, że jeśli teraz uderzymy na Siuksów, to z pewnością nie pozostanę na tyłach jak Hannibal

pod Waterloo i wydaje się możliwe, że otrzymam jakiś słynny przydomek. Idźmy dalej! Colorado od niedawna dopiero było znane. Odkryto bogate złoża złota i w ogromnych ilościach przybywali teraz ze wschodu poszukiwacze i kopacze. Prawdziwych osadników było niewielu, dlatego zdziwiłem się w pewnej mierze, kiedy podczas jazdy spostrzegłem nagle przed sobą normalną farmę. Składał się na nią niewielki blokhauz, pola i stosunkowo duże pastwiska. Zagroda ta wznosiła się nad brzegiem Purgatorio, w pobliżu rosły ogromne lasy klonowe, w drzewach tkwiły rurki, z których kapał sok w podstawione naczynia. Było to wiosną, a więc w najdogodniejszym okresie do przygotowania cukru klonowego. W pobliżu blokhauzu spostrzegłem duże, szerokie, bardzo płytkie dzieże, wypełnione sokiem, który miał w nich parować. Wspominam o tym, gdyż jedna z kadzi odegrała w mojej przygodzie szczególną rolę.

- Zagroda nie należała chyba do jankesa - domyślał się głośno Old Shatterhand. - Jankes powędrowałby z pewnością ku złotodajnym terenom, zamiast osiąść jako spokojny osadnik.

- Zgadza się! Człowiek ten był przybyszem z Norwegii i przyjął mnie bardzo gościnnie. Mieszkał tam z żoną, dwoma synami i córką, mnie zaś zaproponowano, abym pozostał u nich tak długo, jak tylko zechcę. Uczyniłem to z chęcią i pomagałem w gospodarstwie. Dzięki uprzejmości i wrodzonej rozwadze pozyskałem zaufanie tych ludzi do tego stopnia, że zostawili mnie oni na farmie nawet zupełnie samego. U jednego z sąsiadów urządzano przyjęcie na zakończenie budowy domu i cała rodzina chciała wziąć w tym udział. Ja miałem pozostać jako stróż domostwa i dbać o

bezpieczeństwo farmy. A więc, wszyscy pojechali, ja zaś zostałem sam. Sąsiadem nazywano tam każdego, do kogo w ciągu pół dnia można było dojechać konno. W takiej właśnie odległości od nas znajdowała się rzeczona farma, zatem powrót moich gospodarzy mógł nastąpić nie wcześniej jak po dwóch dniach.

- Obdarzono pana dużym zaufaniem - skonstatował Jemmy.

- Dlaczego? Czy uważa pan, że mogłoby mi przyjść na myśl uciec z całą farmą? Czy może wyglądam na złodziejaska?

- Nic podobnego. Myślałem o czym innym. Okolicę wtedy, jeszcze bardziej niż dzisiaj, nawiedzała przeróżna hołota. Co mógłby pan w pojedynkę począć przeciwko całej hałastrze? Takim ludziom nie zależy na jednej kuli.

- Mnie również nie! Wypada jeszcze wspomnieć, że obok domu rosło duże drzewo hikory. Było ono po same gałęzie odarte z kory. Norweg użył jej, jak mi o tym mówił, do robienia żółtej farby. Pień drzewa był zatem zupełnie gładki i tylko przy niezwyklej zręczności można było się na niego wdrapać.

- Nikt też chyba tego nie wymagał - stwierdził Davy.

- O nie, nikt tego nie wymagał, ale mogą przydarzyć się nieprzewidziane okoliczności, które najszlachetniejszego nawet człowieka zapędzą na takie drzewo. Owo prawo natury zadziałałoby u pana z pewnością w ciągu kilku minut. A zatem do meritum sprawy: znajdowałem się zupełnie sam na farmie i rozmyślałem, czym by tu się zająć, aby osłodzić sobie długie godziny samotności! Gliniana sień w blokhauzie nosiła ślady uszkodzeń w miejscach, gdzie glina na ścianie powinna się wiązać z belkami, a poopadała.

Trzeba to było naprawić i

dlatego już za ścianą domu

Norweg przygotował dół z gliną. Miał on około cztery łokcie długości i trzy szerokości i napełniony był po same brzegi. Uradowany swoim pomysłem, chciałem właśnie skręcić za narożnik domu i oto stanąłem... Zgadnijcie, przed czym czy też przed kim!

- Chyba przed niedźwiedziem? - domyślał się Jemmy.

- Owszem, przed niedźwiedziem, który przypuszczalnie opuścił swoją pieczarę w górach Raton, aby przyjrzeć się okolicy i ludziom. Zupełnie mi się to nie podobało. Drań zrobił tak podejrzaną minę, że jednym susem, którego bym chyba już nigdy nie powtórzył, uskokczyłem w bok. Ale on ruszył na mnie z taką samą prędkością. Przysporzyło to moim kończydom nieoczekiwanej zręczności, a ucieczka zdawała mi się szczytem rozkoszy. Niby indyjski tygrys rzuciłem się w kierunku hikory, objąłem ją i z szybkością rakiety sunąłem po pniu w górę. Nie do wiary, do czego człowiek jest zdolny w takiej niesympatycznej sytuacji.

- W każdym razie był pan dobrym alpinistą? - stwierdził Jemmy.

- Co to, to nie, wcale nie.

Ale z niedźwiedziem na karku nikt nie pyta, czy wspinaczka ta wyjdzie mu na zdrowie, lecz wspina się, i to z ogromnym zapałem. Nieszczęściem moim było to, o czym już wspominałem, że pień był zbyt gładki. Nie dotarłem nawet do gałęzi, a zdaje się, że miałem także trudności z trzymaniem się pnia.

- Och jej! Mogło się to źle skończyć. Przecież był pan bez broni. A co począł niedźwiedź?

- Coś, co mógłby sobie z czystym sumieniem podarować, zaczął się mianowicie wspinać za mną.

- Może to na szczęście nie był grizzly?

- To mnie nie obchodziło, gdyż wówczas niedźwiedź był dla mnie po prostu niedźwiedziem. Objąłem drzewo kurczowo rękami i nogami i spojrzałem w dół. Rzeczywiście, drań stanął przy pniu na dwóch łapach, objął go i powoli, spokojnie wspinał się za mną. Zdaje się, że sprawiało mu to ogromną przyjemność, gdyż mrucał zadowolony z siebie, mniej więcej jak kot, tylko głośniej. We mnie zaś mrucała nie tylko głowa, lecz cały organizm z wysiłku, aby się tylko utrzymać. Niedźwiedź był coraz bliżej, nie mogłem dłużej

pozostawać w tym samym miejscu i musiałem wspiąć się jeszcze wyżej. Gdy uwolniłem jedną rękę, aby podciągnąć się wyżej, nie mogłem już się trzymać. Wprawdzie złapałem się jeszcze szybko pnia, lecz siła przyciągania matki_ziemi nie rezygnowała ze swojej ofiary. Mogłem sobie jeszcze tylko pozwolić na krótkie wywołane strachem westchnienie, lecz zaraz potem sunąłem po pniu na dół z siłą dwudziestocetnarowego młota i z takim impetem zjechałem na niedźwiedzia, że ten również spadł, ja zaś oczywiście na niego... Mały człowiek opowiadał o tym tak żywo i przekonująco, że wszyscy wokół zamienili się w słuch, sposób, w jaki opowiedział o swoim upadku, wywołał salwę śmiechu.

- Śmiecie się - mrucał

Frank. - Mnie tam wcale nie było do śmiechu. Odnosiłem wrażenie, że mam poprzetrącanie wszystkie części ciała. Byłem tak otepiały i ogłupiony, że przez kilka sekund wcale nie myślałem o tym, aby wstać.

- A niedźwiedź? - pytał Jemmy.

- Z początku zachowywał się pode mną tak samo cicho jak ja, siedząc na nim. Zaraz jednak poderwał się, i to mnie otrzeźwiło i nakazało działać.

Skoczyłem na równe nogi i zacząłem zmykać, on zaś ruszył za mną, ze strachu czy też z gorącego pragnienia, aby kontynuować zawartą ze mną już raz znajomość, tego nie wiem. Właściwie zmierzałem ku drzwiom i do domu. Ale na to miałem za mało czasu, a niedźwiedź był zbyt blisko. Strach spowodował, że działałem z szybkością jaskółki. Zdawało mi się, że nogi moje osiągnęły podwójną, a nawet poczwórną długość. Z szybkością kuli biegnąc skręciłem za narożnikiem i wpadłem do dołu z gliną po same ramiona. Zapomniałem o wszystkim, o niebie i ziemi, Europie i Ameryce, o wszystkich moich umiejętnościach i o całej tej glinie. Tkwiłem w niej jak karaluch w cieście... I nagle ktoś uczynił obok mnie potężne „slap”, jak to określa Amerykanin. Wkrótce potem otrzymałem cios jak od zderzaka, a glina znalazła się na mojej głowie. Twarz miałem całą zalepioną, pozostało otwarte tylko prawe oko. Odwróciłem się i zezowałem na niedźwiedzia, który z powodu swego lekkomyślnego usposobienia zapomniał zbadać grunt i skoczył po prostu do dołu za mną. Wystawała mu jedynie głowa, ale ona wyglądała również strasznie.

W przeciągu trzech sekund przyglądaliśmy się sobie z ciekawością. Potem on odwrócił

się w lewo, a ja w prawo, każdy
z chwalebnym zamiarem
przeniesienia się w bardziej
przyjemne otoczenie. Oczywiście
on wygramolił się prędzej ode
mnie. Obawiałem się, że
wydostawszy się z dołu zatrzyma
się przy nim, aby mnie pilnować,
ale ledwie tylko znalazł się na
stałym gruncie, z miejsca
popędził w kierunku, z którego
wpadliśmy i skręcił za dom, nie
zaszczycając mnie nawet jednym
jedynym spojrzeniem. Farewell,

big muddy beast!

Hobble Frank wstał w zapale opowiadania i snuł swoją opowieść z mimiką
charakteryzującą sytuację, co wywołało u słuchaczy śmiech, jakiego ta samotna
okolica chyba nigdy nie słyszała. Jeśli nawet ktoś przestawał się śmiać, to po chwili
znów ogarniał go śmiech. Takie to było zabawne.

- Była to istotnie wesoła przygoda - stwierdził wreszcie Old Shatterhand. -
Zaś najlepsze w niej jest to, że wyszedł pan bez szwanku, niedźwiedź chyba
także!

- Niedźwiedź? - powtórzył pytająco Frank. - Ho, ho! Wcale jeszcze nie
skończyłem. Gdy mój niedźwiedź zniknął za narożnikiem domu, usłyszałem
hałas, jakby ktoś przewrócił jakiś mebel. Nie przywiązywałem do tego większej
uwagi, gdyż usiłowałem wydostać się z dołu. Kosztowało mnie to sporo
wysiłku, gdyż glina była bardzo llepka i wyzwoliłem się z niej tylko dlatego, że
pozostawiłem w niej moje buty. Musiałem teraz przede wszystkim oczyścić
twarz. Poszedłem zatem za dom, gdzie przepływał strumyczek, któremu
życzliwie powierzyłem wszystko to, co przyczepiło się niepotrzebnie do mego
zewnątrznego człowieczeństwa. Następnie wróciłem od frontu, aby po tropie
zobaczyć, w jakim to kierunku niedźwiedź się oddalił, ale ten drań wcale o tym
nie myślał. Siedział bowiem pod drzewem sikory i... skwapliwie oblizywał
swoje futro.

- Z gliny? Pah! - powiedział

Jemmy kiwając powątpiewająco głową. - O ile znane mi są nawyki tych zwierząt, to
powinien on bezzwłocznie wejść do wody.

- Wcale mu to nie przyszło do głowy, gdyż był on mądrzejszy od pana, panie Jemmy. Wiadomo, że niedźwiedź lubi słodczy, ja zaś

wspomniałem o drewnianych dzieżach, w których miał parować słodki sok klonowy. Niedźwiedź był tak skonfundowany swoją przygodą, że pragnął jak najszybciej czmychnąć. Jedna z dzieży stała mu w drodze i w pośpiechu chciał przez nią przeskoczyć. Wpadł jednak do niej strącając ją z podkładów, na których ją położono. Ponieważ sok ów zdążył już zgęstnieć, wydzielał on silną słodką woń, którą poczuwszy lekkomyślne zwierzę zapomniało o upadku z drzewa, o wpadnięciu do dołu jak również o mnie. Zamiast wziąć sobie do serca moje „farewell”, i zawartą w nim przestrożę, niedźwiedź usiadł pod drzewem i z największym zadowoleniem zlizywał z gliny słodczy. Zagłębił się przy tym tak bardzo w owo przyjemne zajęcie, iż wcale nie spostrzegł, że prześliznąłem się wzdłuż ściany w kierunku drzwi i znalazłem się w domu. Byłem teraz bezpieczny i mogłem zdjąć strzelbę z gwoździa. Ponieważ niedźwiedź siedział na tylnych łapach mogłem do niego celować, jak długo chciałem, aby nie spudłować. Kula trafiła w miejsce, w którym zdaniem poetów tkwią uczucia, mianowicie prosto w serce. Niedźwiedź zwinął się w kłębek, usiłował jeszcze się podnieść, wykonał parę ruchów przednimi łapami i padł martwy na ziemię. Z powodu własnej lekkomyślności i żądzy uczucia przestał istnieć jako żywa istota.

- Hm! - bąknął Old

Shatterhand. - Jakiego koloru był ten pański niedźwiedź?

- Miał czarną sierść.

- A pysk?

- Żółty.

- Ach, był to zatem tylko baribal, którego nie musiał pan się wcale bać.

- Ho, ho! Sprawiał jednak wrażenie, że ma ochotę na

ludzkie mięso!

- Niech pan w to nie wierzy.

Baribal zjada o wiele chętniej owoce niż mięso. Podejmę się walczyć z tym dobrodusznikiem gołymi rękami. Wystarczy mu zadać kilka ciosów pięścią, a z pewnością czmychnie.

- Pana na to stać! Już sam pański przydomek świadczy o tym, że potrafi pan unieszkodliwić pięścią człowieka, ale ja jestem o wiele delikatniejszy i... spójrzcie! Co tam biegnie?

Jak już wspomniano, Frank w trakcie opowiadania wstał ze swego miejsca. Nadepnął przy tym na zwalisko kamieni, które leżały tuż za nim, i w taki sposób spłoszył zwierzątko, które ukryło się pomiędzy nimi. Przemknęło ono błyskawicznie i wskoczyło do otworu spróchniałego pniaka. Ruchy zwierzęcia były tak zwinne, iż nikt nie rozpoznał, co to było.

Jedynie Murzyn Bob, widząc je, skoczył jak rażony prądem.

Podbiegł do pniaka wołając:

- Zwierzę, zwierzę pobiec tutaj i schować się w dziurze! Masser Bob wyjąć zwierzę z drzewa.

- Bądź ostrożny! - ostrzegał

Old Shatterhand. - Przecież wcale nie wiesz, co to było za zwierzę!

- Ono być tylko takie duże! -

Bob określił palcami długość zwierzęcia.

- W pewnych okolicznościach małe stworzenie może być bardziej groźne od dużego.

- Opos wcale nie był groźny.

- Widziałeś przynajmniej, że to był opos?

- Tak, tak. Masser Bob widzieć oposa całkiem wyraźnie, on być tłusty, bardzo tłusty i pieczeń z niego być bardzo smakowita, ojej, dużo smakowita! Mlaskał językiem i oblizywał wargi, jakby miał ją już przed sobą.

- Myślę, że jednak się mylisz.

Opos nie jest tak zwawy jak to

zwierzątko.

- Opos także szybko biegać, całkiem szybko. Dlaczego massa Shatterhand zazdrościć masser Bobowi dobrą pieczeń?

- Jeśli jesteś przekonany, że się nie pomyliłeś, to rób co chcesz! Nas jednak nie częstuj taką potrawą!

- Bardzo chętnie! Masser Bob nikomu nie dać mięsa z oposa. On zjeść tę pieczeń całkiem sam. Teraz uwaga! On wyciągnąć oposa z dziury! - I zakasał rękaw.

- Nie tak, nie tak! - ostrzegał Old Shatterhand. - Musisz chwycić zwierzę lewą ręką, a w prawej trzymać nóż. Gdy tylko złapiesz zdobycz, wyciągniesz ją i szybko na niej klęknie. Wtedy zwierzę nie będzie się ruszać ani bronić, a ty sprawnie mu poderżniesz gardło.

- Pięknie. To być bardzo pięknie! Masser Bob tak zrobić, bo masser Bob być wielki westman i sławny myśliwy.

Zakasał teraz lewy rękaw, ujął nóż w prawą dłoń, a lewą wsunął do otworu, najpierw ostrożnie i powoli, aż, nie czując nic wsunął ramię jeszcze dalej. Potem puścił nagle nóż, wrzasnął okropnie, wykrzywił twarz wywijając wolną ręką w powietrzu.

- Heigh_ho, heigh_ho - biadał.

- To boleć, bardzo boleć!

- Co boli? Masz tego zwierzaka?

- Czy masser Bob go mieć? O nie, to zwierzak mieć masser Boba.

- O rany! To on wpił się w twoją rękę?

- Bardzo, całkiem się wpić!

- A więc wyciągaj rękę, wyciągaj!

- Nie, bo to okrutnie boleć!

- Ale w środku też nie możesz ręki zostawić. Kiedy takie zwierzę raz wpije się zębami, to już nie puści. A więc ciągnij!

Kiedy je zaś wyjmiesz, złapiesz

je szybko drugą ręką i

przytrzymasz, a ja je dobiję.

Old Shatterhand wyjął z pasa swój długi nóż i podszedł do oba. Murzyn wyciągnął rękę, oczywiście bardzo powoli, szczerząc zęby i lamentując z bólu. Zwierzę faktycznie nie puszczało ręki i Bob ciągnął je aż do otworu dziury. Wreszcie znalazło się na zewnątrz wisząc zębami u jego lewej ręki. Złapał je zręcznie z tyłu prawą ręką oczekując, że Old Shatterhand zrobi teraz użytek ze swego noża. Zamiast tego westman uskoczył zręcznie do tyłu wołając:

- Skunks! Skunks! Zmykajmy!

Nazwą tą określa się amerykańskiego śmierdziała. Należy on do ssaków z rodziny łasicowatych, długości około czterdziestu centymetrów. Posiada niemal tak samo długi, dwurzędowy, owłosiony ogon i baryłowaty nos na spiczastym łebku. Czarne futro z dwoma śnieżnobiałymi pasmami, rozchodzącymi się po bokach i schodzącymi się z tyłu na grzbiecie. Żywi się jajkami, drobną zwierzyną, groźny jest również dla zajęcy, poluje jedynie w nocy, a resztę czasu spędza w jamach i spróchniałych drzewach.

Łacińskie określenie mephitis przylega do niego jak ulał. Posiada on mianowicie pod ogonem gruczoł, z którego, gdy tylko zostanie zaatakowany, broniąc się tryska cuchnącą, ostrą, oleistą cieczą. Woń owej żółtej cieczy jest naprawdę okropna i miesiącami utrzymuje się w odzieży, która została nią spryskana. Ponieważ skunks usiłuje śmierdzącą cieczą trafić wroga ze znacznej odległości, każdy kto zwierzę owo zna, trzyma się możliwie daleko od niego, gdyż człowiek spryskany cieczą może zostać na całe tygodnie pozbawiony ludzkiego towarzystwa.

Zamiast oposa Bob złapał właśnie takiego śmierdziela. Pozostali mężczyźni szybko poderwali się z miejsc i uciekli od Boba.

- Wyrzuc go! Czym prędzej wyrzuc! - wołał Gruby Jemmy do Murzyna.

- Masser Bob nie móc go wyrzucić - lamentował Murzyn. - On wpić się w jego rękę i... oh, au... au, oh! Faugh, it.s a beastly shame, do diabła! teraz on masser Boba opryskać. Piekielnik, diabeł! Masser Bob cały śmierdzieć. Żaden człowiek tego nie wytrzymać. Masser Bob musi się udusić. Precz, precz z tym zwierzęciem. Okropne bydlę!

Chciał go strząsnąć z ręki, ale cały wysiłek nie zdał się na nic.

- Czekaj ty! Masser Bob zaraz się od ciebie uwolnić, ty dirty pig, ty foul rascal! - Zamierzył się prawą pięścią i uderzył nią z całej siły w łeb zwierzęcia. Cios ten wprawdzie ogłuszył skunksa, ale zęby jego wpiły się jeszcze głębiej w rękę Murzyna. Wyjąc z bólu Bob podniósł swój nóż z ziemi i przeciął skunksowi gardło.

- No! - zawołał. - Masser Bob wreszcie zwyciężyć. O, masser Bob nie bać się żadnego niedźwiedzia i żadnego smalling beast. Massa przyjsć wszyscy i zobaczyć, jak masser Bob zabić drapieżne zwierzę!

Ale nikt się nie zbliżał do niego, gdyż załatywał tak odrażającą wonią, że nawet stojąc w pewnej odległości wszyscy zatykali sobie nosy.

- Dlaczego nikt nie przychodzić? - pytał. - Dlaczego nikt nie święcić zwycięstwa z masser Bobem?

- Zwariowałeś chłopie? - oburzył się Gruby Jemmy. - Kto się do ciebie zbliży! Śmierdzisz przecież bardziej niż zaraza!

- Owszem, massa Bob cuchnąć bardzo brzydko. Masser Bob

zauważyć to już sam. O jej, jej, kto wytrzymać taki zapach! - zrobił przy tym okropną minę.

- Wyrzuć wreszcie to bydłę! - radził Old Shatterhand.

Bob usiłował zastosować się do tej wskazówki, ale mu się to nie udało.

- Te zęby być za głęboko w ręce masser Boba. Masser Bob nie móc otworzyć pyska tego bydłęcia! - Wykrzykując ochy i achy ciągnął i szarpał głowę skunksa, ale daremnie. - The devil! - krzyczał w złości. - Skunks nie może przecież wiecznie wisieć u ręki masser Boba! Czy nie być nikogo, kto chce pomóc biednemu masser Bobowi?

Wzruszyło to Hobble Franka. Jego współczujące serce kazało mu zaryzykować uwolnienie Murzyna od jego martwego wroga. Zbliżył się do niego bardzo powoli i powiedział:

- Słuchaj, Bob, chcę ci pomóc.

Cuchniesz mi wprawdzie bardzo brzydko, ale moje ludzkie uczucia ów wstręt przewyciężą, lecz pod jednym warunkiem, że mnie nie będziesz dotykał!

- Masser Bob się nie zbliżać do massa Frank - zapewniał Murzyn.

- To dobrze! Lecz nie możesz mnie dotykać również swoją odzieżą, gdyż inaczej będziemy śmierdzieć we dwójkę, a ten zaszczyt wolę raczej pozostawić tobie.

- Massa Frank tylko przyjść, a masser Bob bardzo na siebie uważać!

Ze strony małego Saksończyka było to faktycznym bohaterstwem, że zbliżył się obecnie do Murzyna. Gdyby nawet lekko dotknął spryskanego miejsca na odzieży Boba, przypadłby mu los wyklętego, jeśli by również nie poświęcił na stratę swojego ubioru.

Obrzydliwy smród niemal

zatykał Hobble Frankowi dech w

piersi podczas akcji ratowania Boba, lecz Frank wytrzymał to dzielnie.

- Teraz wyciągnij w moim kierunku rękę - przykazał Murzynowi. - Jednak zbyt blisko nie odważę się do ciebie podejść.

Bob posłuchał tego rozkazu, zaś Saksończyk chwycił jedną ręką górną, a drugą dolną szczękę zwierzęcia, aby uwolnić Murzyna. Udało mu się to tylko dzięki wyteżeniu wszystkich sił. Musiał po prostu rozerwać paszczę skunksa i szybko się wycofał. Zbierało mu się niemal na torsje, tak szkaradnie czuć było Murzyna.

Bob uradował się swoim uwolnieniem. Ręka wprawdzie jeszcze krwawiła, ale nie zważając na to, Bob zbliżał się zadowolony ku całej gromadzie. Wówczas

jednak Old Shatterhand podniósł swój karabin, wycelował w pierś Boba i krzyknął do niego:

- Stój! Albo cię zastrzelę!

- O nieba! Dlaczego chcesz zastrzelić biednego masser Boba?

- Bo przeniesiesz na nas swój smród, jeśli nas dotkniesz. Biegnij zaraz do wody, możliwie jak najdalej od nas, i zrzucaj z siebie całą odzież.

- Zrzucisz odzież!? Masser Bob ma stracić swój surdut z kalika, spodnie i kamizelkę?

- Całą odzież! Potem wrócisz i wejdiesz do wody aż po samą szyję. Raz, raz! Im dłużej będziesz zwlekać, tym dłużej będzie się trzymał ciebie smród.

- To całe nieszczęście! Moje piękne ubranie! Masser Bob go wyprać i nikt nic nie czuć!

- Nic podobnego, masser Bob musi słuchać, inaczej zginie. Liczę do trzech: raz... dwa... i... - myśliwy ruszył z karabinem wymierzonym w kierunku Murzyna.

- Nie, nie! - krzyczał Bob. -

Nie zabijać Boba! Masser Bob uciekać, szybko, bardzo szybko!

Bob zniknął w mroku nocy. Oczywiście, że Old Shatterhand nie traktował owej groźby serio, ale stanowiła ona najlepszy sposób, aby wymusić na Murzynie posłuszeństwo. Bob wrócił wkrótce i wlaź do stawu obmywając się w nim bez końca. Zamiast mydła dostał gęstą mieszaninę niedźwiedziego tłuszczu i popiołu drzewnego, którego przy ogniskach było pod dostatkiem.

- Jaka szkoda piękny tłuszcz niedźwiedzia! - narzekał. - Masser Bob móc nacierać nim swoje włosy i zrobić sobie dużo ładnych warkoczyków. Masser Bob być elegancki ringlet_man, a nie żaden zwyczajny Murzyn, co potrafi pleść warkoczyki, o takie długie!

- Myj się, myj - śmiał się

Jemmy. - Nie myśl teraz o swojej urodzie, tylko o naszych nosach!

Murzyna czuć było nadal, mimo że pozbył się swego ubrania i mimo że siedział w wodzie.

- Ale - pytał Bob - jak długo masser Bob musi tutaj siedzieć i myć się?

- Tak długo, jak tutaj pozostaniemy, a więc do jutra rana.

- Masser Bob nie móc tego nie wytrzymać!

- Będziesz zmuszony to wytrzymać. Inna sprawa, czy pstrągi, które pozostały jeszcze w stawie, z tobą wytrzymają. Nie wiem, czy ryby posiadają nerw węchowy, jeśli tak, to twoje odwiedziny nie bardzo je ucieszą.

- A kiedy masser bob będzie mógł przynieść swoje ubranie, aby je również wyprać?

- Nigdy! Ono zostanie tam, gdzie je położyłeś, bo nie nadaje się już do użytku.

- Lecz co ma na siebie włożyć biedny masser Bob?

- Jest to oczywiście przykra sprawa. Nie mamy zapasowego odzienia. Będziesz musiał chyba owinać się w futro grizzly,

którego pokonał dzisiaj Martin. Być może, że w Górach Skalistych odnajdziemy opuszczoną siedzibę dawnego krawca, w której znajdziesz dla siebie jakieś portki i wierzchnie okrycie. Do tego czasu będziesz stanowił tylną straż naszej wyprawy, gdyż przynajmniej w ciągu najbliższych dni nie możesz się do nas zbyt zbliżyć. A więc myj się pilnie! Bo im bardziej będziesz się szorował, tym wcześniej zginie ów zapach.

I Bob szorował się ze wszystkich sił. Tylko głowa wystawała mu z wody i pocieszenie było patrzeć na miny, jakie przy tym stroił.

9. Bezimienny

Reszta towarzystwa wróciła tymczasem znów do ogniska. Zrozumiało, że przedmiotem dalszych pogwarek była przede wszystkim przygoda Boba. Potem proszono Długiego Davy, aby opowiedział o swoich przygodach. Spełniając życzenie Davy opowiedział o jednym ze swoich spotkań z traperem Juggle Fredem, znanym jako mistrz w strzeleckim rzemiośle. Opowiedziawszy o jego kilku wyczynach, dodał od siebie:

- Istnieje jednak więcej takich strzelców. Znam dwóch takich, którym nikt nie dorównał: to Winnetou i Old Shatterhand. Czyż pan, sir, nie opowiedziałby nam, o jednej ze swoich przygód?

Ostatnie słowa zostały skierowane do Old Shatterhanda, który jednak ociągał się z odpowiedzią. Przeciwnie, wciągnął głęboko oddech, tak jak gdyby zmysłem węchu chciał odgadnąć coś czającego się w powietrzu.

- Zgadza się, ten facet w wodzie zalatuje jeszcze niewąsko - stwierdził Jemmy.

- To nie o niego chodzi -

odparł Old Shatterhand, spoglądając badawczo w bok na swego konia Hatatitle, który przestał skubać trawę i wietrząc wciągał nozdrzami powietrze.

- Więc wietrzy pan coś innego?

- spytał Davy.

- O nie! - potem Old

Shatterhand zwrócił się półgłosem do Winnetou.

- Gom juhn_ah_go! - co znaczyło: uważaj!

Ponieważ pozostali nie znali mowy Apaczów, nie wiedzieli, co miał na myśli. Winnetou skinął głową, sięgnął po swoją strzelbę i przyciągnął ją blisko do siebie.

Koń Old Shatterhanda sapiąc zwrócił łeb w kierunku ogniska. Oczy mu się iskrzyły.

- Dih_il_husz! - zawołał myśliwy do zwierzęcia, które nie ociągając się położyło się w trawie bez dalszych oznak niepokoju.

Ponieważ Old Shatterhand również przyciągnął ku sobie sztucer, Jemmy spytał:

- Co to się dzieje, sir? Zdaje się, że pański koń coś wietrzy?

- Jedynie woń Murzyna - uspokoił go zapytany.

- Lecz przecież obaj sięgacie po broń!

- Bo chcę opowiedzieć wam o strzale z biodra. Chyba słyszeliście już o czymś takim?

- Oczywiście!

Old Shatterhand nie dał po sobie poznać, iż podobnie jak Winnetou, badawczo się wpatruje w skraj lasu i poplątane zwaliska wiatrołomów po przeciwnej stronie strumyka i stawu. Wcisnął przy tym kapelusz tak głęboko na czoło, że zasłonił nim oczy i nie można było dokładnie dojrzeć, w jakim kierunku i na jaki przedmiot miał je skierowane.

- Chciałem mówić o strzale z biodra. Nazywa się go również strzałem z kolana. Mam na myśli strzał, przy którym normalnie

nie podnosi się karabinu na wysokość oka, a jedynie do biodra lub też opiera się go na udzie lub kolanie.

- Ale wtedy zupełnie nie można celować!

- Nabyć taką wprawę jest bardzo trudno, i jeśli nie ma dobrych westmanów, którzy chybiają strzelając do celu, to regularnie pudłują przy strzale z biodra lub kolana.

- Po co właściwie wymyślono strzał z biodra? Lepiej przecież strzelać w normalnej pozycji, w której jest się pewnym celności.

- O nie! Istnieją sytuacje, w których bez wspomnianej wprawy można się narazić na śmierć. Na strzał z biodra decydujemy się jedynie siedząc albo leżąc na ziemi, aby przeciwnik nie zorientował się, że w ogóle zamierzamy strzelić. Wyobraźcie sobie, że w pobliżu znajdują się wrodzy Indianie z zamiarem napaści na nas. Wysyłają wtedy swoich zwiadowców podkradających się po to, by sprawdzić, jacy jesteśmy silni, czy nasze obozowisko posiada korzystne dla nich położenie i czy zachowujemy niezbędną ostrożność. Owi zwiadowcy czołgając się na czworakach...

- Ale przecież muszą ich wykryć nasze posterunki - wtrącił Frank.

- Nie jest to takie pewne, jak myślicie. Ja, na przykład zakradłem się do namiotu, w którym przebywał Oihtka_petay, mimo że wystawił on posterunki i mimo że grunt był tam płaski i porośnięty trawą. Tutaj jednak znajdują się dokoła drzewa, które wyjątkowo ułatwiają penetrację terenu. I co dalej? Otóż zwiadowcy przeszli obok naszych posterunków. Zalegli na skraju lasu za albo i pomiędzy zwaliskiem gałęzi wiatrołomów i obserwują nas. Jeśli uda im się powrócić do swoich, wtedy będziemy zgubieni.

Niczego nie przypuszczając, zostaniemy zaatakowani i pokonani. Najlepszym sposobem przeciwdziałania jest unieszkodliwienie zwiadowców.

- A więc zastrzelenie ich?

- Owszem. Wprawdzie jestem za unikaniem rozlewu krwi, ale w tym wypadku litowanie się nad nieprzyjacielem byłoby samobójstwem. Należy mu się kulka.

- Gopi_aguan_neeszigo. Są niedaleko - szepnął wódz Apaczów.

- Szi_teszi_go_aguan. Widzę ich - odparł Old Shatterhand.

- Naki. Dwóch.

- Ha_ah, tak.

- Ni darteht, szi ohij pi_es_etach tajassi. Weź ty tego, a ja wezmę tamtego; w czoło! - Mówiąc to Apacz powiódł ręką z lewa na prawo.

- Co tam macie za tajemnice? - spytał Długi Davy.

- Nic nadzwyczajnego. Mówię wodzowi w języku Apaczów, żeby mi pomógł wyjaśnić wam, jak się ma sprawa strzału z kolana.

- To już wiem. Mnie się to oczywiście nigdy nie udało, mimo że bardzo pilnie trenowałem. Wracając jednak do pańskich poprzednich słów, stwierdzam, że aby zastrzelić zwiadowców, trzeba ich najpierw zobaczyć.

- Zapewne!

- W tej ciemnej gęstwinie po tamtej stronie?
- Tak!
- Oni jednak z pewnością nie podejną tak blisko, aby ich można było zobaczyć!
- Hm!

Old Shatterhand ponownie lustrował skraj lasu, kiwnął głową zadowolony i odparł:

- Widzieliście może kiedy, jak nocą błyszczą w morzu oczy rekina tinteraro?
- Nie, nigdy!
- Otóż te oczy widać zupełnie wyraźnie. Mają one fosforyzujący blask. Posiada go również każde inne oko. Także oko człowieka,

choć nie błyszczy ono z taką samą mocą. Im bardziej wzrok się w nocy wyteża, tym wyraźniej go można w mroku zauważyć. Gdyby na przykład po tamtej stronie w zaroślach znajdował się teraz zwiadowca, który nas obserwuje, zarówno ja jak i Winnetou zobaczylibyśmy jego wzrok.

- Niewiarygodne! - stwierdził

Davy. - A co ty na to powiesz, stary Jemmy?

- Myślę, że ja także nie jestem ślepy - odpowiedział zapytany.
- Na szczęście jesteśmy tutaj przed takimi odwiedzinami bezpieczni. Bądź co bądź sytuacja, w której bylibyśmy zdani na strzał z kolana jest delikatną sprawą. Prawda sir?

- Owszem - powiedział Old

Shatterhand. - Proszę spojrzeć, mister Frank! A więc założmy, że po tamtej stronie znajduje się zwiadowca, którego świecące oczy widzę pomiędzy liśćmi. Muszę go zabić, gdyż inaczej narażę moje własne życie. Gdybym jednak przyłożył karabin do policzka, on zobaczy, że zamierzam strzelić, i natychmiast się wycofa. Zresztą może on mieć strzelbę wycelowaną we mnie i odda strzał wcześniej, niż ja to zrobię. Uniknę tego, jeśli naturalne zachowanie, tak jak ja to teraz robię. Bierze się strzelbę, unosząc ją powoli i nieznacznie, tak jakbyśmy chcieli coś przejrzeć albo się tylko pobawić. Schylamy głowę, że niby spoglądamy w dół, mając oczy zasłonięte rondem kapelusza, mimo to bacznie śledząc cel w sposób, jak to w tej chwili robi i Winnetou, i ja.

To, co objaśnił słowami, Apacz uczynił również.

- Przyciskamy kolbę prawym ramieniem mocno do biodra, zaś lufą do kolana, lewą rękę przenosimy na prawo i kładziemy ją powyżej zamka karabinu, który w ten sposób zyskuje bardziej

stateczne położenie, kładziemy wskazujący palec prawej ręki na cyngiel i celujemy lufą tak, aby kula trafiła nieco powyżej oczu, a więc w czoło zwiadowcy, w sposób, który trzeba niestety mieć opanowany, i naciska... O tak!

I w tym samym momencie odezwał się karabin Apacza. Obaj szybko podnieśli się z ziemi. Winnetou zerwał się odrzucając karabin, i wyciągnąwszy zza pasa nóż rzucił się jak pantera poprzez strumyk w gęstwinę.

- Anemazokan koso! Kare!

Empanoke! Zgasić ogniska! Usiąść! Nie gadać! - wołał Old Shatterhand w narzeczu Szoszonów. Równocześnie kopnął obcasem w ognisko, przy którym siedział, wrzucił płonące główne do stawu i pośpieszył za Apaczem.

Szoszonowie, podobnie jak i biali, słysząc huk obu wystrzałów, poderwali się z miejsc. Nie tracąc opanowania czerwonoskórzy wojownicy momentalnie wykonali rozkaz Old Shatterhanda wrzucając resztki zgorzeliska do wody. W mig nastąpiły głębokie ciemności, a przecież od chwili, gdy padły strzały, minęło zaledwie kilka sekund.

Również rozkazu, aby zachować ciszę, przestrzegano, z jednym wyjątkiem, mianowicie ignorował go siedzący w wodzie Murzyn, któremu wokół głowy przelatywały duże główne, gasnące z sykiem w topieli.

- O Jezus, Jezus! - wołał. -

Kto tam strzelać? Dlaczego rzucać ogień na masser Boba? Masser Bob ma się spalić i utopić? Ma się ugotować jak pstrąg? Dlaczego być ciemno? Ojej, jej, masser Bob nikogo nie widzieć!

- Cicho bądź, głupcze! - ofuknął go Jemmy.

- Dlaczego masser Bob milczeć?

Dlaczego teraz nie...

- Cisza! Bo cię zastrzele! W pobliżu jest wróg!

Od tej chwili Bob już się nie odzywał. Siedział nieruchomo w wodzie, aby nie zdradzić się przed wrogiem z drogiej sobie obecności.

Dookoła panowało milczenie. Od czasu do czasu słychać było tąpnięcia kopyt albo parskanie konia. Wtrąceni nieoczekiwanie w stan niepewności, mężczyźni skupili się w ciasnej gromadce. Indianie nie mówili ani słowa. Natomiast biali przekazywali sobie szeptem uwagi.

Nagle rozległ się donośny głos Old Shatterhanda:

- Rozpalcie ogień! Ale trzymajcie się od niego z dala, aby was nie zobaczono!

Jemmy i Davy przyklękli, aby wykonać rozkaz, i śpiesznie wycofali się znów w mrok.

W odblasku ognia ukazał się teraz Winnetou i Old Shatterhand, każdy z karabinem w ręce i Indianinem na ramieniu. Wszyscy mieli zamiar stłoczyć się wokół nich, lecz Old Shatterhand powiedział:

- Nie ma obecnie czasu na dyskusje. Obaj zabici zostaną przywiązani do zapasowych koni i wyruszymy w drogę. Wprawdzie koło obozu było tylko tych dwóch, ale nie można przewidzieć, ilu jeszcze do nich należy. Zatem trzeba się śpieszyć!

Obydwa ciała miały otwory w czole i w potylicy. Kule przeszły im przez głowy, zupełnie tak, jak to powiedział Winnetou do Old Shatterhanda: - Pi_esitah tajaszi. W czoło.

Ich towarzysze byli niechybnie również wybornymi strzelcami, lecz taka niewiarygodna wręcz celność wywołała najwyższy podziw, zaś Szoszonowie szepotali między sobą i rzucali przesądne spojrzenia na obydwu sławnych mężczyzn.

Przygotowania do drogi

przebiegały szybko i cicho.

Ognisko ponownie wygaszono. Następnie Winnetou i Old Shatterhand stanęli na czele kolumny i rozpoczął się nocny marsz. Dokąd? O to nie pytał nikt. Zdano się na obu przywódców. Wkrótce dolina zrobiła się tak ciasna, że jeźdźcy musieli jechać jeden za drugim. Okoliczność ta oraz nakazana ostrożność nie pozwalały na żadne rozmowy.

Oczywiście, że Murzyna nie można było pozostawić w wodzie. Tkwił on na swojej szkapie bez odzienia, gdyż spuścizna po śmierdzielu dawała się wyraźnie odczuć. Dostał starą, postrzępioną derkę, której Davy używał jako siodła, i owinął się nią wokół bioder, jak to czynią mieszkańcy Oceanii. Bob nie mógł się pogodzić ze swoim losem i ciężko zmartwiony mruczał coś do siebie.

W taki oto sposób jechali cały dzień możliwie cicho i możliwie szybko, najpierw przez wąską dolinę, potem pod górę szerokim gładkim zboczem, i z góry wąską krętą prerią. Kiedy zaś dzień się miał ku końcowi i zaczynało szarzeć, oczom jeźdźców ukazał się stromo wznoszący się wąwóz wiodący pomiędzy wysokie, ciemne, pokryte lasem góry. Reszta poszła za ich przykładem.

Obydwa ciała zdjęto obecnie z koni i ułożono na ziemi. Szoszonowie stanęli wokół szerokim kołem. Wiedzieli, że teraz rozpocznie się śledztwo, którego trudności były im dobrze znane. Najpierw wolno było mówić tylko wodzom. Pozostali musieli odczekać, aż ktoś ich zapyta o radę. Zabici byli ubrani po indiańsku pół na pół w wełnę i skórę. Nie liczyli oni więcej niż po dwadzieścia lat.

- Tak też myślałem - powiedział Old Shatterhand. - Tylko niedoświadczeni wojownicy obserwując obóz wroga otwierają

oczy na tyle szeroko, że można dojrzeć ich blask. Przebiegły zwiadowca ukryje wzrok pod brwiami i rzęsą. Ale do jakiego plemienia oni należą?

Pytanie to było skierowane do Jemniego.

- Hm! - mruknął Gruby. - Czy pan mi wierzy, sir, że pytanie pańskie sprawia mnie w zakłopotanie?

- Wierzę, gdyż w tym momencie sam nie potrafię na nie odpowiedzieć. Znajdowali się oni na wojennej ścieżce, to pewne, choć barwy wojenne na ich twarzach są już mocno zamazane, ale rozpoznać w nich można kolor czerni i czerwieni! To barwy Oglalajów. Mimo to zdaje się, że nie są oni Siuksami. Nic nie można odczytać z ich odzieży. Przeszukajmy zatem ich kieszenie! Ale te okazały się absolutnie puste. Nie było w nich nawet najmniejszego drobiazgu. Wczorajszego wieczora przy każdym z nich leżała strzelba. Również one zostały sprawdzone. Zawierały w sobie ładunki, nie miały jednak żadnych znaków szczególnych, które wskazywałyby na plemienną przynależność zastrzelonych.

- A może byli oni dla nas zupełnie nieszkodliwi? - zauważył Długi Davy. - Może przypadkowo znaleźli się w okolicy w pobliżu naszego obozu i musieli nas obserwować dla własnego bezpieczeństwa.

Old Shatterhand zaprzeczał ruchem głowy i odparł:

- Miejsce, w którym obozowaliśmy, było tego rodzaju, iż nie mógł dotrzeć tam nikt przypadkowo. Ludzie ci podążali naszym śladem.

- To jeszcze nie świadczy przeciwko nim!

- Nie, lecz mądrze postępując zdjęli wcześniej z siebie wszystko, co wskazywałoby na związek ze swoim plemieniem.

Jest to podejrzone. Mieli

strzelby, lecz nie byli wyposażeni w proch ani ołów. To wzbudza jeszcze większe podejrzenia, gdyż w taki sposób nie oddala się żaden Indianin od swojej wspólnoty. Bez wątplenia byli oni zwiadowcami konkretnego oddziału.

- Hm! I w dodatku nie mieli koni!

- Co to to nie! Rzućcie tylko okiem na skórzane spodnie tego tutaj. Otóż, czy nogawki tych spodni nie zostały po wewnętrznej stronie wytarte? Może to być wyłącznie wytarcie od konnej jazdy!

- Może wytarły się one wcześniej?

Old Shatterhand przyklęknął i przytknął nos do spodni. I wstając rzekł:

- Powąchajcie te nogawki! Nie da się zaprzeczyć, że mają one koński zapach, ponieważ jednak znika on na tym odludziu bardzo szybko, obaj czerwonoskórzy jeszcze wczoraj dosiadali koni.

Wohkadeh podszedł obecnie bliżej mówiąc:

- Mimo że młody i niedoświadczony, Wohkadeh prosi sławnych mężów, by mu pozwolili rzec kilka słów!

- Niech Wohkadeh mówi - zachęcająco skinął mu Old Shatterhand głową.

- Wohkadeh nie zna wprawdzie tych czerwonoskórych wojowników, ale znana mu jest koszula jednego z nich.

Nachylił się unosząc rąbek koszuli i wskazując zrobione w niej nacięcie objaśnił:

- Wohkadeh zrobił na niej swój znak, gdyż miała ona do niego należeć.

- Ho, ho! Wyśmienita okoliczność! Może dojdziemy teraz do czegoś bardziej dokładnego.

- Wohkadeh nie może rzec nic pewnego, ale sam przypuszcza, że obaj młodzi wojownicy należą do plemienia Upsaroka.

- Jaką podstawę ma mój młody brat, aby tak sądzić? - zapytał Old Shatterhand.

- Wohkadeh był przy tym, kiedy

Upsarokowie zostali okradzeni przez kilku Siuksów_Oglala. Nadjeżdżaliśmy od strony wydłużonej góry, którą blade twarze nazywają Lisim Grzbietem, i przeprawialiśmy się przez północny dopływ rzeki Cheyenne w miejscu, w którym przeciska się ona między Three Peaks, a górą Inan_Kara. Jadąc tak pomiędzy górą a rzeką skręciliśmy za lasem i tutaj zobaczyliśmy kąpiących się w wodzie czerwonoskórych, dziesięciu i ośmiu mężczyzn. Oglalajowie odbyli krótką naradę.

Kąpiący się byli Upsarokami, a więc wrogami. Postanowiono narazić ich na największą hańbę, jaka mogła spotkać czerwonoskórego wojownika...

- Zounds! - zawołał Old

Shatterhand. - Chyba nie mieli oni zamiaru zagrabić im woreczków z lekami stanowiących ich największą świętość?

- Mój biały brat odgadł ich zamiary. Siuksowie_Oglala podjechali korzystając z osłony drzew aż do miejsca, w którym tuż przy zaroślach pały się konie Upsaroków. Złożyli oni tam swoją odzież, broń i leki. Oglalajowie zsiadli z koni i skradali się w to miejsce. Zabrali, co tam leżało.

- Kąpiący się nie wystawili straży?

- Nie. Nie mogli bowiem przypuszczać, że oddział wrogich im Oglalajów pojawi się tam, gdzie pały się konie Upsaroków.

Siuksowie zgrabili im konie,
leki i większą część odzieży i
broni należącej do Wron. Potem
dosiedli koni i oddalili się
galopem. Przy podziale łupów
Wohkadeh otrzymał tę oto
myśliwską koszulę, ale on nie
chciał być złodziejem, dlatego
jedynie naciął na niej swój znak

i ukradkiem wyrzucił ją.

- Kiedy to było?

- Cztery dni wcześniej, zanim

Oglalajowie wysłali mnie w charakterze zwiadowcy przeciwko wojownikom Szoszonów.

- Upsarokowie możliwie szybko zaopatrzyli się w nową odzież, konie i broń i udali się w pogoń za złodziejami. Znaleźli przy tym porzuconą koszulę, którą włożył znów na siebie prawowity jej właściciel. Nie ma żadnej hańby dla Indianina, jak pozwolić ukraść swoje świętości. Nie wolno mu się wcześniej pokazać wśród swoich, dopóki ich nie odzyska albo nie ukradnie innych, zabijając przy tym właściciela. Indianin, który wyrusza, aby w miejsce utraconego zdobyć inny worek z lekami, przejawia niemal szaleńczą zuchwałość. Jest mu obojętne, czy zabije przyjaciela, czy też wroga, i dlatego jestem przekonany, że wczoraj wieczorem uniknęliśmy poważnego zagrożenia.

- Hm! - burknął Gruby, sięgając dłonią pod kapelusz, aby się z zażenowaniem podrapać.

- Spoczywalibyśmy teraz prawdopodobnie w absolutnym spokoju, lecz pozbawieni skalpu i życia. Potrafię wprawdzie zauwyżyc również nocą patrzące na mnie oko, ale wczoraj byłem przekonany, że nie ma w pobliżu żadnej wrogiej istoty, i dlatego zupełnie się o to nie troszczyłem. Uważa pan zatem, że Upsarokowie depczą nam po piętach?

- W każdym razie podążają za nami, a teraz kiedy zabiliśmy dwóch z nich tym bardziej.

- Musimy zatem być przygotowani dziś wieczór na napaść.

- Z tym musimy się oczywiście liczyć - potwierdził Old Shatterhand. - Co na ten temat powie mój czerwonoskóry brat?

Czy Upsarokowie są obecnie

wrogami Szoszonów? - Te słowa były skierowane do Oihki_petaya.

- Nie. Oni są wrogami

Siuksów_Oglala, którzy są także naszymi wrogami. Nie wykopaliśmy topora wojennego przeciwko nim, lecz wojownik szukający leków jest wrogiem wszystkich ludzi. Trzeba się go strzec jak dzikiego zwierzęcia. Moi biali bracia uczynią mądrze, jeśli zażądają odpowiednie środki do naszego zabezpieczenia!

Old Shatterhand rzucił teraz pytające spojrzenie na Winnetou, który dotąd nie powiedział jeszcze słowa. Faktycznie, godne podziwu było, jak dobrze ci dwaj się rozumieli. Nawet bez wyłuszczenia jakiegokolwiek planu Winnetou odgadł myśli Old Shatterhanda, gdyż powiedział:

- Mój brat zamierza postąpić właściwie.

- Cofniemy się okrężną drogą.

- Zgoda. Winnetou się na to zgadza.

- To mnie cieszy. W takim razie nie będziemy atakowanymi, lecz atakującymi. Jeśli się nie mylę, o dwie godziny drogi stąd jest miejsce nadające się doskonale do wykonania mojego planu.

- Zatem nie traćmy tutaj niepotrzebnie czasu - stwierdził Davy. - Ale co zrobimy z nieboszczykami?

- Skalpy obu wojowników należą do Old Shatterhanda i do wodza Apaczów, to jest do tych, którzy ich zabili - rozstrzygnął Oihka_petay.

- Jestem chrześcijaninem i obcy jest mi ten proceder - biały myśliwy rzekł się tym samym swego przywileju.

Winnetou przecząc ruchem ręki powiedział:

- Wódz Apaczów nie potrzebuje skalpu tych dwóch chłopców, aby uczynić sławnym swoje imię. Są oni dostatecznie nieszczęśliwi, gdy udali się do Krainy Wiecznych Łowów bez swoich

świętych. Nie zabijajmy ich dusz pozbawiając ich skalpów. Niech spoczną pod kamieniami wraz z bronią, bo zginęli jak wojownicy, którzy odważyli się zbliżyć do obozu wroga.

Przywódca Szoszonów czegoś podobnego nie oczekiwał. Pytał zatem z oznakami głębokiego zdziwienia:

- Moi bracia chcą tym, którzy nastawali na ich życie, urządzać pogrzeb?
- Owszem - potwierdził Old

Shatterhand.

- Do ręki włożymy im karabiny i posadzimy wyprostowanych z twarzami zwróconymi w kierunku świętych kamieniołomów, a potem obłożymy ich kamieniami. W taki sposób oddaje się cześć wojownikom. Kiedy podążając za nami, w tym miejscu znajdą się ich bracia, wtedy poznają, że nie jesteśmy już wrogami, lecz przyjaciółmi. Pokaż i ty, że jesteś szlachetnym wojownikiem, i poleć, by twoi ludzie przynieśli kamienie, z których ułożymy kopiec! Szoszonowie swoją wyobraźnią nie mogli zgłębić poglądów obu mężczyzn, lecz żywili dla nich taki respekt, iż nie odważyli się zapoznawać.

Obaj polegli zostali przeniesieni w pozycji siedzącej, jeden z lewej, drugi zaś z prawej strony wlotu przełęczy, z twarzami zwróconymi w stronę północno_wschodnią. W dłonie wsunięto im karabiny i obłożono ich kamieniami. Przygotowano się do dalszej drogi, gdyż Winnetou powiedział do Old Shatterhanda:

- Wódz Apaczów zatrzyma się jeszcze tutaj, aby zaobserwować przybycie Upsaroków. Niech syn Łowcy Niedźwiedzi pozostanie przy jego boku.

Było to wyróżnieniem dla

Martina Baumanna, które
napełniło go radosną dumą. Obaj
oni pozostali zatem w tym samym

miejscu, podczas gdy reszta pod przywództwem Old Shatterhanda ruszyła w drogę. Teraz, ponieważ był już dzień, jechali znacznie szybciej niż minionej nocy. Przełęcz, niekiedy równa, najczęściej wiodła pod górę pomiędzy rozległymi wzniesieniami. Po upływie dwóch godzin, a więc w przewidzianym czasie, wzniesienia owe zbiegały

się ku sobie w kanion, ciasny, wysoki, wznoszący się niemal pionowo. Wąwóz był tak wąski, że mieściło się w nim obok siebie trzech jeźdźców. Po zboczach nikt nie zdołałby się wdrapać. Zarośla, w których można by się ukryć, rosły dookoła, a mimo to grunt był tu na tyle skalisty, że nie tworzyły się ślady. Old Shatterhand zatrzymał się. Wskazując na prostą linię kanionu, wyjął, co zamierza:

- Kiedy nadejdą Upsarokowie, wpuszczymy ich tutaj. Połowa z nas ukryje się tutaj pod wodzą Oihitki_petaya, do którego dobieje później również Winnetou i wkroczy za wrogiem do wąwozu, gdy tylko wypalę z mego rewolweru. Druga połowa zajmie ze mną stanowiska u wylotu wąwozu. W ten sposób wróg znajdzie się w całkowitym zamknięciu mając do wyboru albo się dać wystrzelać, albo też dobrowolnie się poddać.

- Lecz Upsaroków trzeba by chyba napędzić do niej batami, gdyż nie będą oni na tyle głupi, aby ładować się w pułapkę - powiedział gruby Jemmy.

- Oczywiście, że nie wślizną się oni natychmiast - odparł Old Shatterhand - lecz zatrzymają się, aby się naradzić.

Najważniejszą sprawą będzie teraz, abyśmy niczym nie zdradzili naszej obecności. Nasi wojownicy muszą ukryć się tutaj na tyle skutecznie, aby ich nie wykryto. Dzielny Bawół jest mądrym wodzem i wyda odpowiednie

połączenia, a kiedy potem dołączy Winnetou, wówczas dwóch wojowników, na których zapewne mogą polegać, będzie tutaj wspólnie wydawać rozkazy. Stwierdzenie to schlebiali wodzowi Szoszonów. Należało oczekiwać, że będzie się bardzo starał, aby nie zawieść pokładanego w nim zaufania. Pozostał zatem wraz z trzydziestoma swoimi ludźmi na wyznaczonym miejscu, podczas gdy Old Shatterhand wraz z całą resztą ruszył w głąb kanionu. Wąwóz ów był krótki - stojąc u wlotu można było bardzo dobrze widzieć jego wylot. Tam gdzie wąwóz stawał się szeroką przełęczą, podłożem jej był czarnoziem, z którego strzelały ku niebu olbrzymie drzewa. Pomiędzy pniami drzew leżały rozrzucone liczne odłamy skalne. Jeśli towarzysze Old Shatterhanda oczekiwali, że zatrzyma się on tuż przy wylocie, to się mylili. Old Shatterhand jechał wyraźnie dalej, kołując koniem w celu odciśnięcia wyraźnego, podpadającego tropu.

- Ależ sir - odezwał się gruby

Jemmy - myślałem, że mieliśmy zatrzymać się tutaj, u wylotu wąwozu!

- I tak też będzie, lecz wpierw jedźcie jeszcze za mną kawałek i starajcie się zostawić po sobie widoczne ślady! A właściwie to nie powinien pan zadawać pytań, mister Jemmy. To co robię, rozumie się samo przez się. Old Shatterhand jechał jeszcze przez jakiś kwadrans. Potem zatrzymał się i zwracając się do swoich ludzi zapytał:

- No i, panowie, wiecie już, dlaczego wysforowałem się tak daleko?
- Po to, by zmylić zwiadowców? - domyślał się Jemmy.
- Owszem. Upsarokowie nie

znajdą się wcześniej na przełęczy, zanim nie przekonają się za pośrednictwem zwiadowców, czy ciągnący się przed nimi wąwóz jest bezpieczny. Przypuszczam, że zwiadowcy będą przeczuwali zasadzkę i dlatego zachowają szczególną ostrożność. Pozostawimy ich w nieświadomości i poczekamy spokojnie na rozwój wydarzeń.

- A co będziemy robić teraz?

- Teraz wrócimy do wylotu kanionu, lecz nie po naszym tropie, lecz skreścimy w bok do lasu. Jedźcie za mną!

Zbocza przełęczy były tutaj niezbyt strome i koń mógł je z powodzeniem pokonać. Old Shatterhand na czele swoich ludzi jechał kawałek pod górę i zawrócił potem w stronę wylotu kanionu. Kiedy zatrzymał konia, jego gromada znajdowała się w połowie wysokości nad końcem wąwozu. W ciągu kilku sekund można było stąd konno zjechać w dół i zablokować wejście.

Jeźdźcy zsiadli i przywiązali konie do drzew. Ludzie rozłokowali się na miękkim mchu.

- Ciekawe, jak długo będziemy tu czekać? - zastanawiał się Jemmy.

- Możemy to sobie niemal dokładnie wyliczyć - odparł Old Shatterhand.

- Z nastaniem dnia Upsarokowie będą poszukiwali swoich dwóch zwiadowców. Zanim odkryją, co wydarzyło się w pobliżu obozu, mogą upłynąć dwie godziny. Potem ruszą dalej, znajdą oba grobowe kopczyki i zbadają je. Założmy, że zajmie im to wraz z naradą całą godzinę, w sumie więc daje to trzy godziny. Przebycie drogi od obozowiska do tego miejsca pochłonęło nam pięć godzin. Jeżeli wrogowie będą się posuwali z naszą prędkością, przybędą tutaj w ciągu ośmiu godzin od nastania dnia. Licząc od tej chwili mamy mniej więcej pięć godzin czasu.

- Ojej! Co będziemy w tym czasie robić?

- Nie musi pan wcale o to pytać! - odparł Hobbler Frank. - Porozmawiamy co nieco o sztuce i nauce. To kształci umysł, uszlachetnia serce, łagodzi usposobienie i uodparnia charakter, co jest niezbędne, aby nie porwały nas życiowe zawieruchy. Nie ma nic ponad sztukę i wiedzę. Obie te dziedziny są moim chlebem powszednim, moim początkiem i końcem, moim... Brr! Co to właściwie śmierdzi tak obrzydliwie? Gorzej niż źle zakopane rozkładające się zwłoki! Albo też...?

Frank obejrzał się i spostrzegł Murzyna, który wsparty był o drzewo, pod którym siedział Saksończyk.

- Zmykaj mi stąd zaraz, do jasnej Anielki! - krzyknął. - Kto ci pozwolił oprzeć się o moje drzewo?! Myślisz może, że mój nos jest sztuczny? Zjeżdżaj stąd, żuawie, prosto do Afryki! Nasze nerwy są na to zbyt delikatne. Znoszę jedynie goździki, rezedę i niezapominajki, lecz skunksa nie radziłbym brać do flakonika nawet najwytworniejszej damie!

- Masser Bob pachnieć dobrze, bardzo dobrze! - bronił się Murzyn. - Masser Bob nie śmierdzić. Masser Bob myć się w wodzie popiołem i tłuszczem z niedźwiedzia. Masser Bob być wytworny, szlachetny gentleman!

- Co? Ty chcesz być wysoko urodzonym, aromatycznym człowiekiem? Frank chwycił strzelbę i wycelował nią w Boba wołając groźnie:

- Jeśli mi zaraz nie znikniesz, to zrobię z ciebie sitko!

- O Jezus, Jezus! Tylko nie strzelać, nie strzelać! - krzyczał Murzyn. - Masser Bob już sobie iść! Masser Bob usiąść

daleko! - wycofał się szybko w odległe miejsce, gdzie usiadł nadąsany.

Mały Saksończyk jeszcze raz chciał zacząć rozmowę o sztuce i nauce, ale Old Shatterhand zaproponował coś innego:

- Myślę, że czas ten wykorzystamy z większym pożytkiem. Nie spaliśmy ubiegłej nocy, dlatego połóżcie się na jedno ucho i spróbujcie uciąć sobie drzemkę, a ja będę czuwał!

- Pan? Dlaczego właśnie pan?

Orfeusz poskapił panu swych objęć tak samo jak nam.

- Chyba Morfeusz! - poprawił go Jemmy.

- Znów pan zaczyna? Dlaczego nie poprawia mnie nikt inny poza panem?

Czego pan tu miesza swojego Morfeusza! Doskonale wiem, o kogo tutaj chodzi,

byłem przecież człowiekiem towarzystwa śpiewaczego, które nazywało się „Orfeusz”. Kiedy człowiek się naprawdę naśpiewał, to wspaniale potem sypiał. Chór jest najlepszym środkiem na bezsenne noce, dlatego ma właściwą nazwę „Orfeusz”.

- Dobra, dobra, niech i tak będzie! - roześmiał się Gruby, wyciągając się jak Długi na mchu. - Wolę raczej spać niż łamać sobie zęby na uczonej dyspacie z panem.

- Bo nie stać pana na inteligentne odpowiedzi. Kto nic się nie nauczył, ten nic nie umie. Niech pan zatem śpi! Historia na tym nie ucierpi. A kiedy nie znalazł nikogo innego, kogo by mógł przekonać o swojej umysłowej wyższości, ułożył się także wygodnie i próbował uciąć drzemkę. Szoszonowie poszli za ich przykładem, wkrótce pokładły się także konie albo zwieszały łby.

Old Shatterhand zszedł w dół,
wolno przemierzył kanion i będąc
po tamtej stronie uważnie się
rozglądał. Uśmiechnął się z
zadowoleniem, gdyż nie można

było tu dostrzec żadnego śladu, który by wskazywał, gdzie znajduje się Dzielny Bawół. Szoszon podjął właściwe środki ostrożności. Old Shatterhand znów zawrócił i przysiadł u wylotu wąwozu na kamieniu. Siedział tak godzinami nieporuszony z pochyloną głową. O czym teraz myślał sławny myśliwy?

Być może przesuwano się przed nim jego burzliwe życie, które przypominało jakąś pasjonującą grę.

Wtem dał się słyszeć tętent końskich kopyt. Wstał i nadśluchiwał uważnie, ukryty za skałą. Z tamtej strony nadjeżdżał Martin Baumann. Old Shatterhand mógł zatem wyjść zza skały.

- Czy Winnetou przybył także?

- zapytał po niemiecku.

- Tak. Przywołał go do siebie

Oihka_petay, i tam się zatrzymał zgodnie z pana życzeniem. Ja mam również do nich wrócić.

- Słusznie. Apacz zdaje się darzyć pana życzliwością, młody przyjacielu. Widział pan Upsaroków. Ilu ich było?

- Szesnastu z dwoma luzakami, które należały chyba do zabitych. Dwóch zwiadowców znacznie ich wyprzedzało. Widać było, że kierują się dokładnie po naszym tropie.

- To dobrze. Już wkrótce poznają ludzi, którzy pozostawili ów trop.

- Byliśmy dobrze ukryci pod drzewami i pozwoliliśmy im się zbliżyć. Potem jechaliśmy galopem, aby ich znacznie wyprzedzić. Przedtem jednak zdołaliśmy jeszcze zobaczyć, że znajduje się wśród nich olbrzymi wojownik. To prawdopodobnie ich przywódca, gdyż wyprzedzał on pozostałych o kilka długości koni.

- Mógł pan rozróżnić uzbrojenie?

- Wszyscy czerwonoskórzy mieli karabiny.

- Zatem dobrze. To, co obecnie panu powiem, przekaże pan dokładnie Winnetou. W kanionie mieszczą się tylko trzy konie obok siebie, dlatego proszę, żeby Apacz zrezygnował z użycia koni. Kiedy tylko wrogowie znikną w kanionie, winien on za nimi szybko podążyć pieszo.

- Czy nie będą mieli oni wówczas przewagi? Mogą nas łatwo stratować.

- Nie ma obawy. Podczas gdy

Upsarokowie będą mieli w jednym rzędzie tylko trzy konie, my jako piesi możemy ustawić obok siebie pięciu ludzi. I zrobimy to tak: pierwszych pięciu siądzie po prostu na ziemi, następna piątka przykłęknie. Za nimi ustawi się trzecia piątka w postawie schylonej, czwarta piątka stanie wyprostowana. W taki sposób dwudziestu ludzi może dokładnie i pewnie celować nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Pozostali będą stanowić rezerwę. Niech pan powie to Apaczowi i niech pan także doda, że sam pragnę pertraktować z wrogami. Kiedy, według oceny Winnetou, powinni oni tutaj przybyć?

- Winnetou uważał, że godzinę zajmie im pobyt przy grobach...

- Dokładnie tak samo jak ja.

- ...I dwie godziny przybycie do tego miejsca. Ponieważ jednak obaj jechaliśmy jedynie półtorej godziny, możemy oczekiwać, że upłynie jeszcze ponad godzina, zanim tu przybędą.

- Również i ja tak przypuszczam. Mimo to musimy być przygotowani. Niech pan teraz wraca!

Martin zawrócił konia i pokłusował. Old Shatterhand wspiał się w górę ku śpiącym towarzyszom i obudził ich.

Podzielił się z nimi swoim planem i ustalił, że pierwszy siedzący członek będą stanowili

Davy, Jemmy, Frank, Wohkadeh i jeden z Szoszonów. Reszcie wyznaczył także miejsca i sprawdził ich, aby przeciwżyć zamierzony sposób urządzenia zasadzki. Bardzo dużo zależało od tego, czy wykonanie zamiaru nastąpi sprawnie i szybko, zaś on sam chciał stanąć przed swoimi ludźmi, pomiędzy nimi a nieprzyjacielem, aby móc z przeciwnikiem pertraktować. W tym celu uciął sobie kilka długich, zielonych gałęzi, które na całym świecie, nawet u najdzikszych ludów, są symbolem parlamentariuszy.

Po kilku powtórzeniach wszystko szło jak z płatka. Gdy Old Shatterhand przekonał się, że jego ludzie dobrze wypełniają zadanie, wycofał się wraz z nimi do kryjówki. Czas wyczekiwania dłużył się im teraz bardziej niż poprzednio. Wreszcie oczekujący usłyszeli odgłos końskich kopyt.

- Zdaje się, że jest to tylko jeden zwiadowca, którego wysłano, aby się zorientował, czy przejście jest wolne - przypuszczał Jemmy.

- Byłoby to dla nas bardzo korzystne - odpowiedział Old Shatterhand. - Gdyby było ich dwóch, wtedy jeden cofnąłby się z wiadomością, podczas gdy drugi czekałby podobnie tu na dole i musielibyśmy go unieszkodliwić, i to tak, aby jego towarzysze tego nie spostrzegli.

Jemmy miał rację. Był to pojedynczy jeździec, który powoli wynurzył się z kanionu i przystanął, aby ostrożnie się rozglądnać. Ani z prawa, ani z lewa nie spostrzegł śladu wroga, natomiast miał przed sobą prostą linią biegnący trop, o którego wyrazistość Old Shatterhand tak przezornie zabiegał. Widać jednak było, że nie czuje się zupełnie pewny, pojechał jeszcze znaczny odcinek drogi dalej.

- Heavens! - spostrzegł Jemmy.

- Czerwonoskóry nie pojechał chyba do miejsca, od którego zesliśmy w bok! To by mu zdradziło, że tutaj jesteśmy.

- W takim razie nie wróciłby do swoich - skwitował Old Shatterhand.

- I jak by pan to uczynił bez robienia hałasu?

- Tym oto - i wskazał na lasso.

- Wtedy pętla musiałaby zwiadowcy zasznurować szyję, aby nie mógł krzyczeć. Jest to jednak diabelnie trudna sztuka. Zdoła pan tego dokonać, sir?

- Nie martwcie się o to.

Wyprostujcie dziesięć palców i powiedzcie mi, na który z nich mam zarzucić lasso! Ale kończymy z tym. Stąd z góry nie można widzieć, jak daleko pojedzie

czerwonoskóry. Muszę zejść w dół. Zachowujcie się w tym czasie cicho, a gdy usłyszycie mój gwizd, zejdźcie za mną.

Myśliwy zdjął lasso z ramienia, zwinął je w pętlę przygotowany do rzutu i zsunął się szybko po stromiźnie. Będąc na dole uspokoił się, gdyż zobaczył, że Upsaroka wraca, miał jeszcze akurat tyle czasu, aby przycupnąć za skalnym występem.

Czerwonoskóry przejechał obok niego klusem i zniknął w ciasnym kanionie.

Old Shatterhand gwizdnął, co stanowiło umówiony znak, na który zjawili się jego ludzie. Przynieśli mu obydwie karabiny i zielone gałęzie, gdyż wszystko to zostawił, aby mu nie przeszkadzało w rzucaniu lassem.

W tym czasie śledził wzrokiem

zwiadowcę. Upsaroka dotarł do końca kanionu i zniknął. W minutę później pojawiła się cała gromada, która klusem wjechała w wąwóz. Old Shatterhand pozwolił im dotrzeć do jego połowy, wyjął rewolwer i strzelił, dając w ten sposób umówiony znak. Huk wystrzału odbił się z wielokrotnioną o ciasne, strome ściany i z dziesięciokrotną siłą

doszedł do uszu Apacza i jego ludzi. Rzucili się oni jak burza do wąwozu za Upsarokami, którzy ich na razie wcale nie spostrzegli. Czerwonoskórzy, słysząc wystrzał, bezzwłocznie zatrzymali konie. Zobaczyli teraz, jak Old Shatterhand i jego ludzie tarasują z przodu kanion i ustawiają się w sposób wcześniej określony. Przywódca wrogich Indian, zgodnie z relacją Martina Baumann, był olbrzymiego wzrostu i siedział na koniu niby sam bóg wojenny. Szerokie skórzane spodnie wisały na pasach pełnych splotów sporządzonych z włosów zabitych wrogów. Na szerokiej piersi miał na skórzanej myśliwskiej kurtce rodzaj pancerza z przywieszonych niby łuski na zakładkę skalpów. Za pasem obok różnych niezbędnych przedmiotów zatknął duży nóż myśliwski i ogromny tomahawk, którym mógł miotać jedynie człowiek takich okazałych rozmiarów jak on. Głowę zdobiła mu czaszka pumy ze zwisającymi długimi pasami futra. Twarz miał pomalowaną na czarno, czerwono i żółto. W prawicy dzierżył ciężką strzelbę, z której padł z pewnością niejeden śmiertelny strzał.

Olbrzym zorientował się natychmiast, że wycelowane w niego lufy przewyższają liczebnie stan uzbrojenia jego ludzi.

- Zawracać! - zawołał głosem, którego ton dostojnie zagrzemiał w kanionie.

Spiąwszy konia obrócił go na tylnych nogach. Jego ludzie uczynili to samo. Tutaj jednak spostrzegli gromadę ludzi Winnetou, których karabiny były wycelowane tak samo jak tamte u wylotu kanionu.

- Appanaheh! Złe czasy! - zawołał przerażony przywódca. - Zawróćcie! Tam stoi człowiek z

oznakami parlamentariusza w dłoni. Nasze uszy będą słuchać, co on chce powiedzieć.

Zawrócił znów rumaka i powoli jechał w kierunku Old Shatterhanda. Jego ludzie podążali za nim. Apacz nie zaprzepaścił okazji i zacieśnił krąg wokół Upsaroków, posuwając się pieszo, wchodził im na pięty.

Old Shatterhand nie uczynił ani jednego kroku w kierunku wroga. Upsaroka zlustrował go czujnym wzrokiem i zapytał:

- Czego tutaj szuka ta blada twarz? Dlaczego staje na drodze mojej i moich wojowników?

Myśliwy wytrzymał ów wzrok i odparł:

- Czego tutaj szuka ten czerwonoskóry? Dlaczego prześladowuje mnie i moich wojowników?

- Bo zabiliście dwóch naszych braci.

- Przyszli oni do nas jako wrogowie, a wrogów się unieszkodliwia.

- Skąd wiesz, że jesteśmy twoimi wrogami?

- Gdyż straciliście swoje leki.

Olbrzym przysłonił głęboko oczy rękami.

- Kto ci to powiedział?

- Wiem to, gdyż obaj wojownicy, którzy umarli od naszych kul, nie mieli przy sobie leków.

- Zgadłeś. Nie jestem już tym, kim byłem. Tracąc leki, utraciłem wraz z nimi swoje imię. Nazywam się teraz Oihkikeh_ejakuczin_wakon, Dzielny, Który Szuka Leków. Przepuście nas, inaczej was zabijemy!

- Poddajcie się, bo wy będziecie tymi, którzy zostaną zabici! Spójrz przed siebie i za siebie! Jeden mój ruch, a więcej niż pięć razy dziesięć kul uderzy w garstkę twoich ludzi.

- Wiele śmierdzących kojotów może uśmiercić najsilniejszego bawołu. Czym byłyby twoje psy w

porównaniu z moimi wojownikami, gdybyście nas tu nie otoczyli? Ja sam wybiłbym połowę z was.

Olbrzym wyjął swój ciężki tomahawk i groźnie nim wywijał.

- Ja zaś osobiście całe to twoje bractwo pošlę do Krainy Wiecznych Łowów!
- odparł Old Shatterhand.
- Czy nie nazywają ciebie przypadkiem Pyskacz?
- Nie walczę moim przydomkiem, lecz dłonią.

W oku Upsaroki pojawił się błysk.

- Chcesz to na mnie udowodnić?
- Nie boję się ciebie, lecz śmieję się z twoich pustych słów.
- Zaczekaj, porozmawiam z moimi wojownikami! Wtedy zrozumiesz, że Oihkikeh_ejakuczin_wakon nie tylko gada, lecz również działa.

Odwrócił się ku swoim ludziom i rozmawiał po cichu z jednym z nich. Potem zwrócił się znów do Old Shatterhanda i zapytał:

- Wiesz, co to jest muh_mohwa?
- Wiem.
- Zatem śmiało! Potrzebne są nam skalpy do pozyskiwania leków. Czterech mężczyzn może wziąć udział w muh_mohwie, ty ze mną i jeden z twoich czerwonoskórych z jednym z moich wojowników. Jeśli zwyciężymy, zabijemy i oskalpujemy was wszystkich. Jeśli natomiast wy zwyciężycie, bierzcie nasze skalpy i nasze życie. Jesteś na tyle odważny?

Upsaroka zadał to pytanie z ironią. Old Shatterhand odpowiedział z uśmiechem:

- Jestem gotów. Podaj mi dłoń na znak, że twoje słowa są prawdziwe!
- Wyciągnął ku niemu dłoń. Olbrzym nie był na to przygotowany, dlatego mimo woli się wzbraniał.

Muh_mohwa jest wyrażeniem wywodzącym się z języka Utahów i oznacza dosłownie „dłoń przy

drzewie”. Walka odbywająca się według określonych zasad uważana jest przez niektóre plemiona za pewnego rodzaju sąd Boży. Dwóch mężczyzn przywiązuje się silnym rzemieniem za jedną rękę do pnia, natomiast w drugą rękę dostają oni uzgodnioną broń, tomahawk albo nóż. Rzemienie są tak przywiązane, że pozwalają

walczącym poruszać się wokół pnia. Ponieważ muszą oni być zwrócenii ku sobie twarzami, dlatego jednego przywiązuje się za prawą, drugiego za lewą rękę. Ten, który ma wolną prawą rękę, znajduje się oczywiście w sytuacji korzystniejszej. Ów okrutny bój kończy się, kiedy w wyniku zadawanych ran jeden z przeciwników powoli umiera.

Bezimienny przezwyciężył pierwsze wrażenie i podał białemu rękę ze słowami:

- Zgadza się! Przyrzekamy sobie nawzajem, że żadna ze stron, której walczący polegą, nie może upierać się przy życiu.

Jeśli z każdej strony zwycięży
jeden wojownik, walkę będą
toczyli obaj zwycięzcy aż do
końca. .nv

9. Bezimienny (c.d.)

Old Shatterhand przejrzał jego zamiar - sądząc po warunkach zewnętrznych, należało oczekiwać, że Dzielny, Który Szuka Leków zwycięży nie tylko w pierwszej walce, ale nawet gdyby drugi Upsaroka został pokonany, w walce rozstrzygającej on również zostanie zwycięzcą. Mimo to odpowiedział:

- Zgodę! A po to, byś był absolutnie pewny, wypalimy fajkę przysięgi.

Wskazał przy tym na fajkę pokoju przyozdobioną skórą kolibra wiszącą na jego szyi.

- Owszem, wypalimy ją - zgodził się olbrzym, podczas gdy na ostro zaznaczonych rysach twarzy pojawił się uśmiech złośliwej ironii. - Lecz fajka

przysięgi nie będzie fajką pokoju, gdyż będziemy walczyć, a po walce nasze skalpy przyozdobią nasze leki. Zaś mięso wasze rozerwą i połkną sępy.

- Przedtem zobaczymy, czy twoje pięści są tak samo mocne i dzielne jak twoje słowa - stwierdził Old Shatterhand.

- Oihtikeha_ejakuczina_wakona nikt jeszcze nie zwyciężył! - odparł dumnie Upsaroka.

- Ale mimo to pozwolił on ukraść sobie leki. Jeśli twoje oczy nie będą dzisiaj bardziej bystre niż wtedy, mój skalp pozostanie na mojej głowie. Była to surowa przygana. Czerwonoskóry natychmiast sięgnął ponownie po broń, lecz Old Shatterhand wzdrygnął ramionami i ostrzegł go:

- Weź tę rękę! Wkrótce będziesz mógł pokazać, jaki jesteś dzielny. Teraz jednak poszukamy sobie miejsca odpowiedniego do muh_mohwy. Moi bracia przyprowadzą swoje konie, natomiast Upsarokowie pojedą jako jeńcy pośrodku. Przekazał znak do Winnetou i Apacz wrócił ze swoim oddziałem tam, gdzie pozostawiono konie. Kiedy wrócili konno, również drugi oddział sprowadził swoje zwierzęta. W ten sposób Indianie spod znaku Wrony nawet na moment nie pozostawali bez dozoru, tak że nie mogło być mowy o ucieczce. I cały pochód ruszył.

Old Shatterhand zakazał po cichu swoim ludziom, by nie zdradzali przydomka ani jego, ani Winnetou. Upsarokowie nie mieli na razie wiedzieć, z jakimi przeciwnikami mają do czynienia. Bowiem tak długo, jak będą przekonani, że wyjdą zwycięsko z zamierzonego boju, nie będą próbowali odstąpić od zawartych uzgodnień.

Gruby Jemmy trzymał się Old
Shatterhanda. Nie popierał
bowiem tak zupełnie jego

zachowania.

- Proszę mi nie brać tego za złe, sir, że wyrażę swoje wątpliwości - zaczął. - Pertraktował pan z czerwonoskórymi jak uczciwy facet, ale uczciwa gra jest tutaj chyba czymś niewłaściwym.

- Dlaczego? Uważa pan, że Indianin nie ma zrozumienia dla szlachetnego charakteru? Znałem wielu czerwonoskórych, z których biali mogliby brać przykład.

- To się może zgadzać, ale tym Wronom nie można ufać. Oni chcą mieć nowe leki, a w tym wypadku nie należy oczekiwać od nich żadnych względów. Mieliśmy ich pięknie w naszym h rękach. Nie mogli przecież ruszyć ani w przód, ani do tyłu. Mogliśmy ich zgasić tak łatwo, jak się gasi kruche zapalki, ale teraz został pan zmuszony do tej diabelskiej muh_mohwy, i kto panu zapewni, że ten olbrzym pana nie zatłucze albo nie zakłuje?

- Pah! Nigdy pan nie był przecież krwiożerczym typem. Byłoby hańbą dla nas, gdybyśmy ich wystrzelali posiadając nad nimi przewagę i wabiąc ich do pułapki, w której nie mogli się ruszyć ani bronić. Nie wspominając nawet o tym, że jesteśmy chrześcijanami.

- Hm! Oczywiście, że ma pan rację, jako chrześcijanin i w ogóle jako człowiek. Ale nie mieliśmy ich przecież zabijać. Byli zmuszeni się poddać, a wtedy mogliśmy zawrzeć z nimi pokojowy układ.

- Nie poddali by się, właśnie dlatego, że szukają nowych leków. Walki nie dałoby się uniknąć, a ponieważ nie mam zamiaru mordować ludzi, których Bóg wyposażył w te same prawa co i mnie, dlatego wolałem zgodzić się na propozycję olbrzyma, którego zresztą znam.

- Co słyszę? Zna pan tego faceta?

- Owszem. Czy przypomina pan

sobie, co mówiłem, kiedy przejeżdżaliśmy obok Góry Żółwia? Opowiadałem wtedy, że kiedyś biwakowałem tam z wojownikiem Upsaroką, Szunktanką. Opowiadał mi on dużo o swoim plemieniu i z wielką dumą wspominał swego słynnego brata Kanteh_pehtë, czyli Płomienne Serce.

- Czy miał on na myśli znanego czarownika Indian Wron?

- Tak, to jego miał na myśli.

Opowiadał mi on o wyczynach swojego brata i określał go jako prawdziwego olbrzyma bez lewego ucha. Kanteh_pehta dostał kiedyś w walce z Oglalajami cios tomahawkim, który odciął mu ucho i zagłębił się jeszcze w ramieniu. Niech się pan teraz przyjrzy temu olbrzymiemu Upsarocce! Brakuje mu lewego ucha, a ze sposobu trzymania lewego ramienia poznaję, że musiał być w nie kiedyś ranny.

- Behold! Byłoby to rzeczywiście całkiem osobliwe spotkanie! Ale obawiam się o pana, sir. Jest pan wprawdzie najdzielniejszym facetem, jakiego można sobie wyobrazić, lecz wygląda na to, że tego Kanteh_pehty istotnie nikt dotąd nie zwyciężył. Siłą mięśni on niewątpliwie pana przewyższa, chociaż jestem przekonany, że nie dorównuje zręcznością. Jeśli jednak człowiek jest jedną ręką przywiązany do drzewa, wtedy przewagę zapewnia chyba siła, a nie zręczność.

- A zatem - uśmiechnął się Old

Shatterhand - jeśli tak bardzo troszczy się pan o mnie, istnieje prosty sposób, aby mnie od zagłady uratować.

- Jaki?

- Po prostu pan będzie walczył z Wroną zamiast mnie.

- Heig_ho! O tym oczywiście nie pomyślałem! Na ogół mam mocne nerwy, ale leżąc śmierci wprost w ramiona to nie w moim guście. A zresztą, sam pan tego

piwa nawarzył, zatem musi pan sam je wypić. Życzę powodzenia!

Mówiąc to Jemmy wyhamował konia, aby nie otrzymać jeszcze raz nieprzyjemnej oferty. Jego miejsce zajął teraz Winnetou na swoim Ilczy.

- Mój brat Szarlih rozpoznał

Kanteh_pehtë, czarownika Upsaroków? - zapytał.

- Owszem - potwierdził skinieniem głowy zapytany. - Oczy mojego czerwonoskórego brata były tak mocno bystre jak i moje.

- Wrona ma tylko jedno ucho.

Winnetou nie widział jeszcze jego twarzy, ale Dzielny, Który Szuka Leków nie zmyli wodza Apaczów. Wódz Apaczów słyszał o czym rozmawiał z nim mój brat, i gotów jest do walki.

- Cieszy mnie gotowość wodza

Apaczów, gdyż nikomu innemu nie chciałbym tej honorowej sprawy powierzyć.

Cała gromada przybyła licząc od kanionu chyba około mili i teraz dolina rozszerzyła się. Jeźdźcy dotarli do niewielkiej, otoczonej górami prerii, jakich w trój okolicy jest wiele.

Rosła tu licha trawa obok nielicznych krzewów, zaś na równinie wznosiło się pojedyncze drzewo, którym była stosunkowo wysoka lipa z gatunku tych, co z powodu dużych, białych i włochatych liści Indianie nazywają dźwięcznie tusahga_mangaf_mahf.

- Hengh! Tam! - powiedział przywódca Indian Wron, wskazując na drzewo.

- Howgh! - skinął głową

Winnetou i pogalopował w stronę lipy.

Reszta podążała także ku miejscu, w którym miał się odbyć pojedynek. Dojechawszy tam, wszyscy zeskoczyli z koni.

Zwierzęta puszczono wolno i jeźdźcy zalegli kołem. Gdby zjawił się tutaj ktoś obcy, nie pomyślałby, że siedzą tu tak

blisko naprzeciw siebie wrogowie, zwłaszcza że Upsarokowie mieli przy sobie broń, bowiem Old Shatterhand postępując po rycersku nie zażądał jej oddania.

Myśliwy wyjął z torby siodła nieco tytoniu, zdjął z szyi fajkę i nabił ją. Potem stanął w środku koła i zaczął:

- Wojownik nie lubi słów, lecz czyny. Nie zabiliśmy waszych wojowników, mimo że życie ich znajdowało się w naszych rękach. Wyzwali oni nas na muh_mohwę, i myśmy to wyzwanie przyjęli. Oczekujemy, że tak jak my

wobec nich nie będą oni postępować wobec nas podstępnie ani skrycie. I przyrzekną nam to wypalając z nami fajkę przysięgi. Howgh! Skończyłem! Usiadł. W odpowiedzi wstał Dzielny, Który Szuka Leków i rzekł:

- Zgadząmy się na to, o czym mówi biały człowiek. Nie musimy działać podstępnie, gdyż to my zwyciężymy, ale zapomniał on ustalić warunki walki. Wojownicy - ciągnął z małą przerwą dalej - zostaną za jedną rękę przywiązani do drzewa, a do drugiej dostaną nóż. Ten kto upadnie, jest pokonany, martwy albo żywy. Czterech mężczyzn walczy z obnażoną górną częścią ciała, po dwóch, ja z tą oto bladą twarzą i jeden z moich ludzi z jednym z czerwonoskórych. Jeśli zwycięzcy będą należeć do dwóch przeciwnych obozów, będą musieli ze sobą walczyć. Do towarzyszy zwycięzcy należeć będzie całe mienie strony pokonanej i każdy ze strony pokonanej musi się poddać śmierci. Dla przypiecztowania tych warunków wojownicy Upsaroków gotowi są wypalić fajkę przysięgi. Howgh! Skończyłem! Z tymi słowami usiadł. Old Shatterhand wszedł ponownie do środka koła i oznajmił:

- Zgadząm się na wszystkie warunki Upsaroków. Zapalę obecnie fajkę pokoju. Dziś będzie ona fajką przysięgi, a dym jej uniesie dusze pokonanych do Krainy Wiecznych Łowów, aby tam usługiwać duszom zwycięzców. Na znak aprobaty rozległo się wokół:

- Howgh, howgh!

Old Shatterhand wyjął zapałkę i przyłożył ją do tytoniu. Wypuścił z niej dym w kierunku nieba, ziemi, we wszystkie strony świata i podał fajkę przywódcy Upsaroków. Czerwonoskóry uczynił to samo i oznajmił, że tym samym przypiecztowano umowę przysięgą.

Pozostali wojownicy zaciągali się kolejno, uczestnicząc w ten sposób w przysiędze. Następnie w pewnej odległości fajkę zatknięto ustnikiem w ziemi i wszyscy złożyli przy niej broń. Do pilnowania jej wyznaczono po jednym Upsarocem i jednym Szoszonie.

Do drzewa podszedł teraz bezimienny, pewny swego zwycięstwa, obnażył się do połowy i zawołał:

- Możemy zaczynać! Zanim słońce przesunie się ku zachodowi o szerokość grzbietu noża, skalp białego psa zawisnie u mego pasa! Teraz dopiero można było zobaczyć, jak niezwykle silny musiał być ten człowiek. Miał on istotnie mięśnie niedźwiedzia.

Czerwonoskóry dał znak jednemu ze swoich ludzi. W odpowiedzi na to wskazany wojownik obnażył górną część ciała i rzekł:

- Jestem Wakin_opawinge_akide,
Stokrotny Piorun. Ze skóry moich wrogów zrobiłem sobie tarczę i zdjąłem już ponad czterdzieści skalpów. Kto odważy się podejść pod mój nóż?

- Wokkadeh uciszy Stokrotnego
Pioruna. Nie szczyli się on
żadnym skalpem, ale zabił
białego bawołu i dzisiaj

przyozdobi swój pas pierwszym skalpem. Nikt się nie boi Pioruna! Jest on bowiem nikczemnym pacholkiem błyskawicy i głos jego podnosi się dopiero wtedy, kiedy minęło niebezpieczeństwo!

- Uff, uff! - rozległo się dokoła.

- Odejdź! - szydził Stokrotny

Piorun. - Wakin_opawinge_akide nie walczy z dzieckiem. Zabiłby cię jego oddech. Niech Wokkadeh położy się w trawie i śni o matce, która nakarmi go kamasem! Pogardzani nawet przez czerwonoskórych Indianie Grobownicy szukają na odludnych terenach, gdzie wiodą oni godny ubolewania żywot, cebulowatego korzenia, z którego w na wpół przegniłym stanie formuje się odrażające ciasto zwane ciastem kamasowym, którego nie chcą zjeść nawet psy. Zanim Wokkadeh zdążył na tę zniewagę odpowiedzieć, uprzedził go Winnetou. Dał on znak młodemu Indianinowi, aby się wycofał, co też chłopak z szacunku dla wodza niezwłocznie uczynił, ten zaś rzekł:

- Przechwałki

Wakin_opawinge_akidesa zmobilizowały do walki chłopca, który chyba z łatwością zmusiłby blagiera do milczenia. Postanowiono jednak, że to ja uciszę huk Pioruna. Na co Stokrotny Piorun wściekły zauważył:

- Kim jesteś, jeżeli tak mówisz? Jak cię nazywają? Na twoim ubiorze nie ma nawet śladu włosa po wrogu. Jeśli potrafisz grać na fujarce, to idź sobie grać! Nie powinieneś brać noża do ręki, bo sam się nim skaleczysz.

- Imię moje pozna twoja dusza, kiedy opuści ciało. Będzie wtedy skomleć z przerażenia i nie odważy się udać do Krainy Wiecznych Łowów. Zamieszka ona w szczelinach gór, aby ze strachu

wyć z wichrami i zawodzić w przestworzach!

- Psie! - zawołał Stokrotny

Piorun. - Śmiesz urągać duszy dzielnego wojownika! Poniesiesz karę natychmiast. Będziemy walczyć jako pierwsi, zaś skalp twój nie dostąpi zaszczytu, by zawisnąć obok innych moich trofeów, gdyż rzucę go szczerem, zaś imienia twego, którego wzbranasz się powiedzieć, nie usłyszy ucho żadnego wojownika!

- Zgoda, będziemy walczyć pierwsi! Zaczynamy! - odparł chłodno Winnetou.

Obaj się rozebrali i wzięli do ręki noże. Wokół lipy utworzył się szeroki krąg. Wzrok wszystkich obecnych oceniał badawczo postacie obu przeciwników. Upsaroka nie był wyższy, był natomiast szerszy w ramionach i silniej zbudowany od szczupłego Winnetou. Wrony przyjęły widok ten z zadowoleniem. Nie mieli oni oczywiście pojęcia, że mają przed sobą słynnego wodza Apaczów. Do drzewa podszedł teraz Gruby Jemmy. Podobnie jak każdy westman miał on przy sobie kilka rzemieni i trzymając je w dłoni, powiedział do Winnetou:

- Ma pan do dyspozycji towar pierwszej jakości, sir! Niech służy on panu jako zapowiedź dobrej wróżby, jeśli zostanie pan przywiązany do drzewa rzemieniem przyjaciela. Przedtem niechaj się wszyscy przekonają, że oba rzemienie są w tym samym stanie.

Rzemienie wędrowały z ręki do ręki i sprawdzano je dokładnie.

Teraz należało ustalić, który z tej dwójki zostanie przywiązany prawą, a który lewą ręką. Dwa różnej wielkości źdźbła trawy stanowiły losy. Winnetou wyciągnął krótszą trawę i znalazł się tym razem w korzystnej sytuacji, gdyż przywiązano mu prawą rękę

pozbawiając wolną na ogół nie wyćwiczoną lewą. Upsarokowie powitali takie zrządzenie losu wesołym:

- Awaszte! Bardzo dobrze!

Uczyniwszy z rzemieni pętle zaciągnięto je obu walczącym na przegubach rąk i luźno związane wokół pnia drzewa. Podczas muh_mohwy zdarza się, że przeciwnicy uganiają się wokół drzewa kwadrans albo i dłużej, zanim zostanie zadany pierwszy cios. Kiedy jednak pojawi się krew, zwykle walka staje się tak zacięta, iż kończy się ona wtedy bardzo szybko.

Walczący byli gotowi jeden z tej, drugi z tamtej strony drzewa.

Hobble Frank stanął jako wódz obok Grubego Jemmy.

- Panie Pfefferkorn, to jest sprawa, od której mi skóra cierpnie, gdyż chodzi tu o życie nie tylko tej dwójki, ale także nasze. Mam takie uczucie, jakby mi już teraz skalp zdejmował z głowy. Piękne dzięki za przyrzeczenie, że będziemy czekali cierpliwie na śmierć, jeśli obaj nasi mistrzowie zostaną pokonani!

- Pah! - odparł Jemmy. -

Wprawdzie i ja nie czuję się w tej roli najlepiej, ale myślę, że możemy polegać na Winnetou i Old Shatterhandzie.

- Może to i racja, bo Apacz jest tak spokojny, jak gdyby miał w ręce same atuty. Ale cicho! Stokrotny Piorun zaczyna mówić.

- Tahanadapi! Zbliź się! - wzywa Apacza. - Czy mam cię pogonić wokół drzewa, byś padł ze strachu martwy, zanim dotknie cię mój nóż?

Winnetou nie odpowiedział. Zwrócił się do Old Shatterhanda w języku Apaczów, którego przeciwnik nie rozumiał:

- Ilata szy ilsestehkhn.

Unieszkodliwię mu rękę.

Wtedy Old Shatterhand oznajmił

głośno wskazując na Winnetou:

- Nasz brat nie dopuszcza do swego serca myśli o popełnieniu mordu.

Pokona on wroga nie upuszczając mu ani kropli krwi.

- Uff, uff, uff! - wołali

Upsarokowie.

Stokrotny Piorun szydził jednak dalej:

- Wasz brat ze strachu zwariował. Trzeba mu skrócić mękę.

Zrobił krok do przodu, tak że pień drzewa już ich nie dzielił. Dzierząc mocno nóż w zaciśniętej dłoni, Upsaroka wpijał się wzrokiem jak u dzikiego zwierzęcia w Winnetou. Oblicze Apacza pozostało jednak niewzruszone, on zaś sam stał nieporuszony jak głaz.

Wakin_apawinge_akide pozwolił się zwieść. Doskoczył nagle do Winnetou, unosząc ramię do zadania śmiertelnego ciosu, ale Apacz zamiast się cofnąć, błyskawicznie natarł na niego i potężnym ciosem uderzył wroga pięścią w pachwinę pod ręką. Ta jednak śmiała, energiczna i udana obrona spowodowała, iż atak Upsaroki został odparty, on zaś sam wypuścił z ręki nóż.

Fortel Apacza, który odrzucił także swój nóż, wywołał krzyk przeciwnika.

Winnetou zwichnął mu bowiem rękę i w następnym momencie zadał cios rękojeścią w splot słoneczny, tak silny, iż Upsaroka runął z ręką przywiązaną do

drzewa, upadł na plecy. Upsaroka nie poruszył się przez moment i to wystarczyło Apaczowi, aby podnieść z ziemi nóż, nagłym cięciem przeciąć rzemień uwalniając się od drzewa i przyklęknąć na ciele wroga. Było to dla niego dziełem sekundy.

- Przyznajesz, że zostałeś pokonany - zapytał.

Przeciwnik nie odpowiedział. Oddychał z trudem z powodu otrzymanego ciosu, złości i śmiertelnego strachu.

Wszystko to działo się tak błyskawicznie, iż poszczególnych ruchów Apacza nie można było nawet rozróżnić. Siedzący wokół ludzie nie wydobyli z siebie głosu, kiedy zaś mały Saksończyk chciał krzyknąć radośnie „hurra”, Old Shatterhand ruchem ręki nakazał mu milczenie.

- Zadźgaj mnie! - wycedził przez zęby Upsaroka, rzucając na Apacza spojrzenie pełne palącej nienawiści i zamykając oczy.

Lecz Winnetou podniósł się, przeciął pokonanemu rzemień i powiedział:

- Wstań! Przyrzekłem, że cię nie zabiję, i słowa dotrzymuję.

- Nie chcę żyć, zostałem pokonany!

Wtedy podszedł do niego Oihtikeh_ejakutin_wakon i rozgniewany krzyknął:

- Wstawaj! Możesz żyć, bo twój skalp nie ma wartości dla zwycięzcy.

Zachowałeś się jak chłopiec, ale ja jestem jeszcze po to, aby za nas walczyć. To ja zwyciężę po dwakroć, kiedy zaś będziemy dzielili pomiędzy siebie skalpy wrogów, ty możesz iść na prerię do wilków i u nich zamieszkać. Zabrania ci się powrotu do wigwamu!

Stokrotny Piorun wstał i podniósł wytrącony mu z ręki nóż.

- Wielki Duch nie chciał, żebym zwyciężył. Do wilków nie pójdę. Mam tutaj nóż, którym mogę zakończyć życie, bowiem nie chcę, aby mi je ktoś darował, ale przedtem pragnę zobaczyć, czy ty potrafisz zwyciężyć! Odszedł wolno i usiadł niedaleko w trawie. Można było po nim poznać, że zamiar swój traktuje poważnie.

Żaden z jego towarzyszy na niego nie spojrział. Z tym większą nadzieją spoglądali na swego wodza, który potężnym ciałem oparł się o pień drzewa i wzywał Old Shatterhanda:

- Chodź losować!
- Nie będę losował - postanowił myśliwy. - Możecie mi przywiązać prawą rękę!
- Chcesz szybciej umrzeć?
- Nie, ale uważam, że twoja lewa ręka słabsza jest od prawej. Nie chcę być w sytuacji korzystniejszej niż ty, bo byłeś przecież raniony.
Old Shatterhand wskazał na lewe ramię czerwonoskórego, przez które biegła szeroka blizna. Przeciwnik nie mógł pojąć tej wielkoduszności. Mierzył białego wzrokiem pełnym zdziwienia i odparł:

- Chcesz mnie obrazić? Jeśli cię zabiję, to twoi ludzie mają może powiedzieć, że nie stałoby się to, gdybyś mi nie wyświadczył takiej łaski? Żądam losowania.
- Niech będzie. Losujemy.

Los rozstrzygnął zgodnie z wolą Old Shatterhanda, mianowicie na korzyść jego przeciwnika, któremu zaraz przywiązano lewą rękę. Po chwili obaj stali już naprzeciwko siebie; kto widział mięśnie olbrzyma tworzące wokół ramienia zwoje kłębów, mógł się obawiać o Old Shatterhanda, lecz on był tak samo opanowany jak przed chwilą Winnetou.

- Możesz zaczynać! - wyzwał go

Upsaroka. - Ty zadaj pierwszy cios. Trzy ciosy odeprę, ale potem padniesz za pierwszym zamachem.

Old Shatterhand roześmiał się krótko. Wbił swój nóż w pień lipy i odpowiedział:

- Rezygnuję z użycia broni, a mimo to padniesz przy pierwszym natarciu. Nie mamy czasu na zabawę, zatem miej się na baczności. Zaczynam!
Podniósł rękę, aby uderzyć, i skoczył ku przeciwnikowi. Czerwonoskóry dał się podstępnie zwieść i pchnął nożem. Biały zdołał się jednak błyskawicznie cofnąć i cios trafił w próżnię.

Old Shatterhand wykonał momentalnie ponowny ruch i jego pięść wylądowała na skroni przeciwnika. Olbrzym chwiał się przez moment i z głośnym hukiem zwałił na ziemię.

- Leży oto całym ciałem na ziemi! Kto więc zwyciężył?! - wołał Old Shatterhand.

Jeśli Upsarokowie po pokonaniu Stokrotnego Pioruna zachowywali się cicho, to teraz zaczęli tak przeraźliwie wyć, jak gdyby wycie to pochodziło ze zwierzęcych gardzieli. Druga gromada szalała z radości.

Old Shatterhand wyciągnął nóż z pnia i odciął się. Biali myśliwi podeszli ku niemu z gratulacjami. Również Szoszonowie wyrażali swój zachwyt dla obu

zwycięzców, ale mimo to usiłovali szybko zabrać swoją broń, aby uniemożliwić Upsarokom jakikolwiek zamiar oporu albo ucieczki. Oni przestali wyć, przeszli tam, gdzie siedział Stokrotny Piorun, i usiedli przy nim w milczeniu. Nawet ten, który stał przy złożonej broni, dołączył do nich, mimo że z łatwością mógł skoczyć na konia i zbiec.

Old Shatterhand ponownie podszedł do Dzielny, Który Szuka Leków, czerwonoskóry właśnie oprzytomniał. Otworzył oczy i zobaczył, że jego zwycięzca przecina rzemień. Upłynęło nieco czasu, zanim zdołał ocenić sytuację. Wreszcie podniósł się. Wpatrywał się teraz w Old Shatterhanda wzrokiem, którego nie da się opisać. Oczy wyłaziły mu z orbit, głos zaś miał ochryply, kiedy wykrztusił pytanie:

- Leżałem... na ziemi! To ty... mnie.... pokonałeś...

- Zgadza się! Czyż to nie ty ustaliłeś, że ten, kto całym ciałem zostanie powalony na ziemię, będzie uznany za pokonanego?
Czerwonoskóry przyglądał się

sobie. Czaił się w nim głęboki lęk.

- Ja przecież nie jestem ranny! - zawołał. - Powaliłeś mnie zatem gołą ręką?...

- Owszem - roześmiał się Old

Shatterhand. - Myślę, że nie weźmiesz mi tego za złe.

Upsaroka spojrział na swoich ludzi z wyrazem najgłębszej bezradności. Wreszcie surowe rysy jego twarzy nabrały wyrazu zdecydowanej rezygnacji.

- Lepiej byłoby, gdybyś mnie zabił - skarżył się. - Wielki Duch nas opuścił, bo ukradziono nam nasze leki. Nigdy nie udamy się do Krainy Wiecznych Łowów! Dlaczego nie poumieraly żony naszych ojców, zanim wydały nas na świat?!

Ten dumny i pewny zwycięstwa człowiek odszedł chwiejnym krokiem ku swoim, ale jeszcze raz odwrócił się z zapytaniem:

- Czy pozwolicie nam odśpiewać pieśń pożegnania, zanim nas uśmiercicie?

- Nim na to odpowiem, chcę ci zadać jedno pytanie. Chodź!

Old Shatterhand podszedł z nim do Upsaroków i wskazując im Stokrotnego Pioruna zapytał:

- Czy zamierzasz gniewać się jeszcze na tego wojownika?

- Nie. On nie mógł inaczej. To

Wielki Duch tak chciał, zgubiliśmy bowiem nasze leki.

- Odzyskacie je albo otrzymacie jeszcze lepsze.

Spojrzeni na niego jak jeden zdziwieni.

- Gdzie mamy je znaleźć? - pytał przywódca. - Tutaj, gdzie poniesiemy śmierć? Albo w Krainie Wiecznych Łowów, do której zresztą nie wejdziemy, gdyż teraz utracimy jeszcze nasze skalpy?

- Zachowajcie zarówno skalpy jak i życie. Zabilibyście nas, gdybyśmy zostali pokonani, ale zgodziliśmy się jedynie z pozoru na wasze warunki. Jesteśmy chrześcijanami i nikogo nie

mordujemy. Podnieście się! Zabierzcie waszą broń i wasze konie! Jesteście wolni i możecie się udać, gdzie wam się podoba!

Żaden z nich się nie poruszył, aby posłuchać wezwania.

- Mówisz to zapoczątkowując cierpienia, którymi chcesz nas torturować - odparł bezimienny.

- Zniesiemy wszystko i nie usłyszysz z ust naszych ani słowa skargi.

- Mylisz się. Mówię serio.

Upsarokowie i wojownicy

Szoszonów zakopali swoje wojenne topory. Sławny czarownik Upsaroków, Kanteh_pehta, jest naszym przyjacielem. Może on wraz ze swymi ludźmi wrócić spokojnie do swoich wigwamów.

- Uff! To ty mnie znasz?...

- Nie masz ucha, a tutaj spostrzegłem bliznę. Po tym cię poznałem.

- Skąd wiesz, że to mnie odróżnia?

- Od twego brata Szunktanti,

Wielkiego Psa, który mi o tobie opowiadał.

- Zatem znasz także jego?

- Owszem. Kiedyś się z nim spotkałem.

- Kiedy? Gdzie?

- Ubiegłego lata.

Rozstawaliśmy się przy Górze Żółwia.

Czarownik, który właśnie usiadł, skoczył na równe nogi. Rysy jego twarzy nabrały zupełnie innego wyrazu. Oczy straciły nieruchomy, posepny wygląd i rozbłyły nadzieją:

- Czyżby mnie twoje słowo lub moje ucho myliło?! - wykrzyknął.

- Jeżeli mówisz prawdę, to ty jesteś Nanpeh_tahan, którego biali zwą Old Shatterhand?

- Jestem nim w samej rzeczy.

Słyszając dźwięk tego imienia, wszyscy Upsarokowie podnieśli się z ziemi.

- Jeśli to ty jesteś owym sławnym wojownikiem - wołał przywódca - oznacza to, iż Wielki Duch jeszcze nas nie

opuścił! Tak, to ty musisz nim być, bo powaliłeś mnie pięścią. To żaden wstyd zostać pokonanym przez ciebie! Wolno mi zatem dalej żyć, gdyby to zrobił kto inny, nasze kobiety wskazywałyby na mnie palcami.

- I również Stokrotny Piorun, który jest dzielnym wojownikiem, nie potrzebuje się wstydić, gdyż wojownikiem, który go pokonał, jest wódz Apaczów, Winnetou.

Upsarokowie, ze wzrokiem istotnie pełnym szacunku szukali wodza Apaczów, Winnetou zbliżył się, podał Stokrotnemu Piorunowi rękę i rzekł:

- Mój czerwonoskóry brat palił ze mną fajkę przysięgi, teraz wypali on z nami również fajkę pokoju, gdyż wojownicy Upsaroków są naszymi przyjaciółmi. Howgh!

Stokrotny Piorun uściskał podaną mu dłoń i odparł:

- Klątwa Złego Ducha opuściła nas! Old Shatterhand i Winnetou są przyjaciółmi czerwonoskórych i nie zażądają od nas naszych skalpów!

- Nie zażądamy. Jesteście wolni - powtórzył Old Shatterhand dopiero co złożone przyrzeczenie.

- Wiemy także, kim są ludzie, którzy zrabowali wam leki. Jeżeli udacie się z nami, zaprowadzimy was do nich.

- Uff! Kim są ci złodzieje?

- Gromada Siuksów_Oglala, których celem są góry Yellowstone River. Wiadomość ta ogromnie wzburzyła ograbionych. Ich przywódca krzyczał ze złością:

- Były to zatem te psy

Oglalajowie! Hong_peh_te_keh, czyli Ciężki Mokasyn, ich wódz ongiś zranił mnie, odcinając mi ucho i nawet nie zdołałem się zemścić! Prosiłem Wielkiego Ducha, aby mnie naprowadził na jego trop, lecz moje życzenie nigdy się nie spełniło.

Zbliżył się obecnie Wohkadeh, który stojąc w pobliżu słyszał wszystko, i oznajmił:

- Znajdujesz się na jego tropie, gdyż Hong_peh_te_keh jest przywódcą Oglalajów, których ścigamy.

- Tak więc Wielki Duch oddaje go wreszcie w moje ręce; lecz kim jest ten młody czerwonoskóry wojownik, który chciał walczyć ze Stokrotnym Piorunem, a teraz ma taką dokładną wiadomość o Siuksach_Oglala?

- To Wohkadeh, dzielny syn

Numang_kake - wyjaśnił Old Shatterhand. - Został zmuszony przez Oglalajów do jazdy z nimi i był także przy tym, gdy kradli wam oni leki. Potem zbiegł od nich i bardzo nam pomógł.

- A czego chcą Siuksowie w górach Yellowstone River?

- Powiemy wam, kiedy rozpalimy ognisko. Naradzicie się wtedy, czy pojedziecie z nami.

- Jeśli znajdziecie się na tropie Oglalajów, aby z nimi walczyć, podążymy z wami. Niech moi bracia rozpalą ognisko obrad.

10. Sęp skalny

„Senat i Izba Reprezentantów Stanów Zjednoczonych postanawiają, że pas ziemi znajdujący się na terytoriach Montany i Wyomingu w pobliżu źródła Yellowstone River zostaje wyłączony spod osadnictwa, własności oraz sprzedaży i należy go traktować jako park publiczny albo miejsce wypoczynku dla dobra społeczeństwa. Kto wbrew tym ustaleniom tam się osiedli albo weźmie w swoje posiadanie chociażby część tego terenu, zostanie potraktowany jako osoba naruszająca przepisy ustawy i wysiedlony. Park należy oddać pod nadzór sekretarza do spraw wewnętrznych, który gdy tylko to będzie możliwe, wyda odpowiednie przepisy i zarządzenia niezbędne

do pielęgnacji i utrzymania parku”.

Tak brzmi treść ustawy uchwalonej przez Kongres Stanów Zjednoczonych 1 marca 1872 roku, na mocy której obywatele Stanów Zjednoczonych otrzymali prezent, o którego rozmiarach nikt jeszcze wówczas nie miał pojęcia.

O wspomnianym pasie ziemi, zwanym dziś Parkiem Narodowym Stanów Zjednoczonych, krążyły w owym czasie we wschodnich stanach najbardziej dziwaczne domysły. Okolica ta owiana najgłębszą tajemnicą, znana była wyłącznie najdzikszy Indianom; częściowo zwiedzał ją jeden ze śmiałych, samotnych traperów i to, co opowiadał, upiększano fantazją i puszczano w dalszy obieg. Płonące prerie i góry, wrzące źródła, wulkany wyrzucające płynny metal, jeziora i rzeki wypełnione olejem miast wodą, miały tam być również skamieniałe lasy ze skamieniałymi Indianami i zwierzętami.

Dopiero profesor Hayden poprowadził pierwszą naukową ekspedycję w ową cudowną okolicę, przywiózł dokładne informacje i mógł o niej powiedzieć rzeczy wręcz nieprawdopodobne. Jemu zawdzięcza się uchwalenie wspomnianej wyżej ustawy.

Park Narodowy zajmuje obszar o powierzchni 8671 kilometrów kwadratowych. W nim mają swoje źródła rzeki: Yellowstone, Gallatin, Madison i Wężowa. Przecinają go potężne masywy górskie. Czyste i rześkie powietrze owiewa szczyty, zaś setki zimnych i gorących, różnorodnych pod względem chemicznego składu źródeł przywraca swoją cudowną mocą chorym zdrowie i regeneruje spadek życiowej energii.

Gejzery, którym nie dorównują
gejzery Islandii, wyrzucają
strumienie wody na kilkaset stóp

w górę. Góry, całe z naturalnego szkła, mieniające się wszystkimi barwami, lśnią w promieniach słońca. Wąwozy, które w żadnej innej okolicy nie wyglądają tak groźnie jak tutaj, zdają się wyżłobione po to, aby nam umożliwić wgląd we wnętrzości ziemi. Powierzchnia ziemi tworzy pęcherze, które się wznoszą i opadają. Wydaje się ona niekiedy nie grubsza nad cal, tak że jeździec tylko z trudem może zachęcić przerażonego konia, aby jechał dalej. Otwierają się olbrzymie dziury wypełnione wrzącą mazią, która się powoli wznosi i opada. Niemożliwością jest iść tutaj chociażby przez kwadrans nie natknąwszy się na jakiś godny uwagi cud natury. Gejzerów i gorących źródeł istnieje przecież ponad dwa tysiące. Podczas kiedy w jednym miejscu wypływa z ziemi wrząca woda, nie opodal perli się jasne, zimne źródło. Dobre i złe duchy, anioły i diabły zdają się toczyć z sobą pod powierzchnią ziemi boje. Zdumiewają nas zjawiska podniosłe, i cofamy się przed zjawiskiem, które o kilka kroków dalej wywołuje w nas grozę. W jednym miejscu podziwiamy

zdrój, który tryska na wysokość stu metrów po ścianach kanionu, idąc zaś dalej stąpamy po zypiskach karneoli, agatów, chalcedonów, opali i innych półszlachetnych kamieni.

Zaś pośród gór drzemią wspaniałe jeziora. Największe i najpiękniejsze jest Yellowstone, po jeziorze Titikaka najwyżej na świecie położone wielkie jezioro. Znajduje się ono około 2400 metrów nad poziomem morza.

Jego woda zawiera bardzo dużo siarki. W głębokich zatokach jeziora buszują ogromne pstrągi, których mięso ma osobliwy, lecz bardzo dobry smak. Lasy obfitują w grubą zwierzynę, łosie i niedźwiedzie. Nad brzegami tryskają niezliczone gorące

źródła, których opary wydobywają się z podziemi z głośnym i przeraźliwym gwizdem niczym z zaworów lokomotywy.

Trwożnemu człowiekowi bardzo łatwo przychodzi w takiej sytuacji ochota do odwrotu. Potęgi pracujące nieustannie we wnętrzu ziemi dają się dotkliwie we znaki. Zdaje się, że w następnej chwili cały ten okazały obszar albo się zapadnie, albo też uniesie się ponad wierzchołki Gór Skalistych jako potężny, zionący ogniem krater. W miejscu, w którym rzeka Yellowstone wypływa z jeziora o tej samej nazwie, a jego brzeg ciągnie się na południowy zachód do miejsca będącego ujściem Bridge Creek, płonęło kilka ognisk. Rozpalono je dlatego, że nastąpiła ciemność, a nie do przygotowania kolacji. W tej mierze natura okazała się również spolegliwie przezorna.

Duże pstrągi złowione w zimnej wodzie jeziora gotowano w gorącej wodzie, która kilka metrów dalej wrzała w ziemi. Mały Saksończyk dumny był z tego, że po południu ustrzelił dziką owcę. Z tej racji można było przyrządzić posiłek z mięsa baraniego, a na deser uraczyć się pstrągami. Gorące źródło było tak małe, że w sam raz służyło jako garnek, natomiast odpływająca woda miała dzięki temu tak korzenny smak, iż czerpano ją skórzanymi kubkami i pito z apetytem.

Całe towarzystwo przeprawiło się przez rzeki Yellowstone i Pelikan i nazajutrz przed południem chciało udać się przez Bridge Creek na zachód nad rzekę zwaną Firehole. W pobliżu celu czynny był gejzer zwany przez Indian koso_tip_tupa, to jest Puszcza Piekła, zaś sam cel dalekiej wyprawy, to jest grób wodzów, znajdował się opodal.

Droga do obecnego miejsca

postoiu trwała o wiele krócej, niż przewidywano. Do pełni księżyca brakowało jeszcze trzech dni i Old Shatterhand był przeświadczony, że Siuksowie_Oglalajowie jeszcze nie zdołali tutaj przybyć. W rozmowie powiedział:

- Mogli oni zaledwie dotrzeć do rancza Botelera, jesteście tu bezpieczni.

Palcie ogniska, dopóki księżyc nie wyjdzie zza gór! Innych ludzkich istot oprócz Siuksów nie należy oczekiwać. Więc nie mamy się czego obawiać.

- A jak wygląda droga od rancza Botelera w górę, sir? - zapytał Martin Baumann. - Słyszałem, że jest ona bardzo niebezpieczna.

- Tego nie twierdę.

Oczywiście, że należy się trzymać w pewnej odległości od gejzerów, a także unikać takich miejsc, gdzie skorupa ziemska jest tak cienka, że przy stąpieniu może pęknąć. Od rancza Botelera pojedą pod górę doliną Yellowstone obok wygasłych wulkanów. Po czterech, pięciu godzinach przybędą do Dolnego Kanionu, długiego na pół mili, który wrzyna się w kraniec chyba ze trzysta metrów głęboko. Po następnych pięciu godzinach napotkają górę, z której szczytu opadają dwie równoległe na dziewięćset metrów wysokie ściany skalne, zaś górę tę nazywają Zjeżdżalnią Diabła. Trzy godziny później dojadą do ujścia rzeki Gardiner, i będą się posuwać wzdłuż niej w górę, gdyż dalsza jazda wzdłuż Yellowstone River jest niemożliwa. Miną potem Góry Washburn oraz rzeczkę Kaskadę, która znów doprowadzi ich do Yellowstone, do której wpada pomiędzy górnymi i dolnymi jej progami. Znajdą się na południowym krańcu Wielkiego Kanionu stanowiącym chyba najcudowniejszy jego fragment.

- Czy widział pan ten cud, sir? - pytał Gruby Jemmy.

- Tak. Grand Canyon liczy ponad pięćdziesiąt kilometrów długości i ponad tysiąc metrów głębokości. Ściany jego opadają wręcz pionowo i tylko człowiek nie cierpiący na zawroty głowy może się odważyć, by podpełznąć na sam skraj i spojrzeć w tę straszną głębię, w której rzeka szerokości sześćdziesięciu metrów wygląda jak cienka nitka. A przecież to właśnie ta nitka w ciągu tysiącleci wgryzła się aż tak bardzo w skały. Fale pędzą wzdłuż masywnych ścian skalnych z zastraszającą prędkością. Na górze tego huku nie słysząc. Żaden śmiertelnik nie zjeździe w dół, a gdyby mu się to nawet udało, przecież nie wytrzymałby tam długo. Woda w rzece jest ciepła, wygląda jak oliwa, ma wstrętny smak siarki i ałunu i cuchnie nie do zniesienia. Idąc wzdłuż Kanionu na północ, dociera się do dolnych wodospadów, których wody spadają sponad stumetrowej wysokości. Po dalszym kwadransie wędrówki w kierunku

południowym strumieniu wody spadają znów ponad trzydzieści metrów w dół. Licząc od górnych wodospadów aż dotąd, jeździec na przebycie drogi potrzebuje około dziewięciu godzin. A zatem od rancza Botelera są to dwa dni konnej jazdy, o które wyprzedzamy Siuksów_Oglalę. Obliczenie to nie jest dokładne, lecz kilka godzin więcej albo mniej nie ma tu większego znaczenia. Wystarczy nam wiedzieć, że nasi wrogowie nie mogą tu jeszcze być.

- A gdzie będą się oni znajdowali jutro o tej porze, sir? - pytał Martin Baumann.

- Przy górnym wylocie kanionu, a dlaczego pan się tak dokładnie wypytuje?

- Właściwie tak sobie, ale rozumie mnie pan chyba, że myślę o ojcu. Kto wie, czy on jeszcze

żyje...

- Jestem tego pewien.

- Siuksowie mogli go przecież zabić.

- Niech się pan nie zadręcza.

Oglalajowie pragną przywieźć swoich jeńców do grobu wodzów i tak też uczynią. Może pan w to wierzyć. Siuksom nie przyjdzie do głowy, aby przewidziane dla nich męczarnie skrócić i zabić ofiary wcześniej.

Odszedł na bok, gdzie spał już Winnetou, owinął się jego kocem i położył się przy czerwonoskórym przyjacielu. Reszta siedziała jeszcze rozmawiając szeptem.

- Jest mi właściwie diabelnie głupio, że chcemy oszukać tego dzielnego człowieka - powiedział Jemmy cicho.

- Ale ten mały łowca niedźwiedzi tak pięknie potrafi prosić, że stary, gruby szop precz stracił dla niego serce i rozum. W tym tylko nadzieja, że cała ta sprawa dobrze się skończy!

- Ja ostrzegałem od początku - mruczał Davy - i nadal ostrzegam!

- Ale pomyśl, mój drogi Davy - włączył się Martin - że dla mnie jest to absolutnie niemożliwe, aby czekać jeszcze całe trzy dni! Umrę z obawy o ojca.

- Old Shatterhand wyjaśnił przecież panu, że jeńcy na pewno żyją!

- Mógł się pomylić. Czy zapomnieliście o tym, że pan i Jemmy byliście pierwszymi, którzy ofiarowali mu swoją pomoc? A teraz nie mogę już na was polegać.

- Zounds! Jest to niesłuszny zarzut. Z sympatii dla pana zrodziło się moje przyrzeczenie i nie zgadzam się na zarzut, że go nie dotrzymuję. Jadę zatem z tobą pod jednym wszakże warunkiem.

- Słucham! Spełnię go, jeśli to tylko będzie możliwe.

- Będziemy śledzić

Siuksów_Oglala tylko po to, aby sprawdzić, czy pański ojciec jeszcze żyje, ale na własną rękę nie będziemy próbować go uwolnić!

- Zgadzam się.

- Pięknie! Mogę sobie wyobrazić, co się dzieje w twoim sercu. To mnie starego wzrusza i dlatego będę ci towarzyszył, ale kiedy tylko zobaczymy, że twój ojciec żyje, zawrócimy i podążymy za swoimi.

- Oczywiście, że jutro rano będą się wszyscy niepokoić naszym zniknięciem, ale myślę, że Murzyn wykona polecenie - powiedział Jemmy. - Teraz jednak cisza, aby nie wzbudzić podejrzeń! Wschodzi księżyc. Zgaśmy ognisko i połóżmy się w cieniu pod drzewami, aby nikt nie spostrzegł za szybko naszego zniknięcia.

- Dobrze, że świeci miesiąc - stwierdził Hobble Frank - przynajmniej odnajdziemy właściwą drogę.

- Wyraźnie nam ją wskazał, wciąż z biegiem rzeki. Z jednej strony przykro mi, że musimy zawieść naszych towarzyszy, z drugiej: nic to im nie zaszkodzi. Przedtem mieliśmy coś do powiedzenia, teraz jednak przywódcami zostali Old Shatterhand i Winnetou. Jemmy i Davy są tylko mimochodem pytani o zdanie. Nadszedł właściwie czas, aby im okazać, żeśmy westmani, potrafimy ułożyć plan i wykonać go.

Wygaszono ognisko. Pogasły również ognie, przy których siedzieli Indianie. Dookoła panowała cisza. Tylko w regularnych odstępach czasu słychać było przenikliwy gwizd oparów uchodzących z wnętrza ziemi.

Minęła więcej niż godzina, kiedy zaczął się ostrożny ruch pod drzewami, pod którymi rozłożyli się Frank, Jemmy, Davy, Martin i Wohkadeh.

- Niech moi bracia się

przygotują - szepnął młody Indianin. - Bo już czas.

Zabrali broń oraz inne rzeczy i cicho skradali się pod drzewami do koni. Wohkadeh bystrym wzrokiem szybko odróżnił każdego konia. Nie odbyło się oczywiście bez lekkiego szmeru, dlatego kiedy wszystkie konie mieli już przy sobie, przeczekali nasłuchując jeszcze chwilę, aby zorientować się, czy ich nie zauważono. Po

sprawdzeniu, że wszyscy śpią nadal spokojnie, oddalili się z końmi, trawa tłumiła odgłos kopyt.

Oczywiście, że nie udało im się wymknąć tak, aby ich nie zauważono. Mimo że wykluczona została bliska obecność wroga, rozstawiono przecież kilka wart, które od czasu do czasu się zmieniały. W nocy było to niezbędne chociażby ze względu na obecność dzikich zwierząt w lesie. Musieli minąć jedną z takich wart.

Pełnił ją jeden z Szoszonów. Słyszał ich, gdy się zbliżali, wiedział jednak, że idący od strony obozowiska muszą być swoimi ludźmi i dlatego nie wszczynał hałasu. Promień księżyca przyświecający przez pojedyncze gałęzie pozwolił mu poznać, kto zasz.

- Co moi bracia zamierzają? - zapytał.

- Mów ciszej, aby nie zbudzić nikogo ze śpiących - odparł Jemmy. - Wysłała nas Old Shatterhand. On też wie, dokąd idziemy. Czy to ci wystarczy?

- Moi biali bracia są naszymi przyjaciółmi. Nie wolno mi przeszkadzać w wykonaniu rozkazów wielkiego wojownika.

Szli więc dalej. Gdy oddalili się od obozu, tak że nie mógł ich już zdradzić tętent kopyt, dosiedli koni, wyszukali nie porośnięty brzeg jeziora, aby jadąc kłusem wzdłuż wody dotrzeć do miejsca, w którym wypływa z

niego Yellowstone River, i podążyć wraz z nią w kierunku na północ.

Szoszon uznał ów przypadek za tak naturalny, iż wcale nie uznał za konieczne, aby powiadomić o tym swojego zmiennika na posterunku. Dzięki temu wyjazd śmiałych albo raczej lekkomyślnych zbiegów pozostał nie zauważony do czasu, aż zaczął szarzyć dzień.

O tej wczesnej porze zamierzano wyruszyć w drogę, dlatego kiedy rozległy się wśród gałęzi pierwsze trele ptaków, wszyscy wstali ze swych legowisk. Wtedy to wykryto brak całej piątki. Natychmiast przekonano się, że opuścili oni obóz konno. Teraz dopiero Szoszon, który wczoraj wieczorem stał na warcie, powiedział Old Shatterhandowi, co mu mówił Jemmy.

Winnetou stał obok i mimo bystrości swego umysłu nie mógł odgadnąć zamiaru, jaki przyświecał oddalającej się ukradkiem piątce.

- Z pewnością pojechali naprzeciw Siuksom_Oglala - wyjaśnił mu Old Shatterhand.

- Stracili rozum! - wściekł się Apacz. - Nie tylko narażają się na niebezpieczeństwo, ale zdradzają również naszą obecność. A dlaczego właściwie chcą oni spotkać Siuksów?

- Aby sprawdzić, czy żyje jeszcze Łowca Niedźwiedzi.

- Jeśli jest nieżywy, wówczas życia mu przecież nie przywrócą, jeśli natomiast jeszcze żyje, ściągną na niego nieszczęście. Winnetou może ten błąd wybaczyć obu odważnym chłopcom, natomiast trzech starych myśliwych należałoby przywiązać do pala na pośmiewisko kobiet i dzieci!

Zjawił się również Murzyn Bob. Woń skunksa ciągle jeszcze była wyczuwalna, tak że raczej trzymał się od niego z daleka.

Okrywał się on wciąż starą

końską derką, którą podarował mu Długi Davy. Nocą, kiedy robiło się chłodno, owijał się futrem z niedźwiedzia zabitego przez Martina Baumanna.

- Massa Shatterhand szukać massa Martin?

- Owszem. Możesz coś na ten temat powiedzieć?

- O, masser Bob być bardzo mądry! On wiedzieć, gdzie być massa Martin.

- A więc on?

- On pojechać do

Siuksów_Oglala zobaczyć uwięzionego massa Baumanna. Massa Martin wszystko powiedzieć masser Bob, aby masser Bob wszystko powtórzyć massa Shatterhand.

- Jest zatem tak, jak myślałem! - skinął głową Old Shatterhand. - Kiedy chcą wrócić?

- Gdy tylko oni zobaczyć massa

Baumann, wtedy przyjechać za nami nad rzekę Firehole. Masser Bob nic więcej nie wiedzieć.

- Twój kochany massa Martin zrobił głupstwo. Ryzykuje życiem!

- Co?! Massa Martin ryzykować życiem?! A więc masser Bob wsiąść zaraz na koń i pojechać go ratować!

- Podobnie jak zabiłeś niedźwiedzia wdrapując się ze strachu na brzoźkę.

- Oglalajowie nie być niedźwiedziem. Masser Bob nie obawiać się

Oglalajów!

Wygrażał wielkimi pięściami, jak gdyby miał udusić dziesięciu Oglalajów na raz.

- Dobrze, dobrze, jeśli tak kochasz swojego młodego pana, będziesz mógł to udowodnić. Za parę minut bądź gotów do drogi wraz z nami!

Zaś do Winnetou, obok którego stał teraz czarownik Upsaroków oraz wódz Szoszonów wraz z synem Moh_awem, powiedział:

- Mój brat pojedzie dalej i będzie mnie oczekiwał przy Koso_tip_tupa, to jest przy

Puszczy Piekła. Natomiast ze mną pojedzie owych piętnastu Upsaroków ze swoim czarownikiem oraz Moh_aw z piętnastoma wojownikami Szoszonów. Musimy dogonić naszą nazbyt śmiałą piątkę, aby ich ratować, gdyby znajdowali się w niebezpieczeństwie. Nie mogę teraz określić, z której strony przybędę do Puszczy Piekła. Może się zatem zdarzyć, że Siuksowie znajdą się wcześniej przy grobie wodzów niż ja z moimi wojownikami.

Kilka minut później Old Shatterhand galopował z towarzyszącymi mu ludźmi w tym samym kierunku, w jakim wczoraj wieczór lekkomyślna piątka opuściła obóz.

Zrozumiałe, że zbiegowie uzyskali nad nim znaczną przewagę. Posuwali się wprawdzie, z uwagi na nocne ciemności i nieznaną okolicę, powoli, lecz mimo to z nastaniem dnia jezioro Yellowstone znajdowało się w znacznej odległości za nimi i teraz mogli popuścić koniom cugli.

Osobliwy i wspaniały był widok rzeki i jej brzegów. Dolina jawiła się najpierw przestronna z urozmaiconą linią brzegów. Wkrótce jednak wzgórza zaczęły łagodnie opadać ku brzegom, ale zaraz potem sięgnąć pionowo ku niebu, a wszędzie wokół dawały o sobie znać działania podziemnych mocy.

W zamierzchłych czasach górską ta okolica była jeziorem o powierzchni wielu tysięcy kilometrów kwadratowych, pod którego wodami zaczęły później działać wulkany. Podniosło się dno jeziora, popękało, a ze szczelin tryskała rozżarzona lava, która w chłodnej wodzie jeziora zakrzepła w bazalt.

Pootwierały się potężne
kratery. Wyrzucały one potężne
kamienie zespolone z innymi

minerałami, tworzące grunt, na którym liczne gorące źródła mineralne odkładały swoje osady. Wreszcie ogromne masy gazów podziemnych z niezmierną siłą podniosły w górę całe dno jeziora, a jego wody spływały, żłobiąc głęboko i splukując ziemię i miękkie skamieliny. Zimno i ciepło, burze i deszcze wyrwały i znosiły

wszystko, co nie zdołało im się oprzeć, ostały się jedynie twarde, zakrzepłe słupy lawy.

W ten sposób woda złościła ziemię pochłaniając wszelką miękkość, wyplukiwała skały coraz głębiej i głębiej, tworząc wspaniałe kaniony i wodospady, cudowne zjawiska Parku Narodowego.

I tak sterczą w niebo wulkaniczne brzegi, postrzępione i spękane, wyplukiwane przez deszcze i tworzące kształty, jakich nie wymyśliłaby najśmielsza fantazja. Zdaje się, że widzimy ruiny starego zamku rycerskiego. Można dostrzec puste oczodoły okien, wieżę strażniczą i miejsce, w którym most zwodzony łączy brzegi fosy. Niedaleko od zamku wyrastają smukłe minarety. Za chwilę pojawi się za balustradą muezin nawołujący wiernych do modlitwy. Naprzeciwko otwiera się rzymski amfiteatr, w którym ongiś zmagali się z dzikimi zwierzętami chrześcijańscy niewolnicy. Opodal piętrzy się w śmiałych kształtach chińska pagoda, zaś posuwając się dalej z biegiem rzeki napotykamy wysoką na sto metrów postać zwierzęcia, tak masywną, jak gdyby jakaś przedpotopowa społeczność wzniosła ją w hołdzie swojemu bożkowi.

Wszystko to jest złudzeniem.

Wulkaniczne erupcje nagromadziły
masę uformowaną przez wodę w
takie oto kształty. Natomiast
człowiek, który patrzy na owe
osobliwe wytwory sił przyrody,

czuje się jak nic nie znaczący robak ginący w pyle, i zapomina o wszelkiej dumie. Tam gdzie rzeka sporym łukiem zmierza na zachód pojawiły się na powierzchni liczne gorące źródła, z których woda tworzy okazałą rzeczka wpadającą pomiędzy wysokimi skałami do Yellowstone. Wydawało się, iż od tego miejsca dalsza jazda wzdłuż brzegu Yellowstone nie jest możliwa i dlatego pięciu zbiegów skierowało się w lewo, aby podążyć teraz w ślad za biegiem gorącej rzeczki.

Nie było tu ani drzew, ani krzewów. Wszelka roślinność wymarła. Gorąca ciecz sprawiała wrażenie brudnej i cuchnęła zgniłymi jajkami. Prawie nie do zniesienia. Poprawa nastąpiła po wielogodzinnej uciążliwej jeździe, kiedy znaleźli się wyżej. Płynęła teraz tutaj klarowna, świeża woda i wkrótce pojawiły się krzewy, a nawet drzewa.

O prawdziwej drodze nie było tu oczywiście mowy. Konie potykały się często na dłuższych odcinkach pośród skalnych zwalisk, które wyglądały, jak gdyby z nieba runęła jakaś góra i rozbiła się na dole na kawałki. Owe rumowiska tworzyły często wspaniałe widoki i pięciu naszych jeźdźców niekiedy przystawało, aby wymienić o nich swoje uwagi. Upływał przy tym czas i nastąpiło południe, kiedy mieli za sobą dopiero połowę drogi.

Nagle spostrzegli z daleka okazały dom. Zdawało się, iż jest to w stylu włoskim zbudowana willa, do której przylega otoczony wysokim murem ogród. Zdumiona tym widokiem cała piątka przystanąła.

- Dom mieszkalny tu nad

Yellowstone! To jest absolutnie niemożliwe! - wołał Jemmy.

- Dlaczego niemożliwe? - pytał

Frank. - Przypatrzcie się tylko

dokładniej! Czyż tam przed bramą nie stoi jakiś człowiek?

- Oczywiście. Przynajmniej tak się wydaje... Teraz zniknął. Chyba to był cień.

- Hm? Tam gdzie istnieje cień człowieka, niechybnie musi być również człowiek, który ów cień rzuca. A jeśli cień zniknął, to albo zniknęło słońce, albo zniknął ten, który cień rzucał. Słońce jednak świeci dalej, zniknął zatem facet. Gdzie, zaraz to zobaczymy.

Zbliżyli się szybko ku owej budowli i wtedy oczywiście zobaczyli, że nie stworzyły jej ludzkie ręce, a była ona jedynie wytworem przyrody.

Domniemane mury tworzył oślepiająco biały szpat polny. Mnóstwo otworów można było z daleka łatwo uznać za okna. Istniały również wysokie wierzeje, a przez nie widać było coś w rodzaju dziedzińca podzielonego naturalnymi ścianami skalnymi na wiele nierównych segmentów. Pośrodku dziedzińca tryskał źródł, zaś jego czysta, zimna woda wypływała wprost przez bramę.

- Wspaniale! - przyznał Jemmy.

- To miejsce nadaje się doskonale na południowy odpoczynek. Wejdziemy?

- Jak chcecie - odpowiedział

Frank. - Nie wiemy przecież, czy facet, który tu mieszka, nie jest złym człowiekiem.

- Shaw! Pomyliliśmy się. Nie może tu być mowy o żadnym człowieku. Poza tym pojedę przedtem na zwiady.

Jemmy ruszył do bramy z gotową do strzału strzelbą i rozglądał się po dziedzińcu. Potem odwrócił się i kiwnął.

- Chodźcie! Nie ma tu żywej duszy.

- Mam nadzieję - odparł Frank.

- Niechętnie się odnoszę do dusz, które pałętają się po ziemi.

Davy, Martin i Frank

posłuchali Jemmiego. Wohkadeh natomiast przezornie nie pospieszył wraz z nimi.

- Dlaczego mój czerwonoskóry brat nie jedzie z nami? - spytał syn Łowcy Niedźwiedzi.

Indianin wciągał powoli przez nozdrza powietrze i odparł:

- Czy moi bracia nie zauważyli, że czuć tutaj obecność koni?

- Oczywiście. Mamy przecież konie.

- Zapach ten dolatywał od wrót, kiedy jeszcze staliśmy przed nimi.

- Nie widać tu ani zwierzęcia, ani człowieka, nie ma również śladu po nich.

- Dlatego że grunt jest tutaj kamienisty. Niech moi bracia będą ostrożni!

- Nie ma powodu do jakichkolwiek obaw - oznajmił Jemmy. - Chodźcie, spenetrujemy najpierw tyły!

Zamiast pozwolić mu to zrobić samemu i zapewnić sobie odwrót, podążyli za nim jadąc ciasno jeden przy drugim ku położonym na tyłach segmentom.

Nagle rozległo się wycie, jakby co najmniej zatrzęsła się ziemia, Gromada Indian wyskoczyła z zaplecza i w mig otoczyła czwórkę nieostrożnych.

Wysoki, chudy, lecz żylasty wojownik, z wystrojem głowy wyróżniającym wodza, zawołał do białych łamaną angielszczyzną:

- Poddajcie się, inaczej stracie wasze skalpy!

Zaskoczeni zorientowali się, iż jakikolwiek opór może działać jedynie na ich niekorzyść.

- Do diabła! - wykrztusił z siebie Jemmy po niemiecku. - Sami wpadliśmy im w ręce. To przecież Siuksowie, w każdym razie ci sami, których mieliśmy zamiar śledzić - i zwracając się do wodza, ciągnął po angielsku:

- Mamy się poddać? Przecież nic wam nie zrobiliśmy. Jesteśmy przyjaciółmi czerwonoskórych.

- Topór wojenny Siuksów_Oglala wymierzony jest przeciwko wszystkim bladym twarzom - odparł czerwonoskóry. - Zsiadajcie z koni i oddajcie broń! Nie będziemy czekać.

Pięćdziesiąt par oczu wpatrywało się groźnie w białych, dłonie zaciskały się na rękojeściach noży. Długi Davy jako pierwszy zsiadł ze swego muła.

- Róbcie, co on każe! - polecił swoim towarzyszom. - Musimy zyskać na czasie. Nasi przybędą z całą pewnością, aby nas uwolnić. Pozostali zsiadli więc także i oddali broń.

Wohkadeh, jak już wspomniano, nie wjechał wraz z nimi. Pozostając na zewnątrz widział, jak jego towarzyszy okrążono. Natychmiast dał susa z koniem w bok, aby nie zostać spostrzeżonym przez wejściowy otwór. Potem zeskoczył z konia, położył się na ziemi, i wysunął głowę, tak że mógł dostrzec, co się na dziedzińcu dzieje.

To zaś, co zobaczył, przeraziło go, bowiem wodzem Indian był Hong_peh_te_keh, Ciężki Mokasyn, przywódca Siuksów_Oglala, od których zbiegł. Co miał teraz uczynić? Wracać szybko nad jezioro, aby ściągnąć tu Old Shatterhanda i całą resztę? O nie! Nawiedziła go śmiała myśl. Wohkadeh dosiadł konia i niby nigdy nie wjechał na dziedziniec.

Czterech więźniów miano właśnie związać. Wohkadeh zrobił kilka kroków i przystanął przed nimi.

- Uff! - zawołał. - Od kiedy to wojownicy Siuksów_Oglala zakładają pęta swoim najbliższym przyjaciołom? Te oto blade twarze są braćmi Wohkadeha! Jego nagłe pojawienie się wzbudziło ogólne zdumienie.

Ciężki Mokasyn groźnie
nastroszył brwi, lustrował

chłopaka ostrym spojrzeniem i pytaniem odpowiedział na pytanie:

- Od kiedy to białe psy są braćmi Oglalajów?
- Od czasu uratowania życia

Wohkadehowi.

Wódz chłodno spoglądał w oczy Wohkadeha i zapytał:

- A gdzie Wohkadeh dotąd przebywał? Dlaczego nie wrócił na czas?
- Bo znalazł się w niewoli u psów Szoszonów. Jednak te cztery blade twarze walczyły z nimi i uwolniły go. Wskazali mu oni drogę, którą szybko i łatwo można się dostać do Yellowstone, i jechali z nimi, aby z Ciężkim Mokasynem wypalić fajkę pokoju.

Na ustach wodza pojawił się drwiący uśmiech:

- Zsiądź z konia i dołącz do swoich białych braci! - polecił. - Jesteś naszym jeńcem tak samo jak oni.

- Wohkadeh jeńcem swego własnego plemienia? Kto dał Ciężkiemu Mokasynowi prawo, by brać do niewoli wojownika własnego narodu?

- On sam przyznaje sobie takie prawo. Jako przywódca tej wyprawy może czynić to, co uzna za słuszne.

Wohkadeh spał konia i uderzając go w bok piętami zmusił do szybkiego zwrotu na tylnych nogach. Ponieważ przednie kopyta koń wzbił w górę, Siuksowie_Oglala, którzy precyzyjnie się zbyt blisko, musieli się odsunąć. Zyskał miejsce. Położył teraz wodze na końskiej szyi i trzymając w niej strzelbę gotową do strzału zapytał:

- Od kiedy to wozom
Siuksów_Oglala wolno postępować
według własnego widzimisię? Po
co zwołuje się zgromadzenie
starych wojowników? Wohkadeh
jest młody, ale zabił już
białego bawołu i zdobi swój czub
piórami orła. Dlatego nie
pozwoli się wziąć do niewoli, a

ten, kto go obrazi, będzie musiał z nim walczyć!

Słowa te zabrzmiały dumnie i nie puszczono ich mimo uszu. Wodzowie Indian w wypadku nie posiadali władzy absolutnej. Nie przyznawano im uprawnień samodzielników. Nie wolno władzom ustanawiać praw ani wydawać rozporządzeń. Są oni wybierani spośród wojowników dlatego, że wyróżniają się dzielnością albo mądrością. Wpływ wodza opiera się wyłącznie na wrażeniu, jakie wywiera on swoją osobowością. Może zostać pozbawiony wodzostwa, gdy staje się niepopularny. Ciężki Mokasyn znany był jako człowiek surowy i samowolny. Wprawdzie zaskarbił sobie znaczące uznanie u swego plemienia, lecz jego samowola i jego upór również często plemieniu szkodziły. Był on człowiekiem twardym, okrutnym i krwiożerczym. Plemię rozpadło się na dwa ugrupowania, jedno skupiające tych, którzy byli zwolennikami wodza, i drugie z otwartymi lub skrytymi jego przeciwnikami.

Rozdźwięk ten pojawił się także teraz, kiedy Wohkadeh zabrał głos. Wielu Siuksów nie ukrywało uznania i poparcia dla Wohkadeha. Wódz posłał im wściekłe spojrzenie, zaś kilku z wiernych sobie dał znak, na który ci bezzwłocznie zablokowali wyjście, i odpowiedział:

- Każdy Siuks_Oglala jest wolnym człowiekiem, ale jeśli tylko któryś z wojowników zdradzi swoich braci, traci on prawo do wolności.
- Dowiedź, że Wohkadeh jest zdrajcą!
- Dowiodę tego podczas zgromadzenia wojowników.
- Ja zaś zjawię się tam jako człowiek wolny z bronią w ręku, aby się bronić, a jeśli dowiodę, że Ciężki Mokasyn bez powodu

mnie obraził, wtedy będzie on musiał stoczyć ze mną walkę.

- Zdrajca nie staje przed zgromadzeniem z bronią w ręce. Wohkadeh odda teraz swoją broń. Jeśli okaże się niewinny, dostanie ją z powrotem.

- Uff! Kto się odważy mi ją zabrać?

Młody Indianin potoczył dokoła śmiałym i wyzywającym spojrzeniem. Widział, że sporo twarzy wyrażało dla niego poparcie, ale większość była mu nieprzychylna.

- Nikt ci jej nie odbierze - odparł wódz. - Sam ją złożysz, a jeśli nie zechcesz, potraktujemy cię kulką.

- Mam dwie kulki w moim karabinie.

Mówiąc te słowa Wohkadeh uderzył dłonią kolbę swojej strzelby.

- Wohkadeh odchodząc od nas nie posiadał karabinu. Skąd więc wzięła się u niego ta strzelba? Podarowały mu ją blade twarze, a psy te obdarowują wtedy, gdy z czegoś odniosą korzyść. Wohkadeh musiał się im przysłużyć, a nie oni jemu. Wohkadeh jest Mandaną i nie urodziła go skwaw Siuksów. Kto z dzielnych wojowników chce za nim przemówić, nim on sam odpowie na moje oskarżenie?

Nikt się nie ruszył. Ciężki Mokasyn rzucił chłopakowi triumfujące spojrzenie i polecił mu:

- Zsiądź zatem z konia i oddaj broń! Będziesz się bronił, a potem wydamy na ciebie wyrok. Twoim uporem dowodzisz jedynie, że nie jesteś niewinny. Wohkadeh zrozumiał, że musi się poddać. Nie zrobił tego wcześniej, gdyż pragnął wyrzucić wrazenie na tych, którzy nie byli przychylni wodzowi.

- Jeśli tak postąpisz, to się poddam - oznajmił. - Moja sprawa jest czysta. Mogę spokojnie oczekiwać na wyrok i dlatego do tego czasu oddaję się

w wasze ręce.

Zsiadł z konia i złożył swoją broń u stóp wodza. Ten zaś powiedział coś po cichu człowiekowi stojącemu obok i natychmiast dobyto rzemienie, aby Wohkadeha związać.

- Uff! - zawołał gniewnie chłopak. - Czy dałem wam na to zgodę?

- Sam ją sobie biorę - odparł wódz. - Zwiążcie go i połóżcie do kąta, gdzie nie będzie mógł rozmawiać z tymi bladymi twarzami!

Opór nic by tutaj nie pomógł. Wohkadeh musiał poddać się swemu losowi. Spętano mu ręce i nogi i położono w kącie. Dwóch Siuksów usiadło przy nim na straży.

Jeden ze starych wojowników podszedł do Hong_peh_te_keha i powiedział:

- Dużo więcej zim przeszło nad moją głową aniżeli nad twoją, dlatego nie możesz się na mnie gniewać, jeśli zapytam ciebie, czy rzeczywiście masz powody, aby uważać Wohkadeha za zdrajcę?

- Odpowiem ci, gdyż jesteś moim najstarszym wojownikiem. Nie mam innego powodu jak tylko ten, że najmłodszy z owych bladych twarzy jest bardzo podobny do Łowcy Niedźwiedzi, który leży tam, gdzie stoją z tyłu konie.

- Ma to być powód?

- Tak. I udowodnię ci to.

Podszedł do jeńców, którzy nie mogąc nic pomóc, widzieli i słyszeli, na co Wohkadeh tak bezskutecznie się ważył. Niestety, ani Jemmy, ani Davy nie mieli na tyle opanowanej mowy Siuksów, aby zrozumieć wszystkie argumenty Wohkadeha. Chytry wódz przybrał nieco mniej surową minę i rzekł:

- Zanim Wohkadeh nas opuścił, popełnił on pewien czyn i nad tym musimy się naradzić, dlatego na razie trzeba go było związać.

O ile okaże się, iż blade twarze

wówczas go jeszcze nie znały,

wtedy odzyskają swobodę. Jak was nazywają? - zapytał jeńców.

- Powiemy mu? - spytał Davy

Grubego przyjaciela.

- Owszem - odparł Jemmy. -

Może czerwonoskórzy nabiorą wtedy nieco szacunku dla nas. - I zwracając się do wodza powiedział: - Ja nazywam się Jemmy_petah_czeh, a ten długi wojownik to Davy_honskeh. Z pewnością słyszałeś już o takich przydomkach.

- Uff! - rozległo się w kręgu

Siuksów.

Wódz skarcił ich wzrokiem. Również i on był zaskoczony, że oto miał w swoich rękach tak zwanych myśliwych, ale w najmniejszym stopniu nie dał tego po sobie poznać.

- Ciężki Mokasyn nie zna waszych przydomków - oznajmił. - A kim są ci dwaj ludzie?

Z tym pytaniem, które dotyczyło Franka i Martina, zwrócił się znów do Jemmiego.

Davy szepnął przyjacielowi:

- Nie mów na Boga ich nazwisk!

- Co ma blada twarz do powiedzenia drugiej bladej twarzy? - zapytał surowo wódz. - Ma odpowiadać ten, który był pytany!

Jemmy zdecydował się, aby powiedzieć nieprawdę. Rzucił pierwsze lepsze nazwisko, które mu wpadło do głowy, i podał Franka i Martina za ojca i syna.

Wzrok wodza przemykał badawczo od jednego do drugiego, na jego twarzy pojawił się szydery uśmiech i niemal przyjaznym tonem rzucił:

- Niech blade twarze podążają za mną.

Oglala zmierzał ku tylnej części dziedzińca.

Rzekomy dom był ongiś

fragmentem potężnego sklepienia
inkrutowanego miękkim
tworzywem. Owe miękkie części
zostały wypłukane deszczem,
podczas gdy szpat oparł się
działaniu powietrza i w taki

sposób, jak już powiedziano, powstał twór podobny do długiego, otoczonego wysokim murem dziedzińca podzielonego na segmenty.

Segment położony zupełnie z tyłu był największy. Zawierał on tyle miejsca, że mieściły się w nim wszystkie konie Oglalajów. W jednym z narożników leżało sześciu białych ze związanymi rękami i nogami. Znajdowali się oni w opłakanym stanie. W strzępach zwisała z nich odzież. Przeguby rąk mieli obtarte od rzemieni do krwi. Twarze zakrzepłe od brudu, zaniedbane wąsy i brody. Zapadłe policzki, oczy osadzone głęboko w oczodołach, w następstwie głodu, pragnienia i innych cierpień. Tam właśnie wódz zaprowadził nowych jeńców. Przechodząc, Martin powiedział po cichu do Jemmiego:

- Dokąd on nas prowadzi? Może do mego ojca?

- Możliwe, ale na Boga, niech się Martin nie zdradzi, że go zna, inaczej wszystko przepadło!

- Tutaj mamy białych jeńców - zaczął wódz. - Ciężki Mokasyn nie zna dokładnie ich nazwiska. Tym samym nie wie, kim oni są. Niech biali

mężczyźni podejda do nich, aby ich o to spytać, i powiedzą mi, co się dowiedzieli.

Zaprowadził całą czwórkę do narożnika. Jemmy podszedł najbliżej i powiedział po niemiecku:

- Mam nadzieję, że znajduje się tutaj Łowca Niedźwiedzi Baumann. Niech pan nie da po sobie poznać, że jest z nami pański syn! Stoi on tuż za mną. Spieszyliśmy wam na ratunek, lecz sami wpadliśmy w ręce czerwonoskórych, jednak jesteśmy pewni, że razem z panem wkrótce zostaniemy uwolnieni. Czy te czerwone łotry znają pana nazwisko?

Baumann zrazu nie

odpowiedział. Kiedy zobaczył

syna, nie mógł wykrztusić słowa. Dopiero po pewnej chwili wycedził z trudem:

- Mój ty Boże! To radość i zarazem ból! Siuksowie znają mnie, a także nazwiska moich towarzyszy.

- Dobrze! Mam nadzieję, że i nas tu umieszczą, wówczas opowiemy panu resztę.

Mimo, iż wódz nie rozumiał nawet słowa, zamienił się cały w słuch. Z intonacji mowy chciał odgadnąć jej treść. Przenikliwym wzrokiem spoglądał to na Baumanna, to na jego syna, lecz obserwacja ta nie dała wyniku. Martin trzymał się tak mocno na wodzy, iż zachował absolutnie obojętną twarz, mimo że żal, jaki ogarnął go na widok ojca, napędzał mu łzy do oczu.

- No i - pytał ze złością zawiedziony wódz - czy jeńcy wyjawili swoje nazwiska?

- Tak - odparł Jemmy. - Ale ty już je przecież znasz.

- Myślałem, że mnie okłamali.

Ty i twoi towarzysze zostaniecie także tutaj.

Udawana uprzejmość znikła znów z jego twarzy. Skinął na Oglalajów. Ci opróżnili kieszenie jeńców i skrupowali ich.

- Świetnie! - mruknął Davy, widząc, jak znika ostatni przedmiot z jego kieszeni. - Należy się tylko dziwić, że te sępy nie zabierają nam odzieży.

- Panie Jemmy - szepnął Hobbles

Frank. - Ta historia wcale mi się nie podoba. To jest ten sam łobuz, który mnie wtedy postrzelił w nogę.

Nowym jeńcom kazano się położyć na ziemi przy tamtych. Wódz się tymczasem oddalił pozostawiając kilku strażników.

Godni pożałowania nie odważyli

się głośno rozmawiać. Szeptali

między sobą. Martin znalazł się
tuż obok ojca, obaj zaczęli
sobie szeptem opowiadać o swoich
przeżyciach. Po pewnym czasie

podszedł jeden z Siuksów, aby zdjąć więzy z nóg jednego z pierwszych jeńców,
kazał mu iść za sobą. Człowiek ten ledwo się trzymał na nogach i szedł chwiejnym
krokiem.

- Czego od niego mogą chcieć?

- pytał Baumann tak, że słyszał to Davy.

- Chcą z niego zrobić zdrajcę

- Długi wyraził swoje przypuszczenie. - Szczęście, że nie mówiliście dotąd o
oczekiwaniu pomocy.

- Ale wspominał pan przecież o niej.

- To nie jest jeszcze groźne, ale wystrzegajmy się, aby po powrocie nie
dotarła do niego żadna ważna wiadomość! Musimy się wpieryw przekonać,
czy możemy mu ufać.

Przypuszczenie Daviego okazało się słuszne. Człowieka tego zaprowadzono
do wodza, który przyjął go z ponurym wejrzeniem. Nieborak nie mogąc
ustać siadł.

- Czy wiesz, jaki los cię czeka? - spytał go wódz.

- Wiem - matowym głosem powiedział jeńiec. - Mówiliście nam przecież o
tym wiele razy.

- Czeka was pewna śmierć w najstraszniejszych męczarniach. Zostaniecie
poddani niewypowiedzianym torturom, aby uczuć grób, na którym umrzecie.
Co możesz nam ofiarować, aby zaoszczędzić sobie cierpień i uratować życie?

- Czyż mogę je uratować? co musiałbym uczynić? - zapytał wykończony
psychicznie i na wpół żywy człowiek.

- Odpowiedzieć na moje pytania, a daruję ci życie. Czy Łowca Niedźwiedzi
ma syna?

- Tak.

- Czy to ten młody człowiek, którego wraz z innymi wzięliśmy do niewoli?

- Tak.

- Kto to jest ten mały, kulawy człowiek?

- To towarzysz Łowcy
Niedźwiedzi, Hobble Frank.

- Staraj się dowiedzieć, w jaki sposób zwąchali się oni z Wokkadehem, czy znajduje się tutaj jeszcze więcej bladych twarzy, i czego oni chcą! Jeśli się dowiesz, będziesz wolny, ale nie daj po sobie nic poznać. Odprowadzono go znów do współwięźniów, gdzie się położył na poprzednim miejscu, i związano mu stopy.

Pozostali milczeli, on także się nie odzywał. Czuł się po prostu głupio. Był to zresztą wcale dzielny facet. Gdy rozważył zachowanie wodza, doszedł do wniosku, że czerwonoskóry nie dotrzyma słowa. Zaczynał pojmować, że pozwolił się zwieść. Nic nie powinien był mówić. Im dłużej rozmyślał, tym bardziej czuł, że nie wolno ufać Ciężkiemu Mokasynowi, i że jest zobowiązany powiedzieć Baumannowi, o czym to rozmawiał z wodzem.

Łowca Niedźwiedzi sprowokował go sam do zwierzenia. Po pewnym czasie zapytał:

- I co, sir, dlaczego pan milczy? U kogo pan był?

- U wodza.

- Tak też myślałem. A co on od pana chciał?

- Powiem panu otwarcie. Wódz chciał się dowiedzieć, kim jest Frank i Martin, a ja mu to powiedziałem, bo obiecywał mi wolność.

- Do licha! Większego głupstwa nie mógł pan popełnić. A jak tam z pańską wolnością?

- Zwrócą mi ją dopiero wtedy, kiedy się dowiem, w jaki sposób pozostali dzentelmeni spotkali się z niejakim Wokkadehem i czy jeszcze więcej białych znajduje się w okolicy.

- Hm! I pan wierzy, że ten drań dotrzyma słowa?

- Niestety nie. Kiedy tylko rozważyłem całą sprawę,

doszedłem do przekonania, że chce mnie oszukać.

- To mądre z pana strony, i ponieważ jest pan szczery, wybaczymy panu ten głupi postępek. Zresztą niech pan nie myśli, iż udałoby się panu nas podsłuchać. Przypuszczaliśmy, co wódz mógł chcieć od pana, i w obecności pana zachowalibyśmy z pewnością milczenie.

- Ale co mam odpowiedzieć, kiedy znów mnie będzie pytał?

- Powiem panu - włączył się

Jemmy. - Powie pan, że Wohkadeha uratowaliśmy pojmanego przez Szoszonów i jechaliśmy z nim tutaj, by go bezpiecznie odprowadzić do swoich. Innych białych poza nami tutaj nie ma. A jeśli by mimo to chciał pana przechytrzyć, niech pan się nie da wziąć na lep! Ratunku niech pan wcześniej oczekuje od nas, a nie od niego. Na razie sprawę na tym zakończono.

Jeńcy nie mogli ruszać ręką ani nogą. Co najwyżej mogli się przewracać z boku na bok. Jemmy wykorzystał to, aby być bliżej Baumanna. Łowca Niedźwiedzi miał go teraz z prawej strony, zaś Martina z lewej, i w taki sposób mogli mu wszystko cichaczem opowiedzieć oraz wzniecić w nim nadzieję, że obecna niewola nie potrwa długo.

W tym czasie wódz przywołał do siebie najznakomitszych wojowników i zaraz potem Wohkadeha. Gdy chłopak znalazł się w segmencie zajęтым przez Siuksów siedzieli oni półkolem, zaś w środku owego półkola przykucnął wódz. Jeniec musiał stanąć naprzeciw niego. Po obu jego stronach znaleźli się strażnicy z nożami w dłoniach. Okoliczność ta zastanowiła Wohkadeha. Można się było domyślić, iż jego sprawa przyjęła groźniejszy obrót.

Po pewnej chwili, kiedy to zgromadzeni przyglądali się

Wohkadehowi ponurym wzrokiem,

wódz zaczął mówić:

- Niech Wohkadeh opowie, co przeżył od momentu, kiedy nas opuścił!

Wohkadeh posłuchał wezwania, opowiedział bajeczkę o tym, że Szoszonowie wysłedzili go i pojмали, zaś biali go uwolnili. Mimo że opowiadał to w najbardziej przekonujący sposób, nie mógł nie spostrzec, że jego zeznanie nie znajduje wiary.

Gdy skończył, nikt nie zdradził nawet słowem, czy mu uwierzono, czy nie.

Wódz spytał:

- Kto to są ci czterej biali?

Wohkadeh wymienił najpierw imiona Jemmy i Davy i uznał za zaszczyt dla Siuksów, że tak słynni myśliwi do nich przybyli.

- A dwaj pozostali?

Także i to pytanie nie zbiło Wohkadeha z tropu. Zastanowił się już wcześniej, co będzie mówił. Nazwał Franka nazwiskiem, które uprzednio wymyślił Jemmy, i znowu powtórzył, iż Martin jest jego synem.

Wódz nie dał nic po sobie poznać, ale zapytał:

- Czy Wohkadeh przypadkiem się nie dowiedział, że Łowca Niedźwiedzi ma syna, któremu na imię Martin?

- Nie.
- I że mieszka u niego człowiek zwany Hobble Frank?
- Nie.

Chłopak zachował zewnętrzny spokój, mimo że wewnątrz był już przekonany, że przegrał grę. I faktycznie wódz zagrzmiał:

- Wokkadeh jest psem, zdrajcą, śmierdzącym wilkiem! Czy myśli on, że nie wiemy, iż Frank oraz syn Łowcy Niedźwiedzi znajdują się u nas jako jeńcy? Ich obu oraz pozostałych Wokkadeh ściągnął tutaj dla wyratowania jeńców. Wokkadeh podzieli zatem także ich los. Zgromadzenie naradzi się dziś przy ognisku,

jaką śmiercią przyjdzie mu umrzeć!

Wokkadeha odprowadzono i przywiązano sznurami do konia, gdyż zbliżał się czas odjazdu. To samo uczyniono z innymi jeńcami, lecz Wokkadeha trzymano od nich z daleka i przydzielono mu dwóch wojowników jako eskortę specjalną.

Żałośnie było patrzeć, jak wynędzniały i zmaltretowany był Baumann i jego pięciu towarzyszy spętanych na koniach. Gdyby nie przywiązano ich za stopy, z pewnością runęliby na ziemię.

Davy szepnął w związku z tym Jemmiemu kilka słów. Gruby uspakajał go:

- Jeszcze trochę cierpliwości, stary! Głowę daję, że Old Shatterhand już krąży w pobliżu. On już dziś rano wiedział to, co my dopiero teraz rozumiemy, że jesteśmy skończonymi głupcami. W każdym razie podąży on za nami z oddziałem Szoszonów i dlatego postarałem się, aby trafił na nasz trop.

- W jaki sposób?

- Popatrz! Oderwałem kawałek mojego kozucha i porwałem go zębami na drobne strzępy. Tam gdzie leżeliśmy, zostawiłem już taki kawałek, a podczas jazdy będę od czasu do czasu takie strzępki upuszczając na ziemię. Poleżą one, bo nie ma wiatru. Jeśli tylko Old Shatterhand przybędzie do owego zaczarowanego budynku, wówczas znajdzie z pewnością strzęp kozucha i natychmiast się domyśli, że w takim upale tylko Gruby Jemmy mógł mieć na sobie kozuch. Szukając dalej, znajdzie inne strzępy i będzie wiedział, jaki obraliśmy kierunek.

Pochód Siuksów nie podążał z biegiem rzeki. Dla nich byłaby to okrężna droga. Jechali w stronę gór zwanych Grzbietem Słonia, potem zaś obrali drogę

prosto ku pasmu wyżyn tworzących
dział wodny pomiędzy Oceanem

Atlantyckim i Oceanem Spokojnym.

Gruby Jemmy miał rację uważając, że Old Shatterhand znajduje się w pobliżu. Nie minęły trzy kwadranse, gdy Siuksowie zniknęli za górami, a on przybył od północy ze swoimi Szoszonami i Upsarokami dokładnie tą samą drogą, jaką przebyły konie ryzykanckiej piątki.

Wraz z synem wodza Szoszonów i czarownikiem Upsaroków stanowili oni czoło pochodu. Old Shatterhand bacznie spoglądał na ziemię. Nie mógł ujść jego uwagi najmniejszy nawet ślad wskazujący na to, że przejeżdżali tędy ludzie. Na widok domniemanej budowli wpierw się zdziwił, lecz natychmiast odpowiedział na pytanie czarownika:

- Przypominam sobie. To nie jest dom, lecz skała. Przebywałem już w jej wnętrzu i zdziwiłbym się, gdyby ci, których szukamy, także tam nie weszli, aby to miejsce obejrzeć. To jest... Heavens!

Wydając ten okrzyk Old Shatterhand zeskoczył z konia i zaczął sprawdzać bazaltową skałę. Właśnie w miejscu wskazującym na drogę, którą udali się Siuksowie.

- Jechało tutaj wiele ludzi, i to zaledwie przed godziną - oznajmił. - Nie przypuszczam, aby byli to Siuksowie! A jednak w takiej liczbie nie może to być nikt inny. Dom ten wygląda mi na podejrzanym. Podzielmy się, aby go okrążyć! Ruszyli galopem. Otoczyli skalny budynek i Old Shatterhand udał się najpierw sam do wnętrza. Jedynie w przypadku gdyby usłyszeli jego strzał, pozostali mieli podążyć za nim.

Minęło sporo czasu, aż wrócił stamtąd z miną poważną i zafrasowaną i powiedział:

- Nie mamy czasu do stracenia, gdyż białych wraz z Wohkadehem

pojмали Siuksowie i wprowadzili stąd przed godziną.

- Czy mój biały brat jest tego pewien? - zapytał czarownik Płomienne Serce.

- Owszem. Widziałem wszystkie ich ślady i dokładnie je rozszyfrowałem. Gruby Jemmy pozostawił dla nas pewnen znak i uważam, że podobnych znaków znajdziemy jeszcze więcej.

I pokazał strzęp kożucha. Widniało na nim tylko pięć albo sześć włosów wskazujących na to, że ów strzęp pochodził z wytartego kożucha Grubego.

- Co zamierza teraz Old

Shatterhand? - pytał czerwonoskóry. - Czy chce podążyć za Oglalajam?

- Tak.

- Czyż jeśli wrócimy do

Winnetou, nie spotkamy ich nad rzeką Firehole?

- Owszem, spotkalibyśmy ich, ale będzie lepiej, kiedy wrogowie znajdą się pomiędzy nami, dlatego musimy im twardo deptać po piętach. Albo też moi czerwonoskórzy bracia mają inny pomysł?

- Nie mamy - odparł zaciekle olbrzym. - Cieszymy się, żeśmy trafili na trop Oglalajów. Ciężki Mokasyn jest ich przywódcą i mam ochotę dostać go w swoje ręce. Jedźmy!...

11. W opresji!

Trop był ledwie widoczny i dlatego trzeba było jechać bardzo powoli. Grunt stanowiły tutaj wulkaniczne kamienie. Nie było mowy, aby odcisnęły się na nim ślady. Drobnie kamyczki rozkruszone końskimi kopytami stanowiły jedyne i bardzo niepewne punkty orientacyjne. Należało zatem skrupulatnie uważać. Znajdowane od czasu do czasu drobne fragmenty kożucha Jemmiego stanowiły dużą pomoc. Po pewnym czasie trop skręcił bardziej na południowy zachód.

Dojechali do podnóży gór tworzących dział wodny. Ten, kto zatrzyma się na górze, może spoglądając w dół, zobaczyć na prawo strumienie, które łączą swoje wody do Yellowstone i Missouri, a z nimi do Missisipi, a więc do Zatoki Meksykańskiej, podczas gdy po lewej ręce wody przechodzą w rzekę zwaną Snake i spływają wraz z nią do Oceanu Spokojnego.

Okolice nie była tu tak opustoszała jak dotąd. Pojawił się czarnoziem, zaś pojedyncze strumyki nie zawierały już siarki. Woda w nich była świeża i zdrowa, dlatego rosła tu trawa, krzaki i drzewa, i trop stawał się znów wyraźniejszy. Było już późne popołudnie i konie musiały się żwawo ruszać, by wykorzystać czas przed nastaniem ciemności.

Osiągnęli szczyt działu wodnego i zaczęli zjeżdżać w dół pomiędzy zwaliskami skał i krzewami, uciążliwą i miejscami nawet niebezpieczną drogą.

Nastał wreszcie wieczór. Nie chcąc zgubić śladu, trzeba się było zatrzymać. Mężczyźni przez cały czas jechali w milczeniu i nie ożywili się także na postoju. Przeczuli, że wkrótce czekają ich decydujące wydarzenia. Nie rozpalono ogniska. Old Shatterhand wywnioskował z tropu, że Oglalajowie znajdują się nie dalej jak o nie całe dwie mile i gdyby się też zatrzymali, wtedy można by się mimo woli znaleźć tak blisko nich, że spostrzegliby ogień i zorientowaliby się, że podąża za nimi pogoń. Po rozstawieniu posterunków ludzie owinawszy się kocami położyli się na spoczynek, a ledwie zaczął szarzyć ranek, ledwie można było rozróżnić pojedyncze przedmioty, wyruszyli w dalszą drogę.

Ślady Oglalajów można było

rozpoznać jeszcze dzisiaj. Mniej więcej po godzinie Old Shatterhand oznajmił, iż Siuksowie wczoraj wcale nie odpoczywali. W każdym razie nie mieli zamiaru odpoczywać wcześniej, zanim nie dotrą do rzeki Firehole. Był to niedobry znak. Niestety, pogoń nie mogła się poruszać szybciej, gdyż koniom nie pozwalała na to twarda wulkaniczna skała występująca tu zamiast dotychczasowej roślinności i miękkiego gruntu.

Niemożliwością było teraz znalezienie jakichkolwiek śladów. Old Shatterhand zakładał, że Oglalajowie nie zmienili obronnego kierunku i dlatego jechał ciągle prosto. Wkrótce się zorientował, że nie pomylił się w swoim przypuszczeniu. Pojawiły się przed nimi góry Firehole, za którymi znajdowały się ciągle aktywne gejzery. Znowu pojawiła się roślinność i nawet las z przewagą świerków.

W pewnym momencie dotarli do wąskiego strumienia wijącego się w miękkiej, trawiastej glebie, ziemia była tu zdeptana dużą ilością końskich kopyt. Odciski ich ciągnęły się wzdłuż wody i wyraźnie wskazywały na to, iż Siuksowie poili tu swoje konie. A więc trop został znowu szczęśliwie odnaleziony i od tej pory pozostał on wyraźny aż po same góry, tak że pomyłka była już niemożliwa.

W górę prowadziła wolna droga. Jechali pod drzewami, które rosły tak rzadko, że nie stanowiły przeszkody, ale właśnie jazda w lesie jest dla westmana najbardziej niebezpieczna - za każdym bowiem drzewem może się kryć wróg, o którego obecności nie ma on zupełnie pojęcia.

Jakże łatwo Oglalajowie mogli wpaść na myśl, że ktoś ich goni!
Przecież mogli uzyskać od jeńców

przemocą albo podstępem zeznania. Dlatego Old Shatterhand wysłał do przodu kilku Szoszonów, aby spenetrowali drogę i w razie gdyby spostrzegli cokolwiek podejrzanego, wycofali się ku głównemu oddziałowi.

Ostrożność owa okazała się na szczęście zbyteczna, a to na skutek umowy, którą Gruby Jemmy zawarł z przesłuchiwanym przez wodza jeńcem.

Ponieważ spętani, z wyjątkiem Wokkadeha, w czasie jazdy zgodnie z lisim zamiarem wodza nie zostali rozdzieleni, mogli ze sobą rozmawiać. Wódz wyraził na to milczącą zgodę, by jego domniemany sprzymierzeniec znalazł okazję do usłyszenia od współtowarzyszy tego wszystkiego, co miał mu przekazać. Wieczorem Ciężki Mokasyn kazał go niezauważenie przyprowadzić do siebie na spytki. Dowiedział się takich rzeczy, że podejmowanie jakichkolwiek środków ostrożności uznał za zbędne. Old Shatterhand dotarł zatem bez przeszkód do wspomnianej góry. Również i ona pokryta była gęstym, wysokopiennym lasem, co powodowało, że nie można z niej było spoglądać w dolinę, mimo że jej ściana opadała stosunkowo stromo.

Jadąc pod drzewami, słyszeli jakiś osobliwy, głucho huczący odgłos przerywany od czasu do czasu przeraźliwym gwizdem, po którym rozlegało się syczenie, jakby wypuszczano z lokomotywy nadmiar pary.

- Co to może być? - spytał zdziwiony Moh_aw, syn wodza Szoszonów.

- Jest to z całą pewnością gejzer - wyjaśnił Old Shatterhand.

Teren opadał teraz w dół,

najpierw łagodnie, potem stromo,

także z trudem można się było

utrzymać na koniu. Dlatego

jeźdźcy zsiadli i szli pieszo, prowadząc za sobą zwierzęta.

Można było jeszcze rozpoznać ślady Oglalajów, lecz wyglądało na to, iż pochodziły one od wczoraj. Kiedy przeszli ze sto metrów w głąb, las nagle się skończył, a jego skraj tworzył ostro zarysowaną linię, lecz z biegiem rzeki i kawałek dalej dochodził do samego dołu, czyli do dna doliny. Wzrok mógł teraz swobodnie sięgać ponad dolinę, a to co ujrzało tutaj oko, nie mogło nie budzić zdumienia.

Górna dolina Madisonu, rzeki, która nosiła w tym miejscu znamienne nazwę

Firehole, czyli Dziury Ognia, jest chyba najpiękniejszą okolicą Parku Narodowego.

Długa na wiele mil i miejscami dwie, a nawet trzy mile szeroka, jest usiana setkami gejzerów i gorących źródeł. Są tam odmęty, z których strumienie tryskają na sto metrów w górę. Z licznych szczelin wydostają się siarczane zapachy, zaś powietrze jest stale wypełnione gorącą parą wodną.

Śnieżnobiała zgorzelina, tworząca powłokę albo raczej przykrywkę na podziemnych kotłach, lśni jaskrawo w słonecznych promieniach. W innych zaś miejscach powierzchnię ziemi stanowi nie stały grunt, lecz gęste, cuchnące błoto, którego

temperatura jest bardzo różna. Tu i ówdzie ziemia podnosi się nagle i nabrzmiwa z wolna niby pęczek, który pękając pozostawia rozległy i głęboki otwór zięjący wyziewami pary. Owe otwory i pęczki powstają i znikają to tu, to tam. Wędrują.

Biada temu, kto trafi na takie
miejsce! Dopiero miał stały
grunt pod nogami, a oto ziemia
robi się nagle gorąca i zaczyna
się podnosić. Jedynie szaleńczo
odważny skok, jedynie nagła
ucieczka może człowieka

uratować.

Można uciec przed jednym pęczkiem, lecz tuż obok rośnie drugi, trzeci. Człowiek stoi na bardzo cienkiej skorupie, niemal bezpośrednio ponad straszliwą głębią wnętrza ziemi.

Biada również temu, kto z dala patrząc uzna, że owo błoto może utrzymać jego ciężar. Wygląda ono wprawdzie jak bagienne torfowisko, które od biedy i bardzo uważając, można przejść. Jego powierzchnia jednak jest podtrzymywana wulkaniczną parą, podobnie jak przy gotowaniu mięsa woda podtrzymuje i porusza pływające na niej szarobrunatne szumowiny.

Ziemia ugina się wszędzie pod stopami, zaś ślady przechodzenia wypełniają się natychmiast gęstą, zielonkawożółtą śmierdzącą cieczą.

Wszędzie szumi, gotuje się, gwizdże, syczy, pieni się i stęka. Potężne płaty wody i błota fruują dookoła. Kto by wrzucił ciężki głaz w tę kipieli, mógłby obrazić podziemne duchy, które odpowiedzą dziką wrzawą. Woda i błoto wytrysną w górę i przewalą się, jak gdyby chciały wciągnąć złoczyńcę i w okrutny sposób go unicestwić.

Woda z owych kotłów czarownic jest równie zabarwiona, może być mlecznobiała, jaskrawoczerwona, błękitna, siarkowożółta, często także przezroczysta jak szkło. Zaś na wierzchu widać duże, białe niby z jedwabiu pasma lub też gęsty, ołowiowy śluz, który w ciągu kilku minut pokrywa każdy znajdujący się w jego zasięgu przedmiot grubą, twardą skorupą.

Zdarza się, że woda w takim

otworze mieni się najpiękniejszą
zielenią, jaką mają trawy. Nagle
otwierają się po bokach małe
zawory i poprzez zieloną
powierzchnię wody tryskają z
nich strumienie we wszystkich

odcieniach tęczy. Jest to

widowisko wspaniałe,
niepowtarzalne, boskie, a
równocześnie wstrząsające,
wzbudzające lęk, piekielne!

Old Shatterhand przybył ze swoimi wojownikami do takiej okolicy - ukryci w gęstwinie spoglądali oni na owo zarówno przyciągające, jak i odstręczające przedstawienie.

Rzeka tutaj była szeroka na przeszło pół mili. Powyżej miejsca, w którym zatrzymał się Old Shatterhand, brzegi były tak blisko siebie, iż wydawało się, że rzeka nie ma po prostu miejsca, aby precyzyjnie przecisnąć między nimi brudne i migoczące podstępnie fale. Poniżej wyglądało podobnie. Odległość od jednego do drugiego zwężenia wynosiła nie więcej niż angielską milę.

W rzece, której wody zasilane były przez gorące źródła, brak było życia biologicznego na większą skalę. Płynęła ona całkiem blisko ściany wieńczącej z tej strony dolinę. Ścianę tę porastał las i mimo że była ona bardzo stroma, można się było po niej wspinać. Natomiast ściana przeciwległa strzelała w górę, jak gdyby powstała pod murarskim pionem. Tworzyła ją czarna, górą strzeliście postrzępiona skamielina odbiegająca stosunkowo daleko od wody i tworząca od jednego do drugiego zwężenia rzeki coś w rodzaju łuku. Ale mimo owego cofnięcia się ściany skalnej dolina wcale nie uległa powiększeniu, gdyż na wprost Old Shatterhanda, po przeciwnej stronie pięły się lub jak kto woli opadały przedziwne struktury, których szerokie podnóże sięgało nieomal brzegu rzeki.

Owe struktury - nie wydaje
się, aby można je było lepiej
określić - były tak cudowne i na
pierwszy rzut oka tak niepojęte,
iż człowiek mógł przypuszczać,

że znajduje się w tajemniczym świecie wróżek, elfów i innych nieziemskich istot. Stanowiły je tarasy niezwykle delikatnej materii fantastycznie zdobionej, jakby stworzonej ze świeżego śniegu i kruchych kryształków lodu.

Taras najniższy, najbardziej rozległy zdawał się wyrzeźbiony z kości słoniowej. Krawędź jego zdobiła dekoracja, która z daleka jawiła się jak dzieło sztuki niezwykle

odkrywczego rzeźbiarza. Był to napęczniony wodą, półokrągły basen, nad którym wznosił się drugi taras, migocący niby ziarenkami złota przetykany alabaster. Drugi taras był mniejszy od pierwszego. Trzeci cofał się jeszcze bardziej, smukły i młodzieńczy, zbudowany z tworzywa przypominającego delikatnie postrzępioną, białą watę.

Materia, która go tworzyła, była tak eteryczna i zwiewna, iż zdawało się, że nie udźwignie najmniejszego nawet ciężaru, a przecież opierało się na nim i wznosiło powyżej jeszcze sześć takich tarasów, każdy z basenem przejmującym wodę z wyższego poziomu i przekazującym ją na poziom niższy bądź to smukłymi, cienkimi strumieniami rześistego, mieniącego się barwami deszczowego pyłu, bądź zlewiskami przypominającymi powiewne welony.

Ów cud natury tulił się smukły, promienny i śnieżnobiały do ciemnej ściany skalnej niby suknia istoty pochodzącej z innych światów, suknia utkana z płatków śniegu. A przecież cud ów stworzyły te same moce, które spiętrzyły czarny bazalt i kazały szarpać powierzchnię ziemi błotnym wulkanom.

Wystarczyło tylko spojrzeć w

górze na szczyt owej wspaniałej
piramidy i natychmiast można się
było zorientować, dzięki czemu

ona powstała. Właśnie stamtąd strzelał w górę wysoki strumień wody, układał się w kształt parasola i opadał wokół rześistym deszczem. Słychać było przy tym ów szum, którego nie mógł przedtem zrozumieć Moh_aw. Owemu strumieniowi wody towarzyszyły gwizdzące, syczące, stękające opary i sprawiało to wrażenie, jak gdyby ziemia miała pęknąć pod siłą erupcji.

Piramidę tę zbudowały sobie wody gejzeru. Delikatne, lekkie tworzywo, które strumień wynosi ze sobą w górę w postaci rozpuszczonych minerałów, opada na stałe podłoże i krystalizuje się. Przyroda ciągle jeszcze pracuje nad kształtem owego wspaniałego tworu. Gorąca woda spływa w dół tarasu na taras ulegając stopniowemu chłodzeniu, tak że poszczególne baseny, licząc od góry, mają coraz niższą temperaturę. Wreszcie na dole kryształowa ciecz przelewa się przez najniższy basen i spływa do rzeki Firehole.

Niby diabeł przy aniele tak i przy owej wspaniałej piramidzie powstał rozległy, niemal okrągły, mroczny, pofałdowany twór, sprawiający wrażenie brudnego. Blok ów składał się ze stałej masy, na której unosiły się resztki wulkanicznego tworu pod najbardziej różnymi postaciami. Wyglądało to tak, jakby jakieś dziecko olbrzymów zabawiało się kawałkami bazaltu, ugniatając je w osobliwe kształty i osadzając na okrągłym wale.

Wał ów miał około dwudziestu metrów średnicy i tworzył naturalny zrąb otworu, którego ciemna ziejąca paszcza nie wróżyła nic dobrego. Był to krater błotnego wulkanu. Zwężony, rozszerzał się dalej w kształt klepsydry. Gdy tylko w gejzerze zaczynało szumieć i pienieć się, błoto w ciemnym kraterze położonym obok

zaczynało się podnosić. A kiedy na górze oddzielał się strumień wody od pary, zapadała się również na powrót kotłująca się powierzchnia błota. Oczywiście było, że gejzer i wulkan błotny są ze sobą bezpośrednio połączone. Duchy podziemia dzieliły wyrzuconą masę podając krystaliczną wodę gejzerowi, natomaist cały osad z wnętrza ziemi spływał do błotnej dziury.

- Oto Kuczapu_ant_pa,

Diabelska Woda - powiedział Old Shatterhand wskazując jednocześnie na krater. W pobliżu krawędzi błotnego wulkanu rozłożyli się Oglalajowie. Widać ich było całkiem dokładnie. Można było rozróżnić nawet poszczególne twarze. Konie chodziły wolno powyżej tego miejsca albo spokojnie odpoczywały leżąc na ziemi. Nie mogły skubać trawy, gdyż z ziemi tej nie wyrastało nawet źdźbło. W pobliżu znajdowały się ogromne głazy. Siedzieli na nich jeńcy, każdy na osobnym bloku skalnym. Ręce związane im na plecach, a stopy przywiązano lassem do kamieni w pozycji, która musiała im sprawiać cierpienie.

Kiedy Old Shatterhand skierował swoją uwagę na Oglalajów, w gromadzie czerwonoskórych zaczynało się coś dziać. Usiedli oni tworząc krąg, zaś w środku zasiadł wódz.

Old Shatterhand widział Jemmiego, Daviego, Martina i Hobbles Franka oraz Baumanna z towarzyszami. Wohkadeha przywiązano do kamienia z dala od reszty, i to w pozycji wskazującej na to, że chciano mu powykręcać kończyny. Do niego to podszedł jeden z Siuksów, odwiązał go od głazu i zaprowadził do środka koła.

- Chcą go przesłuchiwać - wnioskuje Old Shatterhand. - Może go osądzą i mają zamiar tutaj ukarać. Chciałbym słyszeć,

co teraz mówią!

Wyjął z kieszeni siodła lunetę i skierował ją na Siuksów. Teraz odwiązano także Martina Baumanna i wprowadzono go również do koła, stawiając obok

Wohkadeha. Dzięki lunecie Old Shatterhand widział twarze ludzi tak dokładnie, że mógł obserwować ruchy ich warg.

Wódz mówił coś do Martina Baumanna, wskazując ręką na błotny krater. Old Shatterhand spostrzegł wyraźnie, że Martin zrobił się śmiertelnie błądy. Równocześnie rozległ się przenikliwy krzyk, jaki człowiek wydobywa z gardła w tym momencie największego przerażenia. Wydobył się on z ust starego Baumanna. Old Shatterhand widział, jak biedny ten człowiek ze wszystkich sił szarpał swoje więzy. Widocznie wódz powiedział coś diabelskiego...

Siuksowie_Oglala przybyli wczoraj z nastaniem wieczora na wysokość rzeki Firehole. Oczekiwali oni, że Ciężki Mokasyn zarządzi nocny postój w lesie pod drzewami, ale się przeliczyli. Pomimo ciemności i mimo uciążliwości spadzistego brzegu postanowił on jeszcze sforsować rzekę.

Znał tę okolicę, gdyż bywał tutaj nieraz, zaś w jego mózgu tkwiła myśl bardziej ponura i niesamowita niż błotny krater, który tam na dole w ciemności nocy wstrętną swoją maź na zmianę wynosił i wchłaniał.

Trzymając konia za wodze i krocząc na czele wskazywał drogę swoim ludziom. Również i jeńcy musieli zjechać w dół, co sprawiało im szczególne trudności, gdyż nie uwolniono ich z pęt. Wreszcie wszyscy znaleźli się nad samym brzegiem.

W tym miejscu wody Dziury Ognia
nie były gorące, lecz tylko
ciepłe. Można się było bez
szkody przepawić na drugą
stronę. Po dwóch Siuksów brało

po między siebie konia, na którym siedział jeńiec, i w taki sposób przedstawiali się na drugą stronę rzeki.

Zatrzymali się przy błotnym kraterze. Jeńców przywiązano do dużych głazów i postawiono przy nich wartowników. Potem czerwonoskórzy położyli się, nie otrzymawszy od wodza wyjaśnienia, dlaczego obozują właśnie tutaj, w smrodzie krateru, gdzie nie ma ani trawy, ani wody dla koni.

Z nastaniem poranka zwierzęta sprowadono kawałek w dół, tam gdzie, o czym wiedział wódz, ze skały sączyło się czyste źródło. Po powrocie Indianie wyciągnęli suszone bawole mięso na śniadanie. Dopiero teraz cichym głosem Ciężki Mokasyn wyjaśnił swoim wojownikom, co postanowił uczynić w sprawie Wohkadeha i młodego Baumanna. Wszyscy uważali Wohkadeha za zdrajcę. Wprawdzie ten się do niczego nie przyznał, ale w ich oczach był winny. To, że Martin Baumann ma

podzielić jego los, nie budziło w nich najmniejszej wątpliwości. Wszyscy jeńcy byli przeznaczeni na śmierć, a im bardziej egzekucja miała być urozmaicona, tym większe budziła emocje.

Najpierw należało nasycić oczy i uszy męczarnią, jaką przeżywał jeniec przed ogłoszeniem wyroku. Rozprawę prowadzono donośnym głosem, aby również pozostali jeńcy, o ile znali mowę Siuksów, wszystko usłyszeli.

- Czy Wokkadeh namyślił się i wyzna wszystko wojownikom Oglalajów, czy nadal będzie się wypierał? - zapytał wódz.

- Wokkadeh nie uczynił nic złego, dlatego nie może nic wyznać - odparł zapytany.

- Wokkadeh kłamie. Gdyby natomiast powiedział nam prawdę, wyrok na niego byłby łagodniejszy.

- Wyrok, jaki na mnie wydacie, będzie taki sam, obojętnie czy

jestem winny czy niewinny. Muszę umrzeć!

- Wokkadeh jest młody, a młodość myśli krótkowzrocznie. I często nie wie, co czyni, dlatego jesteśmy gotowi okazać mu pobłażliwość, ale obwiniony musi okazać szczerłość.

- Wokkadeh nie ma nic do powiedzenia!

Na twarzy wodza pojawił się drwiący uśmiech. Ciągnął dalej:

- A więc Wokkadeh jest tchórzem i boi się. Ma on odwagę czynić zło, ale brak mu odwagi, aby się do tego przyznać. Mimo swojej młodości Wokkadeh jest starą kobietą, która wyje ze strachu, gdy ukłuje ją komar.

Żaden Indianin nie pozwoli się nazwać tchórzem, aby nie wykazać się natychmiast odwagą. Nawykły od wczesnej młodości do niedostatków, trudów i przeróżnych udreń, nie obawia się śmierci. Jest on przekonany o tym, że zaraz po niej znajdzie się w Krainie Wiecznych Łowów.

Ledwie wódz wypowiedział owe obraźliwe słowa, Wokkadeh zaczął szybko oponować:

- Wokkadeh zabił białego bawołu i wiedzą o tym wszyscy Siuksowie_Oglala!

- Ale nikogo z nich przy tym nie było. Wiemy tylko, że przyniosłeś jego skóry, nic więcej. To bardzo proste: znaleźć na prerii zdechłego bawołu, przynieść jego skórę i powiedzieć, że się go zabiło.

- To oszczerstwo! Żadnego martwego bawołu nie pozostawią zwierzęta na prerii. Pożrą go sępy i kojoty.

- A kojotem ty jesteś!

- Uff! - zawołał Wohkadeh, szamocąc z oburzenia rzemienie.
- Gdybym nie był związany, pokazałbym ci, czy jestem tchórzliwym wilkiem prerii!
- Właśnie to okazałeś. Jesteś tchórzem, gdyż obawiasz się powiedzieć prawdę!

- Nie przeczyłem ze strachu, lecz ze względu na moich towarzyszy.
- Uff! A zatem przyznajesz teraz, że jesteś winny? Opowiedz, jak postępowaleś!
- Można to zawrzeć w kilku słowach. Pośpieszyłem do wigwamu Łowcy Niedźwiedzi, aby powiedzieć, że został on przez was pojmany. Po czym wyruszyliśmy, aby go uwolnić.

- Kto?
- My, w piątkę: syn Łowcy Niedźwiedzi, Jemmy, Davy, Frank i Wohkadeh.

- I Wohkadeh ich bardzo polubił?
- Owszem! Każdy z nich jest więcej wart niż stu Siuksów_Oglala. Wódz prześliznął się wzrokiem po siedzących w kręgu ludziach i cieszył się w duchu z wrażenia, jakie wywarły na wojownikach ostatnie słowa czerwonoskórego chłopaka. Potem zapytał:

- Czy zdajesz sobie sprawę, na co się naraziłeś swoim zeznaniem?
- Tak! Wiem, że mnie zabijecie!
- W stokrotnych mękach!
- Nie boję się waszych mąk.
- Zaraz je poznasz.

Przyprowadźcie syna Łowcy Niedźwiedzi!

Teraz zgodnie z tym, co zobaczył Old Shatterhand, przyprowadzono Martina i postawiono go obok Wohkadeha.

- Czy słyszałeś i zrozumiałeś, co powiedział Wohkadeh? - spytał go wódz.
 - Tak.
 - Przywiódł was tutaj, abyście uwolnili jeńców. Pięć myszy wyrusza, aby pożreć pięćdziesiąt niedźwiedzi! Głupota przeżarła wam rozum.
 - Chcecie być niedźwiedziami?
 - wołał Martin. - A jesteście tchórzliwymi sępami, które się kryją w skałach!
 - Pożałujesz tych słów! Obaj umrzecie, i to natychmiast!
- Wódz przenikliwie im się

przypatrywał, chcąc zobaczyć,
jakie wrażenie wywrą jego słowa.
Wohkadeh zachowywał się tak,
jakby ich nie słyszał. Zmienił
się natomiast kolor twarzy
Martina, mimo iż starał się on
usilnie, by ukryć swój lęk.

- Ciężki Mokasyn widzi, że łączą was nici przyjaźni - mówił wódz - dlatego śmiertelnych słodczy zakosztujecie razem, powoli, do dna, a ponieważ przyjaźń wasza jest czymś szczególnym, dlatego również w szczególny sposób udacie się do Krainy Wiecznych Łowów.

Wstał i wyszedł z koła, podchodząc do spiętrzonego obrzeża błotnego krateru:

- Tutaj będzie wasz grób - powiedział. - Pochłonie on was za moment! - i wskazał na czeluść, głębiej, z której unosiły się cuchnące opary.

Była to potworna groźba.

Ojcu Martina wyrwał się w tym

momencie ów krzyk przerażenia, który usłyszał Old Shatterhand i reszta stojących na wysokim brzegu z drugiej strony rzeki. Baumann z całej siły szarpał swoje więzy. Od momentu, w którym dostał się do niewoli, aż do teraz nie okazał żadnym słowem ani gestem, jak bardzo się czuje nieszczęśliwy. Był na to zbyt dumny. Teraz jednak, gdy usłyszał, co grozi synowi, przestał nad sobą panować.

- Nie, nie! - wołał. -

Wrzucicie mnie do tego krateru, mnie, tylko nie jego!

- Milcz! - wrzasnął na niego wódz. - Wyłbyś z przerażenia, gdybyś miał umrzeć śmiercią twego syna!

- O nie, nie usłyszelibyście z ust moich żadnego głosu!

- Będiesz wył, gdy ci opowiem, jaka będzie ta śmierć. Myślisz może, iż tego chłopaka i Wohkadeha ot tak po prostu wrzucimy do tej czeluści? To się mylisz. Muł wznosi się i opada w regularnych odstępach czasu.

Dokładnie wiadomo, kiedy się to błoto zjawia i kiedy znika. Wiadomo również, dokąd ono sięga. Dlatego zarówno tego zdrajcę, jak i twojego chłopaka zwiążemy lassem i wrzucimy ich do tej dziury, ale nie wpadną oni do niej, gdyż

lassa ich przytrzymają. Przy tym opuścimy ich tak daleko, aby błoto sięgało im do stóp. Następnym razem opuścimy ich niżej, i błoto sięgnie im do kolan. W taki sposób będą opadać coraz niżej i niżej, zaś ich ciała będą smażyły się powoli od dołu ku górze w gorącym błocie. Czy masz jeszcze ochotę, aby taką śmiercią umierać za syna?

- O tak, tak! - wołał udręczony Baumann. - Weźcie mnie zamiast niego, weźcie mnie!

- Nie! Ty, skończysz wraz z innymi przywiązany do pala męczarni przy grobie wodzów, a teraz będziesz musiał patrzeć, jak twój syn będzie się topić w błotnym kraterze!

- Martin, Martin, synu mój! - krzyczał zrozpaczony ojciec.

- Ojcie, mój ojcie! - wołał przerażony chłopak.

- Zamilcz! - szepnął mu

Wohkadeh. - Umrzemy, nie dając im powodu do radości cierpieniem na naszych twarzach!

Stary Baumann usiłował zerwać pęta, ale osiągnął jedynie ten skutek, że przetarł sobie ciało niemal do kości.

- Słyszysz, jaki to płacz i lament podnosi twój syn? - zawołał do niego wódz. - Milcz, i ciesz się, że będziesz widział wszystko wyraźniej od nas! Jeńcy zostaną odwiązani z głązów i przywiązani na swoich koniach, aby siedząc wyżej, mogli lepiej wszystko obserwować. Zwiążcie chłopaków sztywno i zanieście ich ku śmiertelnej otchłani!

Rozkaz wykonano natychmiast.

Kilku Siuksów złapało Wohkadeha i Martina, by ich zawlec do błotnego wulkanu. Innych jeńców

wsadzono na konie i przywiązano.

Baumann zagryzł zęby, aby nie wymknął mu się żaden odgłos biadania.

- Okropność! - zachrypiął Davy zwracając się do Jemiego. - Nadejdzie z pewnością pomoc, ale będzie to w każdym razie dla tych dzielnych chłopaków za późno. Obaj jesteśmy winni tej śmierci. Należało nie zgodzić się na tę wyprawę.

- Masz rację i... słuchaj!

Oto rozległ się ochryply krzyk sępa, lecz Oglalajowie nie zwrócili nań uwagi.

- To sygnał Old

Shatterhanda - szepnął Jemmy. - Wspomniał o nim i zademonstrował nam ten głos.

- Dalibóg! Gdybyż to był istotnie on!

- Oby nieba sprawiły, bym się nie omylił! Gdyby moje przypuszczenie okazało się słuszne, to znaczy, że Old Shatterhand podążył naszym tropem i schodzi po tamtej stronie w dół. Spójrz na tamten las! Czy dostrzegasz coś?

- Widzę, widzę! - odparł cicho

Davy. - Jedno z drzew się rusza. Widzę, jak kołysze się jego wierzchołek. Nie dzieje się to samo z siebie. Muszą tam być ludzie.

- Widzę je! Ale lepiej nie patrzeć w tamtą stronę, aby nie zwrócić uwagi Oglalajów! - i głośno zawołał po niemiecku w kierunku krateru: - Martin, nie lękaj się! Nadeszła pomoc. Przed chwilą przyjaciele dali nam sygnał! Przewornie unikał nazwisk, gdyż Oglalajowie mogliby je zrozumieć.

- Dlaczego ten pies szczeka? - denerwował się wódcz. - Czy ma on również ochotę na śmierć w błocie?

Na szczęście zadowolił się tylko tym napomnieniem.

Jeńcy znajdowali się na

koniach tak ciasno jeden przy

drugim, że mogli się między sobą szeptem porozumiewać. Ręce związane im na plecach, zaś stopy połączono rzemieniem przeciągniętym pod końskim brzuchem.

- Słuchaj no Davy - szepnął

Jemmy - naszych zwierząt nikt nie trzyma na wodzy, przez to jesteśmy niemal wolni. Czy potrafisz mimo więzów kierować twoim dziadkiem mułem?

- O to się nie martw!

Pokieruję nim nogami, że hej!

- Moja stara szkapa będzie także posłuszna. Stop! Boże, ratuj! Zaczyna się! Na ratunek jest już za późno... Za późno...

W tym momencie ziemia pod końskimi kopytami zaczęła najpierw lekko, potem coraz to silniej drżeć i jakby z najgłębszego jej wnętrza dochodził huczący szum - to gejzer wznawiał swe działanie.

Wprawdzie od wczoraj wieczora konie jako tako przywykły do owego drżenia ziemi, ale w pobliżu krateru okazywały jednak niepokój.

Nieco wcześniej Hong_peh_te_keh pochylił się przez zrab krateru i spuścił w dół lasso, aby odmierzyć, jak dalece należy opuścić skazanych na śmierć.

Umocowano potem dwa lassa, każde na jednym ze skalnych występów, natomiast ich końce przeciągnięto Martinowi i Wohkadehowi pod ramionami, aby opuścić ich na przewidzianą głębokość.

Gdy zaczęło szumieć, wszyscy się cofnęli. Tylko dwaj Indianie pozostali przy kraterze, aby gdy tylko błoto zacznie się podnosić, spuścić obu skazańców. Były to momenty przerażającego napięcia.

A Old Shatterhand? Dlaczego nie przybywał?

Jego wzrok obserwował uważnie
każdy ruch Oglalajów. Kiedy
zobaczył, że Wohkadeha i Martina
przywleczono na skraj krateru,

wszystko było dla niego jasne.

- Mają oni powoli umierać w błocie - oznajmił. - Musimy im natychmiast śpieszyć z pomocą. Szybko, jedźcie pomiędzy drzewami w dół, w miejscu, w którym las dosięga rzeki, przeprawcie się i pędźcie galopem w górę! Róbcie przy tym wrzask, głośny, na ile tylko was stać, i rzućcie się z całym impetem na Oglalajów!

- A ty nie chcesz jechać z nami? - spytał olbrzymi czarownik.

- Niestety, nie mogę z wami jechać. Muszę pozostać tutaj i troszczyć się, aby przed waszym pojawieniem się naszym braciom nie wyrządzono krzywdy. Dalej, dalej! Nie ma minuty do stracenia!

- Uff! Naprzód!

W następnej chwili Szoszonowie i Upsarokowie zniknęli z pola widzenia. Bob natomiast pozostał z Old Shatterhandem. Myśliwy powiedział:

- Chodź no tutaj i złap ten świerk! Będziemy nim trzęśli!

Przykładając dłoń do ust naśladował krzyk sępa, który usłyszał Jemmy i Davy. Spostrzegł, iż obaj spojrzeli w górę, i wiedział już, że zrozumieli, co ten krzyk oznacza.

- Dlaczego mamy trząść drzewem? - pytał Bob.

- Aby dać im znak. Oni chcą wrzucić Wohkadeha i twojego młodego pana do wrzącego błota, aby ich uśmiercić. Leżą oni spętani na skraju krateru.

Murzyn upuścił ze zgrozy karabin.

- Och, och! Zabić massa

Martin? Tego nie powinno, tego nie wolno! Masser Bob na to nie pozwolić! Masser Bob zabić ich, wszystkich, wszystkich! Bob będzie tam zaraz! - i pobiegł.

- Bob! - wołał za nim Old

Shatterhand. - Wróć, wróć! Bo wszystko zepsujesz!

Murzyn jednak nie słuchał. Ogarnęła go niepoohamowana wściekłość. Jego młodego pana chciano zamordować. Nie myślał wcale o tym, że wypadł mu z rąk karabin, a jedynie o tym, aby możliwie jak najszybciej znaleźć się po tamtej stronie. Będąc dobrym pływakiem wiedział, że aby wylądować w określonym miejscu, należy wskoczyć do wody powyżej tego miejsca, dlatego też nie pobiegł wcale ku odkrytemu brzegowi wprost do wody, lecz długimi susami mknął pomiędzy drzewami w górę rzeki i wynurzył się spomiędzy nich, kiedy znalazł odpowiednie miejsce, w którym gładka, czarna skała wystawała z wody. Bob usiadł odważnie i zjechał niby na sankach po pochyłej powierzchni wprost w oleistą, pokrytą brudną, wzburzoną pianą wodę. Poczł przy tym coś twardego, na co trafił ciałem. Była to mocna gałąź, która utkwiała w błocie.

- Och, och! - triumfował. -

Masser Bob nie mieć karabin, ale mieć z gałęzi maczugę! - Wyrwał ją z błota i zaczął nią zamazywać wywijać.

Oglalajowie wcale Murzyna nie spostrzegli. Podczas zjeżdżania jego czarne ciało nie różniło się od ciemnego kamienia, natomiast w wodzie zarówno głowa jak i ramiona tak niewiele odcinały się od brudnej powierzchni, że również nikomu nie podpadł. Oglalajowie zresztą niezależnie od tego mieli oczy zwrócone ku błotnemu kraterowi. Na nic innego nie zwracali uwagi.

Teraz, kiedy zaczął się podziemny łoskot i szum, Old Shatterhand spostrzegł, że jego czerwonoskórzy sprzymierzeńcy wjeżdżali do wody w zwięzieniu rzeki znajdującym się nieco niżej. Należało więc działać.

Oparł sztucer Henriego o pień
drzewa, za którym stał, i wziął

do ręki dwulufową ciężką i dalekonośną broń zwaną Postrachem Niedźwiedzi. Po tamtej stronie Siuksowie cofnęli się od krateru. Tylko dwóch z nich pozostało na miejscu.

Wtedy wódz uniósł rękę w górę. Czy dał równocześnie głośny rozkaz, tego Old Shatterhand nie słyszał, gdyż szum stał się jeszcze głośniejszy, ale co owo uniesienie ręki oznaczało, dobrze wiedział - męczeńską śmierć Martina i Wohkadeha. Myśliwy przyłożył kolbę do policzka i dwukrotnie zabłysło z Postrachu Niedźwiedzi, szybko, raz za razem. Siuksowie_Oglala nie mogli dosłyszeć łoskotu obu strzałów, gdyż pod ich stopami dudniły grzmoty.

- Do dołu z nimi! - rozkazał donośnym głosem i wyciągając przy tym rękę wódz Oglalajów. Dwóch jego ludzi, którzy mieli wykonać rozkaz, szybkim krokiem zbliżyło się do leżących na ziemi jeńców. Z ust ojca Martina wyrwał

się znów krzyk zgrozy, którego jednak w owym strasznym zgiełku nikt nie dosłyszał.

Lecz co to! Obaj kaci nie tylko pochyłili się, aby ująć jeńców, ale nawet padli obok nich i nie wstawali.

Hong_peh_te_keh mówił coś, czego nie można było zrozumieć, gdyż z otworu krateru, przeraźliwie gwizdząc unosiła się woda i para, tu zaś, na dole, słychać było jak gdyby głucho strzały armatnie dochodzące z krateru błotnego wulkanu.

Ciężki Mokasyn doskoczył do nich, pochylając się nad oboma i rzucił się na nich z pięściami. Złapał jednego za ramię i uniósł go do połowy w górę. Para indiańskich oczu, wpatrywała się w niego martwo. W uniesionej zaś głowie wódz dostrzegł otwór, jeden z przodu, drugi z tyłu.

Przerażony wypuścił z rąk ciało

i zerwał się na równe nogi. Twarz miał wykrzywioną ze zgrozy.

Siuksowie nie mogli pojąć zachowania się dwu wojowników i swego wodza, podeszli więc bliżej. Wielu z nich pochyliło się nad znieruchomiętymi, i podobnie jak wódz zamarło z przerażenia.

W dodatku pojawiło się jeszcze coś innego, co wydawało im się nie mniej straszne. Gwizd i syk gejzeru umilkł niemal zupełnie, tak że ucho znów mogło łowić inne tony. I oto od strony rzeki narastał wściekły ryk. Wszystkie oczy zwróciły się w tym kierunku. Ujrzeni olbrzymią czarną postać zbliżającą się susami, wymachującą długim i mocnym sękaczem. Zjawisko to ociekało brudną, zielonożółtą rzeczną pianą i obwieszane było płataniną sitowia i na wpeł zgniłą trzcina.

Bob, który musiał przedzierać się przez zarośnięty półwysep, nie tracił czasu, aby się owych ozdób pozbyć. Stanowił zatem widok, którym mało przypominał ziemską istotę. W dodatku jego wycie, wściekle toczące się oczy i mocne, oślepiające bielą zęby, które szczyrzył - wszystko to spowodowało, że Oglalajowie stanęli jak wryci... Ale oto Bob już się na nich rzucił... Rycząc i rażąc maczugą niby Herkules. Parł poprzez ową masę i rzucił się na wodza.

- Massa Martin! Gdzie być kochany massa Martin?! - krzyczał zziębnięty. - Tutaj masser Bob, tutaj, tutaj! Bob zniszczyć wszystkie Siuksy! On zmiażdżyć całkiem wszystkich wielu Oglalajów!

- Hurra! To przecież Bob! - wołał Jemmy. - Zwycięzimy! Hurra, hurra!

Równocześnie z góry słychać

było wielogłosową wrzawę, był to indiański okrzyk wojenny - przesywające do szpiku kości

falsetowe, przeciągłe jiiiiih! Przy czym czerwonoskórzy uderzali się jedną ręką w policzki, trelując zawzięcie.

Ów dobrze znany zwiastujący niebezpieczeństwo wojenny okrzyk poderwał Siuksów z odrętwienia. Niektórzy z nich wyskoczyli do przodu i spoglądali w dół rzeki, skąd dochodziło owo wycie. Zobaczyli nadjeżdżających galopem Szoszonów i Upsaroków. W całym tym zaskoczeniu Siuksowie stracili zupełnie głowy i wcale nie spostrzegli, że wrogowie byli w mniejszości. Niewyjaśniona śmierć dwóch towarzyszy, pojawienie się Boba, który wyglądał jak sam szatan bijący na odlew, oraz zbliżanie się wrogich Indian - wszystko to wywołało w nich obłądny strach.

- Dalej, dalej! Ratuń się, kto może! - ryczeli i rzucili się do koni.

Wtedy Jemmy ścisnął mocno łydkami swoją starą szkapę i zawołał głośno:

- Zrywajcie pęta! Szybko, jedźmy naprzeciw wybawcom!

I jego długonoga chabeta natychmiast ruszyła z miejsca, pociągając za sobą muła, na którym siedział Długi Davy. Koń Franka podążył za nimi bezzwłocznie już bez żadnego sygnału ze strony swego jeźdźca. Konie były podenerwowane do tego stopnia drżeniem ziemi, grzmotem, dudnieniem i wyciem, że żaden z Siuksów nie zdołałby ich powstrzymać.

Czy rzeczywiście żaden? O nie, znalazł się przecież ktoś, kto się jednak odważył, a był nim wódz Hong_peh_te_keh. Bob uderzył go swoją maczugą tak mocno, że wódz runął na ziemię. Bob przykląkł przy swoim młodym panu, aby zapominając o wszystkim, zatroszczyć się o niego:

- Mój dobry, dobry massa

Martin! - wołał wierny, lecz

mało przezorny Murzyn. - Tutaj

być dzielny masser Bob! On szybko przeciąć rzemienie massa Martin.

Wódz zdołał się podnieść i już wyjmował nóż, aby Murzyna zakłuć, ale w tym momencie usłyszał wycie wrogów i zobaczył, że jego ludzie szykowali się do ucieczki, podczas gdy jeńcy uciekali, aby przede wszystkim oddalić się od Oglalajów.

Zorientował się, że także musi salwować się ucieczką. Nie należał on jednak do tych, którzy wypuszczają z rąk wszystkie atuty. Podbiec do konia i wskoczyć na siodło było to dla niego sprawą sekundy. Na szczęście wszyscy jego ludzie mieli karabiny przytroczone do siodła. Przyparł swoim koniem konia Baumanna, tak iż ten się

spłoszył i skoczył gwałtownie w górę. Zręcznym ruchem wódz pochwycił go za wodze i wydał z siebie przeraźliwy, przenikliwy okrzyk, którym poderwał swojego rumaka i popędził go w górę rzeki, pociągając za sobą konia Baumanna wraz z jeźdźcem.

12. Przy Paszczy Piekła

Siuksowie_Oglala byli przekonani, że w górnym biegu rzeki nie ma wrogów i że po dotarciu do grobu wodzów mogą się czuć bezpieczni - tutejsza okolica zapewniała im doskonale schronienie.

Zanim Old Shatterhand wyruszył znad jeziora Yellowstone, umówił się z Winnetou, że ten pojedzie wraz z pozostałymi przy nim wojownikami ku Paszczy Piekła i poczeka tam na przyjaciela. Wódz Apaczów postąpił zgodnie z ustaleniem.

Krótko po wyjeździe Old

Shatterhanda opuścił obozowisko
i ze swoimi Indianami jechał tak
szybko, że już późnym
popołudniem przybyli ku
wschodniemu podnóżu gór

Firehole. Wznosiła się tu równina, która ku górze stawała się coraz bardziej wąska i stroma. Utworzyły ją osady cieku wodnego, który brał swój początek na górze. Tam też znajdowali się jeźdźcy w dziewiczym lesie, którego jak się mogło zdawać, nie dotknęła dotąd ludzka stopa.

Apacz znał jednak doskonale drogę. Jechał tak pewnie, jak gdyby widział przed sobą wytyczoną ścieżkę, biegnącą pośród wysokich drzew, najpierw ostro pod górę, potem poziomo i wreszcie opadającą w dolinę po drugiej stronie górskiego grzbietu pomiędzy leżącymi wokół w nieładzie potężnymi odłamkami skalnymi.

Wtem rozległ się przed nimi łoskot, który spłoszył konie, straszny jak potężna eksplozja dynamitu, a po nim wystrzały niby z ciężkich dział fortecznych, następnie salwy niby ciągłego ognia karabinowego - wszystko rozplynęło się w turkocie, dudnieniu, szumie i syku, jakby przed zaskoczonymi jeźdźcami pojawił się i ginął olbrzymi fajerwerk.

- Uff! - zawołał Dzielny

Bawół. - Co to takiego?

- To Koso_tip_tupa, Paszcza

Piekła - odparł Winnetou. - Mój brat zobaczy za chwilę, jak on pluje.

Podjechał tylko kilka kroków... Następnie zatrzymał się i odwrócił do czerwonoskórych wojowników:

- Niech moi bracia się zbliżą! W dole otworzyła się Paszcza Piekła. Pokazywał na dół na otchłań, która się przed nimi otworzyła, i Indianie pośpieszyli ku niemu.

Gdy roztoczył się przed nimi
widok skalnej ściany, opadającej
pionowo z wysokości około stu
metrów, z doliną rzeki zwanej
Firehole, czyli Dziurą Ognia,
przystanęli. Na wprost nich na

przeciwległym brzegu strzelał z ziemi na piętnaście metrów w górę słup wody o średnicy około siedmiu metrów, tworząc u wierzchołka niemal kulistą głowicę, z której tryskały ku niebu liczne pojedyncze, grube jak ramię strumienie na wysokość ponad trzydziestu metrów z gorącą wodą, gdyż ów gigantyczny wir rozpryskujący się górą w kształcie parasola spowity był powłoką niemal przezroczystej mgły. Za tym cudownym dziełem natury ściana brzegu cofała się tworząc głęboko wycięty kocioł skalny, za którego tylnym zrębem lśniło zachodzące słońce. Słoneczne promienie padały na słup wody, który mienił się najwspanialszymi barwami. Gdyby przybysze spoglądali na owo zjawisko z innej strony, wówczas spostrzegliby wokół tysiące rozedrganych łuków tęczy.

- Uff, uff! - rozległo się z wszystkich ust, wódz Szoszonów zaś zwrócił się do Winnetou:

- Dlaczego mój brat nazywa to miejsce Koso_tip_tupa, Paszczą Piekła? Czy nie powinien się on nazywać raczej Ustami Nieba? Oihtka_petay nigdy jeszcze nie widział czegoś tak wspaniałego.

- Niech mój brat nie ulega złudzeniu. Zło często przybiera piękną postać. Człowiek mądry wypowiada opinię dopiero wówczas, kiedy odczeka zakończenia.

Wzrok zachwyconego Indianina
spoczywał jeszcze z podziwem na
pysznym widowisku, gdy nagle
rozległ się podobny jak przedtem
grzmot i obraz zmienił się w
okamgnieniu. Słup wody opadł i
przez kilka sekund słychać było
głucho toczący się dźwięk, a z
otworu ziemi zaczęły się
wydobywać brązowożółte kłęby
pary. Wybuchy następowały jeden

po drugim coraz szybciej, aż
zespoliły się w przeraźliwe
syczenie. Pojedyncze kłęby pary

związały się w słup czarnego dymu i teraz z wnętrza otworu tryskała ciemna, błotnista masa, która unosząc się niemal tak wysoko jak poprzednio spieniona woda, rozprzestrzeniała obrzydliwy fetor. Ponad płynne masy wlatywały jeszcze wyżej jakieś odłamy i za każdym razem rozlegał się wyjący pomruk, jaki słyszy się w menażeriach z dzikimi zwierzętami, które zgłodniałe czekają na posiłek. Owe wybuchy następowały jeden za drugim, zaś w przerwach z otworu dochodziły odgłosy jęków i stękania, jak gdyby w głębi dołu pokutowały wyklęte dusze.

- Wa_poh, to straszne! - zawołał Dzielny Bawół.

- No i? - pytał Winnetou - czy mój brat także teraz chciałby nazwać ten otwór Ustami Nieba?

- O nie! Niechby stał się on grobem dla wszystkich wrogów Szoszonów!
Czy jedziemy dalej?

- Nie, rozbijemy nasz obóz właśnie tam na dole przy Paszczy Piekła.

- Uff! Czy to konieczne? Ten smród jest okropny.

- Tak, ale piekło odezwało się dzisiaj po raz ostatni i nie będzie już drażniło nosów Szoszonów.

Droga Apacza i jego towarzyszy prowadziła teraz wzdłuż krawędzi skalnej do miejsca, w którym brzeg tworzyła bardziej krucha skamielina i ziemisty grunt. I tutaj działały ukryte siły. Przed wiekami istniał tu krater, który pochłoniął całą nabrzeżną ścianę. Miękka ziemia osunęła się za nią i stworzyła hałdę, która usiana była stosunkowo gęsto na wprost zgniłymi pniami i pojedynczymi odłamkami skał.

Owo osuwisko było strome i wcale nie wyglądało bezpiecznie. Widniały na nim liczne obramowane siarkowym żółcieniem dziury, z których unosiły się opary jako widomy znak, że ziemia jest tu podminowana.

- Czy tędy chcemy przedostać się na dół? - zapytał Oihka_petay Apacza.

- Tak. Nie ma innej drogi.

- A czy się nie zapadniemy?

- Gdybyśmy byli nieostrożni, mogłoby to łatwo nastąpić. Kiedy Winnetou był tutaj wraz z Old Shatterhandem, zbadał okolicę dokładnie. Istnieją tu miejsca, w których skorupa ziemska jest gruba na szerokość twojej ręki, lecz Winnetou pojedzie pierwszy. Jego koń jest mądry i nie stąpnie tam, gdzie czyha niebezpieczeństwo. Moi bracia mogą podążać za mną bezpiecznie. Poprowadził swego konia poprzez krawędź osuwiska i nie zsiadając z niego, pozwolił mu zstępować w głąbię. Indianie podążali za nim z ociąganiem. Gdy jednak zobaczyli, jak ostrożnie Ilczy bada kopytami grunt, zanim uczyni kolejny krok, zawierzyli spokojnie przewodnictwu Winnetou.

- Niech moi bracia jadą w dużych odstępach - nakazał im - aby ziemia dźwigała ciężar jednego jeźdźcy. Gdyby pod którymś z koni ziemia zaczęła się zapadać, jeździec musi natychmiast poderwać zwierzę i uskoczyć do tyłu. Na szczęście uniknęli niebezpieczeństwa. Wprawdzie nierzadko trafiali na głucho dudniące miejsca, ale cały pochód dotarł szczęśliwie na dół do rzeki. Woda była tu ciepła, a jej powierzchnia niebieskozielona, połyskująca i oleista, podczas gdy nieco dalej w górze o jej brzeg uderzały fale czyste i klarowne. W tym miejscu konie weszły do wody i przepłynęły ją bez trudu. Winnetou obrał znów kierunek w dół, wprost na Paszczę Piekła.

Erupeja błotnego wulkanu

skończyła się. Kiedy jeźdźcy
przybyli na miejsce i zbliżyli
się ostrożnie do krawędzi
otworu, mogli spojrzeć w ciemną

głąbię wynoszącą około czterdziestu metrów, w której panował teraz absolutny spokój. Jedyne porzrzucone dookoła masy błota zdradzały, że jeszcze kilka minut temu czeluść wrzała i kipiała.

Winnetou wskazał kocioł skalny znajdujący się poza Paszczą Piekła i powiedział:

- Tam znajduje się grób wodzów

Siuksów_Oglala, których zwyciężył Old Shatterhand! Niech moi bracia idą za mną! Dno owego kotła tworzyło koło o średnicy około połowy angielskiej mili. Ściany jego były do tego stopnia strome, że niemożliwe byłoby wspiąć się po nich. Wiele otworów wypełnionych gorącym błotem albo parującą wodą czyniło dalsze posuwanie się bardzo niebezpiecznym, nie rosło tu nawet źdźbło trawy, najmizerniejsza roślina.

Pośrodku doliny Indianie wzniesli wtedy kopiec z kamieni, odłamków siarki i błota, które tworzyło obecnie twardą, szorstką masę. Wysoki około pięciu, szeroki na

cztery i długi na siedem metrów. Na wierzchołku zatknięto łuki i dzidy przybrane symbolami wojny i śmierci, z których pozostały jedynie żalosne strzępy.

- Tutaj - oznajmił Winnetou - spoczywa Zły Ogień, najsilniejszy wódz Oglalajów, i jeszcze dwóch innych, którzy zginęli od ciosów Old Shatterhanda. Każdy z nich siedzi teraz na koniu z karabinem na kolanach, z tarczą w lewej i tomahawkiem w prawej ręce. Tam na górze zatrzymał się konno Old Shatterhand; zanim zjechał w dół na śmiertelny bój, postrzelił każdego z nich. Nie chciał ich zabić, a ich kule nie dosięgały go, gdyż chronił go Wielki Duch białych twarzy.

Mówiąc te słowa pokazał ręką w prawo, gdzie na wysokości około piętnastu metrów nad Paszczą

Piekła wysunięty był skalny występ, na którym leżały głazy wielkości człowieka. Od tego występu skośnie w dół ciągnął się szereg o wiele mniejszych progów skalnych aż ku samej ziemi, po których z trudem można się było wspiąć. Jednak najśmielszy nawet jeździec z trudem pojmował, w jaki sposób Old Shatterhand wjechał tam na koniu.

Dzielny Bawół objechał powoli grób, a potem zapytał Winnetou:

- Kiedy mniej więcej

Siuksowie_Oglala znajdą się nad Firehole?

- Może nawet dziś wieczorem.

- Zatem grobowiec swoich wodzów powinni znaleźć zniszczony. Ich prochy niechaj rozniosą wiatry, zaś kości wrzucimy do Paszczy Piekła, aby ich dusze biadały tam w dole z Koso_pa, którego przeklął Wielki Duch! Dobądźcie tomahawki i dokonajcie dzieła zniszczenia!

Zsiadł z konia i schwycił bitewny topór, aby rozpocząć dzieło.

- Stop - zakazał Winnetou. -

Zostawcie ten grób w spokoju! Old Shatterhand nie zdarł poległym skalpów i nawet własnoręcznie pomógł ich pogrzebać. Dzielny wojownik nie walczy z kośćmi zmarłych. Wielki Duch pragnie, aby umarli spoczywali w spokoju, Winnetou zaś będzie grób ten ochraniał! Howgh!

Zawrócił konia i pojechał, nie oglądając się, z powrotem ku Paszczy Piekła.

Żaden przyjaciel nie rozmawiał dotąd w taki sposób z Oihtką_petayem. Rozsierdziło go to, nie odważył się jednak postąpić wbrew woli Apacza. Mruknął pod nosem „uff” i podążył za nim. To samo uczynili w milczeniu jego ludzie. Zdecydowana postawa Winnetou zrobiła na nich wrażenie.

Zaczął zapadać zmierzch, kiedy

Apacz zatrzymał się niedaleko Paszczy Piekła i zsiadł z konia. Ze skały wypływało zimne źródło, jego woda przecinała dolinę i wpadała do rzeki. Prócz źródła miejsce to nie miało nic, co sprzyjałoby rozbiciu obozu. Winnetou musiał się czymś kierować, wybierając je na nocleg. Uwiązał do palika konia, zwinął swój koc w poduszkę i ułożył się do snu w pobliżu skały. Szoszonowie siedzieli początkowo obok siebie cicho gaworząc, potem poszli za jego przykładem. Ich wódz, zapomniawszy o urazie, położył się obok Winnetou. Zrobiło się zupełnie ciemno. Upłynęło kilka godzin i zdawało się, że Apacz śpi, ale oto nagle wstał, ujął karabin i powiedział do Oihtki_petaya:

- Niech moi bracia nadal tu spokojnie leżą. Winnetou pójdzie na zwiady.

I zniknął w ciemnościach. Oni nie mieli jednak zamiaru spać, zanim Winnetou nie powróci z ryzykownego spaceru. Musieli wszakże długo czekać, gdyż zbliżała się już północ, kiedy wreszcie wrócił. Winnetou powiedział głośno i prosto, jak to miał w zwyczaju:

- Hong_peh_te_keh, Ciężki

Mokasyn obozuje ze swoimi ludźmi nad Diabelską Wodą. Ma on ze sobą Łowcę Niedźwiedzi wraz z pięcioma towarzyszami, uwięził również naszych pięciu braci, którzy nas tej nocy opuścili. Old Shatterhand na pewno znajduje się w pobliżu. Niechaj moi bracia teraz śpią! Z nastaniem dnia Winnetou wraz z Oihtką_petayem jeszcze raz przedostaną się do Diabelskiej Wody. Howgh!

Ledwie zaczynało świtać, kiedy Winnetou zbudził wodza Szoszonów i powoli, ostrożnie i bezgłośnie poszli z biegiem rzeki.

Odległość od Paszczy Piekła do Diabelskiej Wody wynosiła chyba

milę. Niedaleko obozu wrogów rzeka tworzyła zakręt. Stojąc za skalnym narożnikiem obaj wodzowie mogli obserwować Siuksów. Przeciwnicy przyprowadzili właśnie konie, które napojono poniżej obozu, i zaczęli spożywać posiłek.

Winnetou skierował wzrok na prawy, wysoki brzeg rzeki, skąd winien przybyć Old Shatterhand, jeśli już się nawet tam nie znajdował.

- Uff! - powiedział cicho. -

Old Shatterhand już tam jest.

- Gdzie? - spytał Oihtka_petay.

- Tam, na wzniesieniu.

- Przecież tam rośnie gęsty las i nic nie można zauważyć.

- Zgadaza się, ale czy mój brat nie spostrzege wron, które unoszą się nad drzewami? Ktoś je spłoszył. Old Shatterhand przemierzając las zjedzie w dół poniżej obozu Siuksów, gdzie go oni nie dojrzą, i tam przeprawi się przez rzekę. Potem zaatakuje ich i popędzi wzdłuż wody w górę rzeki. W tym samym czasie my musimy warować przy Paszczy Piekła, aby nie mogli oni pójść dalej i by ich można było zapędzić w dolinę, w której stoi grób wodzów. Niech mój brat szybko podąży za mną, gdyż nie pozostało nam wiele czasu!

Obaj szybko zawrócili. Na ogół przypuszczenia Winnetou były słuszne, mimo że nie mógł on znać wszystkich szczegółów. Gdy tylko przybyli do swoich, Apacz zarządził co trzeba, wojownicy zaczęli przygotowywać się do boju.

Teraz doszedł do nich straszny łoskot z dołu.

- Diabelska Woda podnoi głos - oznajmił Winnetou. - W ślad za nią odezwie się także Paszcza Piekła. Cofnijcie się, aby was nie dosięgło.

Od poprzedniego razu wiedział,
że oba kratery są ze sobą
wzajemnie połączone, i dlatego
odsunął się na odpowiednią

odległość. Wkrótce zgiełk Wody Diabelskiej ucichł, i dlatego usłyszano okrzyk wojenny trzydziestu Szoszonów i Upsaroków, którzy w tym momencie uderzyli na Siuksów.

Zaczęło się dziać teraz to, co przewidział Winnetou: Paszcza Piekła zaczęła działać tak samo jak wczoraj na przedwieczór. Pośród grzmotu i syku wyrósł słup wody, jego rozchodzące się górą strumienie spływały w szerokim promieniu. Dzięki temu Winnetou wraz ze swoimi ludźmi znaleźli się pod wspaniałą osłoną, gdyż szturmujący Siuksowie nie mogli dojrzeć stojących za potężną fontanną Szoszonów. Winnetou starał się zjechać jak najbardziej w bok, aby móc spoglądać w dół rzeki. Widział więc zbliżających się wrogów, pędzących w popłochu bezładną gromadą, ogarniętych grozą.

- Nadchodzą! - zawołał. - Na mój znak, wynurzymy się z ziejącej paszczy i nie przepuścimy ich w górę pomiędzy kraterem a rzeką. Muszą oni skrócić w lewo, w dolinę, w której stoi grób, ale nie strzelajcie do nich. Wystarczy, że strach zapędzi ich do środka.

Pierwsi Siuksowie znajdowali się już w pobliżu. Faktycznie mieli zamiar przedostać się dalej w górę, lecz oto zza słupa wody wyłonił się Winnetou. Jego okrzyk - Jiiiiii! - zabrzmiał przeraźliwie w rannym powietrzu, w czym

zawtórowali mu Szoszonowie. Siuksowie spostrzegli, że zablokowano im drogę, i skręcili na ukos, szukając ratunku w skalnym kotle.

Za pierwszymi wrogami pokazała się ciasno zbита gromada jeźdźców. Stanowiło ją zbliżające się w pełnym galopie kłębowisko złożone z Siuksów i białych z wodzem Oglalajów, Łowcą Niedźwiedzi i Hobble Frankiem pośrodku.

Jeńcy przywiązani na koniach popędzili naprzeciw swoim wybawcom. Nagle rozległ się krzyk z ust Martina Baumanna i Wohkadeha oraz ich wybawcy Boba - spostrzegli oni, że wódz Siuksów porwał Baumanna. Frank odwrócił się słysząc ów krzyk. W mig zorientował się, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się jego przyjaciel. Mimo więzów uciskiem łydek zawrócił momentalnie konia i zatrzymał się przed Murzynem.

- Przetnij mi więzy, Bob!

Prędeż, prędeż! - wołał.

Bob posłuchał rozkazu. Frank zeskoczył z konia, wyjął jednemu z zastrzelonych przez Old Shatterhanda Siuksów tomahawk, wskoczył znów na konia i popędził za wodzem.

Murzyn nie miał konia, Martin i Wohkadeh nie mogli się włączyć do pomocy, bo mieli okaleczone pętami przeguby dłoni. Mogli tylko krzyczeć. Dzięki temu zwrócili uwagę Jemiego, który spojrzął za siebie i zbulwersowany zawołał do Długiego:

- Wracaj, Davy! Siuks porwał

Baumanna!

Również i przed nimi pojawił się Bob i rozciął im więzy. Jemmy wyrwał mu z ręki nóż i pogalopował za Saksończykiem, zaś Davy bez broni za nim.

Szoszonowie i Upsarokowie pędzili teraz za przyjaciółmi i wrogami, w tym samym zaś czasie przybył na ten brzeg Old Shatterhand prowadząc za sobą konia, którego pozostawił Bob. W całym tym zamieszaniu nikt na Boba nie zwrócił uwagi prócz myśliwego, który zważał na wszystko.

- Masz tutaj strzelbę i konia,

Bob! - zawołał, rzucając mu uzdę i broń. - Uwolnij resztę jeńców, a potem jedźcie powoli za nami!

Odcinek brzegu rzeki pomiędzy

Paszczą Piekła a Diabelską Wodą
przedstawił teraz coś więcej

niż panoramę wojenną. Siuksowie, Upsarokowie, Szoszonowie i biali krzyczeli, ile tylko sił mieli w płucach. Z uciekających każdy zważał jedynie na siebie. Każdy myślał wyłącznie o własnym ratunku. Przyjaciele Łowcy Niedźwiedzi przemknęli obok wrogów, wyprzedzając ich bez walki, gdyż jedyną myślą, która ich teraz ożywiała, była chęć uwolnienia Baumanna.

Old Shatterhand stał wyprostowany w strzemionach, z przerzuconą przez plecy dubeltówką i ze sztucerem w dłoni. Znajdował się on na samym końcu tej czeredy, ale jego koń brzuchem niemal dotykał ziemi, i w ten sposób dopędził Upsaroków i piętnastu Szoszonów.

- Wolniej! - zawołał, w momencie, kiedy ich wyprzedzał.

- Uważajcie tylko, aby popędzać Siuksów. Tam czeka na nich Winnetou, który ich nie przepuści. Żaden nie może nam ująć, ale nie zabijajcie ich! I w dalszym ciągu mijali przyjaciół i wrogów. Nogi Hatatitli pożerały drogę. Należało dogonić owo kłębowisko, zanim wydarzy się nieszczęście.

Koń małego Saksończyka nie należał do szlachetnych wierzchowców, lecz Frank warczał tak groźnie i okładał go do tego stopnia styliskiem tomahawka, że zwierzę pędziło, jakby miało skrzydła. Należało jednak przewidzieć, iż długo tego nie wytrzyma.

Frank dopędził jednak wodza Siuksów_Oglala. Zrównał się z nim i przygotowawszy tomahawk zawołał:

- Szonka, ta ha na, deh peh!

Zbliż się, psie! A zrobię z tobą koniec!

- Czincza sicza lehgcza tahanadahpi! - odpowiedział wódz z drwiącym uśmiechem. - Uderz, nędzny karle!

Odwrócił się w kierunku Franka

i odparował gołą ręką jego cios

w taki sposób, że uderzył go w przedramię i wytrącił mu broń z ręki. Wyjął zza pasa nóż, chcąc go strącić z konia.

- Niech pan uważa, Frank! - wołał Jemmy, który popędzał za nimi konia, aby ich dogonić.

- Niech się pan nie obawia! - wołał Mały w odpowiedzi. - Żaden czerwonoskóry nie wykopie mnie tak łatwo z siodła. On nigdy już nie postrzeli w nogę żadnego dzielnego Niemca!

W tym samym momencie cofnął się o krok koniem, aby nie zostać trafionym, i śmiałym skokiem przeskoczył na konia Oglalaja, natychmiast ścisnął wodza,

aby ten nie mógł ruszać rękami. Wódz wściekle ryczał i usiłował uwolnić ręce, co mu się jednak nie udawało, gdyż Frank trzymał go mocno, ile tylko miał sił.

- Świetnie! - wołał Jemmy. -

Nie puszczaj go! Lecę na pomoc.

- Zatem niech się pan trochę pośpieszy! Niełatwo rozgnieść takiego drania! Wszystko to działo się błyskawicznie, znacznie szybciej, niż się opowiada. Oglala trzymał w prawej ręce nóż, zaś w lewej wodze od konia Baumanna. Prężył się w siodle i miotał na prawo i lewo - daremnie. Mimo całego wysiłku nie mógł się uwolnić z uścisku Franka.

Baumann ciągle był związany i nie mógł nic zrobić, aby się uwolnić. Zachęcał Franka do wytrzymania. Mały odpowiadał, mimo że dyszał z wysiłku:

- Dobrze, dobrze! Cisnę go jak boa dusiciel i nie puszczę wcześniej, chyba że mi pękną płuca.

Oglala utracił teraz panowanie nad koniem, który natychmiast zwolnił. Dzięki temu Jemmy dogonił jeźdźca. Zbliżył się także Davy. Gruby przywarł koniem do konia Baumanna i przeciął więzy nożem Boba.

- Zwyciężyliśmy! - zawołał do niego po niemiecku. - Niech pan temu czerwonoskóremu wyrwie uzdę z ręki!

Baumann próbował to uczynić, ale nie miał sił. Jemmy chciał mu dać nóż, ale nie mógł tego zrobić, gdyż trzech uciekających przed nimi Siuksów spostrzegło, w jakim położeniu znalazł się ich wódz. Dwóch z nich zaatakowało z wściekłością Grubego, mina zaś trzeciego wskazywała na to, że rzuci się on na Franka, który nie miał wolnych rąk do obrony. Wtedy Davy zdzielił swego muła między uszy, tak że ruszył on gwałtownie do przodu i wkrótce znalazł się obok Indianina. Davy złapał go za kołnierz bluzy, ściągnął z konia i zrzucił na ziemię.

- Hurra! Hurra! - wołał Hobble

Frank. - Pomoc nadeszła w ostatniej minucie! Ale niech pan zajmie się także wodzem, bo sam już mu nie dam rady!

- Robi się! - odparł Długi i wyciągnął ręce, aby wydostać go z siodła, ale w tym momencie rozległ się przed nimi straszliwy huk, tak że przestraszone konie cofając się powpadały na siebie. Davy z trudem utrzymywał się w siodle. Jemmy, który musiał użyć wszystkich swoich sił, aby opędzić się przed czerwonoskórými, został zrzucony z konia, to samo przytrafiło się Łowcy Niedźwiedzi.

Bezładna gromada jeźdźców znalazła się tuż obok Paszczy Piekła. Fontanna wody opadła, natomiast pośród przerażającego grzmotu uniósł się słup błota,

przed którym pierzchały konie. Daleko wokół leciały ochłapy gorącej, brudnej masy.

Koń wodza przysiadł ze strachu
na tylnych nogach, ale znów się
szybko zerwał i popędził w lewo
ku rzece, właśnie wtedy gdy Old
Shatterhand osiągnął kotłującą

się na ziemi gromadę.

Myśliwy zamierzał wprawdzie wesprzeć dzielnego Franka, ale musiał z tego zrezygnować widząc, że dwaj czerwonoskórzy rzucili się pieszo na Jemmię chcąc go zabić. Długi Davy musiał się aż nadto borykać z przerażonym mułem, nie mogąc przez to ratować przyjaciela, i dlatego Old Shatterhand pośpieszył z pomocą Grubemu. Zatrzymał swego konia, zsiadł i ogłuszył obu Oglalajów dwoma ciosami kolby.

Winnetou ciągle jeszcze tarasował odcinek pomiędzy Paszczą Piekła a rzeką. Miał on nie przepuścić Siuksów_Oglala i zapędzić ich w kocioł doliny z grobem wodzów. I to mu się udało. Kiedy czerwonoskórzy ujrzeni jego gromadę, skierowali się w dolinę. Wydarzenia następowały tak szybko, iż Apacz nie zdążył się w to wszystko włączyć. Natomiast teraz latające masy błota uniemożliwiły mu zupełnie posuwanie się do przodu. Istniał tylko jeden człowiek, którym Apacz mógł się zająć, a był nim Hobble Frank. Widział on, że Mały, ciągle jeszcze siedząc za Hong_peh_te_kehem, opasując go obiema rękami, jest przez przerażonego konia unoszony w stronę rzeki, i to tak szybko, że wydawało się wręcz niemożliwe pomóc mu, zanim nieszczęsny znajdzie się w rzece. Pomimo to Apacz popędził swego konia w tym kierunku, zaś kilkunastu Szoszonów podążyło za nim.

Wódz Siuksów zorientował się, że niebezpieczeństwo, jakie powodował uścisk małego Saksończyka, osiągnęło szczyt. Wściekłość i lęk zdwoiły jego siły. Zdołał uwolnić ręce z objęcia Franka i potężnym pchnięciem łokciami uwolnił się od Saksończyka.

- Giń! - ryknął zamierzając się nożem, aby pchnąwszy nim do

tyłu wbić ostrze w ciało dzielnego Franka.

Frank jednak szybko zrobił unik i nóż chybił. Saksończyk był bez broni. Przypomniawszy sobie cios pięści Old Shatterhanda. Chwył lewą ręką wroga za gardło i uderzył Oglalaję ściśniętą prawicą z taką siłą w skroń, że sam miał uczucie, jakby zgruchotał sobie pięść. Ciało uderzonego osunęło się ku przodowi.

Byli już przy rzece - koń wysokim, długim skokiem wpadł do niej i obaj jeźdźcy wylądowali przed końskim łbem w wodzie. Koń poczuł się wolny. Zrobił kilka ruchów, obrócił się powoli i wydostał na brzeg.

Teraz zjawił się Winnetou, który przyłożył strzelbę do ramienia, aby być gotowym do strzału, gdyby pomiędzy dwoma zrzuconymi doszło w wodzie do bójk. Z początku nic nie było widać. Tylko kapelusz Franka zbliżał się do brzegu. Jeden z Szoszonów wyciągnął go oszczepem. Potem nieco niżej, lecz stosunkowo daleko od brzegu pojawiła się głowa Indianina, której czubem zdobiły pióra. W pewnej odległości od niego wypłynął również Frank.

Rozejrzał się, spostrzegł głowę przeciwnika i zwinnymi ruchami popłynął ku niemu. Czerwonoskóry został tylko na wpół ogłuszony i zamierzał czmychnąć, lecz mały Saksończyk rzucił się ku niemu niby drapieżny szczupak, skoczył mu na grzbiet, złapał go lewą ręką za włosy, prawą natomiast tłukł go w skroń. Oglala znikł, a z nim i Frank. Nad nimi wytworzył się wir, powstawały pęcherzyki wody, pojawiła się ręka Siuksa, aby po chwili znów zniknąć. Przez moment można było widzieć obie nogi Franka i połę jego fraka. W każdym razie pod wodą rozgrywała się zażarta walka. Winnetou nie mógł wspomóc Franka strzałem, dlatego

odrzucał w pośpiechu broń, aby wskoczyć do wody, ale w tym momencie wypłynął Hobbler Frank, kaszląc i prychnając rozglądał się na wszystkie strony i spytał po niemiecku:

- Jeszcze nie wypłynął?

Pytanie to skierowane było do Old Shatterhanda, Daviego i Jemiego, którzy właśnie pojawili się na brzegu. Kiedy w kilka sekund potem pojawił się ponownie na powierzchni wody, trzymał pokonanego wroga lewą ręką za włosy i powoli płynął ku nim.

Powitano go triumfalnymi okrzykami, zaś on sam krzyczał głośniejszym głosem od całej reszty:

- Bądźcie, panowie, cicho! Mój kapelusz gdzieś znikł. Czy spośród szanownych zebranych nikt go na wodzie nie widział?

- Niestety - padła odpowiedź.

- Okropność! Czy z powodu tego tu Oglali mam stracić mój kapelusz ze strusimi piórami? O, właśnie go widzę! Szoszon ma go na głowie. Zaraz mi go odda!

Pobiegł do Indianina po ozdobę swojej głowy. Teraz był gotów przyjmować od przyjaciół wyrazy hołdu i uznania.

- Kosztowało to trochę wysiłku

- powiedział. - Ale nam nie sprawia to różnicy. Veni, vidi, vici, powiedział Hannibal do Wallensteina, i mnie przyszło to z taką samą łatwością.

- Tak powiedział Cezar - wtrącił się Jemmy - a o Wallensteinie w ogóle wtedy historia nic jeszcze nie wiedziała!

- Niech pan łaskawie milczy panie Jakubie Pfefferkorn! Cóż bowiem historia wie o panu?

Niech pan najpierw wskoczy z tyłu na czerwonoskórego, potem niech pan wraz z nim wpadnie do wody i niech mu pan tam pod wodą przerwie na moment żywot! Nie będę miał potem nic przeciwko pańskim łacińsko_aptekarskim wygłupom. Nie wcześniej. Mnie

zaś potomni postawią marmurową tablicę, aby duch mój w ciche noce cieszył się, że nie żył tak zupełnie daremnie, i nie darmo wskoczył do rzeki zwanej Dziurą Ognia. Pokój moim popiołom!

Nie byłoby nic dziwnego, gdyby odpowiedzią na to był dalszy śmiech, ale tak się nie stało. Zachwyt, w jaki sam wpadł, udzielił się wprawdzie i innym, ale ci pozostali poważni, zaś Winnetou podał mu dłoń i powiedział:

- Ni.nte nakate.nszo. Jesteś dzielnym człowiekiem!

Dał potem Old Shatterhandowi zrozumiałą dla obu znak ręką, że pozostawia go tutaj samego, wsiadł na konia i przejeżdżając ze swoimi Szoszonami obok

spokojnej teraz Paszczy Piekła, udał się do wlotu doliny, gdzie w głębi zgromadzili się zbiegli Siuksowie.

Na straży tego wlotu warował czarownik Upsaroków i Moh_aw, syn wodza Szoszonów, ze swymi wojownikami. Kiedy olbrzymi czarownik usłyszał, że Ciężki Mokasyn, jego śmiertelny wróg, leży pokonany nad rzeką, popędził tam co tchu. Przybywszy na miejsce, stwierdził, że Hong_peh_te_keh, który przy pomocy Old Shatterhanda odzyskał przytomność, leży starannie związany. Upsaroka zeskoczył z konia, wyjął zza pasa nóż i zawołał:

- To jest pies Siuksów_Oglala, który pozbawił mnie ucha. Żywcem pozbawię go za to skalpu!

Płomienne Serce chciał się na niego rzucić, aby zedrzeć mu z głowy skórę, lecz Old Shatterhand mu w tym przeszkodził i rzekł:

- Jeniec jest własnością naszego białego brata Hobbler Franka. Nikomu innemu nie wolno się na niego targnąć.

Wywiązała się przy tym

sprzeczka, którą Old Shatterhand

w sposób opanowany i zwycięski zakończył. Upsaroka szemrając zrezygnował ze swego zamiaru.

Stary Baumann przygarnął Hobbler Franka do piersi. Obaj płakali z radości.

- Z pewnością tobie, drogi przyjacielu, zawdzięczam w ogromnej mierze ratunek - powiedział Łowca Niedźwiedzi. - Ale w jaki sposób zebrałeś taką gromadę wybawców?

Frank zaprzeczył jakimkolwiek własnym zasługom i wskazał w dół rzeki:

- Zbliżają się ci, którym należą się większe dzięki aniżeli mnie.

Do Baumanna zbliżało się jego pięciu towarzyszy, których wraz z nim pojмали Siuksowie. Przed nimi jechał Martin, Wohkadeh i Bob. Więc pośpieszył im naprzeciw. Murzyn, kiedy tylko zobaczył swojego pana, zeskoczył z konia, podbiegł ku niemu i padając na kolana ujął jego dłonie wołając:

- O massa, kochany, dobry mój massa Baumann! Nareszcie masser Bob mieć swojego z całego serca kochanego massa Baumann! Masser Bob zaraz chętnie umrzeć z radości. Masser Bob śpiewać i skakać, i pęknąć z rozkoszy! O, masser Bob być wesoły, być szczęśliwy, być mu błogo!

Jego pan podniósł go z kolan i chciał go wziąć w ramiona. Bob jednak wzbraniał się i oznajmił:

- O massa nie obejmować masser

Boba, gdyż Bob zabić złego śmierzdiela i Bob pachnieć nieświeżo.

- Co mi tam śmierzdiel!

Wyprawileś się w drogę na mój ratunek, więc muszę cię uściskać! - i przycisnął wiernego Murzyna do piersi.

Również Martin zdążył przybyć nad rzekę i ojciec i syn padli sobie w ramiona.

- Moje dziecko! Mój syn! - wołał Baumann. - Znów jesteśmy razem i nic nas nie rozłączy. Ileż

to musiałeś od wczoraj wycierpieć! Spójrz, jakie masz poprzecinane od więzów ręce!

- Twoje wyglądają jeszcze gorzej, o wiele gorzej! Ale to się zgoi, ojczu, szybko wrócisz do zdrowia i odzyskasz siły. Teraz musisz podziękować przede wszystkim tym, którzy narażali swoje życie, aby cię ratować. Z moim przyjacielem Wohkadehem, rozmawiałeś już wczoraj, z Jemym i Davym, podobnie. Ale tutaj oto stoi Old Shatterhand! Przede wszystkim jemu i Winnetou zawdzięczamy powodzenie naszego przedsięwzięcia.

- Wiem to, mój synu, i smuci mnie, że mogę im tylko powiedzieć: dziękuję. Wyciągnął obie ręce do Old Shatterhanda, przy czym ciągle jeszcze błyszczały mu łzy na spalonych od słońca i zapadniętych policzkach. Myśliwy uściskał w milczeniu poranione od więzów ręce i rzekł serdecznie:

- Niech pan nie dziękuje ludziom, drogi przyjacielu, lecz niech pan dziękuje Bogu za to, że dał panu siły do przeżycia tych nieopisanych katuszy. Sami byliśmy jedynie jego narzędziem. Poślijmy modlitwę zawartą w naszej pięknej pieśni: „Do Boga, gdy w niedoli swej zawołał”.

Zdjął z głowy kapelusz i wypowiadał słowa powoli, głośno i z namaszczeniem, jak gdyby odmawiał pacierz. Pozostali również odkryli głowy.

Leżący na ziemi, związany wódz Siuksów patrzył zdziwiony na tę ceremonię. Podniesiono go teraz, aby zanieść go tam, dokąd się wszyscy udawali, czyli ku wlotowi doliny z grobami wodzów, gdzie na towarzyszy czekał Winnetou z Szoszonami i Upsarokami.

Old Shatterhand jechał przez chwilę z Apaczem, by zaobserwować wrogów i ich zachowanie. Widać było, że

zamienili między sobą kilka słów. I zawrócili.

Oihtka_petay podszedł do nich i zapytał:

- Co moi bracia zamierzają teraz uczynić?

- Zdajemy sobie sprawę - odparł Old Shatterhand - że nasi czerwonoskórzy bracia mają takie samo prawo do decydowania jak my, dlatego zapalimy fajkę, by się naradzić. Przedtem chcę jednak mówić z wodzem Siuksów_Oglala, Hong_peh_te_kehem.

Zsiadł z konia. To samo uczynił Winnetou. Wokół jeńca utworzył się krąg. Old Shatterhand podszedł ku niemu i zaczął:

- Ciężki Mokasyn dostał się w ręce swoich wrogów, zgubieni są również jego ludzie, gdyż otaczamy ich nie tylko my, ale i skały. Nie zdołają oni uciec i zginą od naszych kul, jeżeli wódz Oglalajów nie uczyni nic, aby ich ratować. Old Shatterhand nie kończył, chcąc się zorientować, czy Ciężki Mokasyn powie chociaż słowo. Ponieważ jednak miał on oczy zamknięte i milczał, Old Shatterhand mówił dalej:

- Niech mój czerwonoskóry brat odpowie mi, czy zrozumiał moje słowa! Czerwonoskóry otworzył oczy rzucając na niego przepelnione nienawiścią spojrzenie i splunął. Była to jego odpowiedź.

- Czy wódz Oglalajów spluwając uważa, że ma przed sobą parszywe zwierzę?

- Wing_kan! Stara baba! - zazgrzytał jeniec.

- Ciężki Mokasyn oślepl. Nie potrafi bowiem odróżnić silnego wojownika od zniedołężniałej ze starości kobiety.

- Szonka kokopawinge! Tysiące psów! - zasyczał Siuks.

Niektórzy Szoszonowie wydali z siebie gniewny pomruk. Old Shatterhand posłał im karcące

spojrzenie i pochylił się, aby ku zdumieniu wszystkich, a szczególnie samego jeńca, uwolnić go z więzów.

- Niech wódz Oglalajów zrozumie - oznajmił - że nie mówi do niego ani stara kobieta, ani też pies, lecz mężczyzna. Niech się podniesie z ziemi! Indianin wstał. Mimo że przywykł do ukrywania mimiki twarzy, nie mógł zataić zakłopotania. W odpowiedzi na jego obraźliwe słowa zamiast oczekiwanego kopania i bicia uwolniono go z więzów!

- Odsuńcie się! - rozkazał

Old Shatterhand stojącym wokół wojownikom.

Posłuchali go i w ten sposób Siuks mógł spojrzeć w nieckę doliny. Dojrzał tam swoich ludzi, którzy stali za grobem wodzów. Po poruszeniu, jakie tam panowało, można było poznać, że naradzają się oni gorączkowo. Oko mu zabłysło. Czy zdołałby do nich czmychnąć? W najlepszym przypadku znajdzie się wśród swoich, w najgorszym - zostanie zastrzelony, ale będzie to jednak zawsze lepsze niż śmierć w męczarniach, która według niego go czekała.

Old Shatterhand spostrzegł błysk w jego oczach i rzekł:

- Ciężki Mokasyn zamierza uciec, ale lepiej, by tego zaniechał! Jego przydomek oznacza, że zostawia on po sobie znaczny trop, natomiast nasze stopy mają lekkość lotu jaskółki, zaś nasze kule nigdy nie chybiają celu. Niech mi się Ciężki Mokasyn przyjrzy i powie, czy mnie zna!

- Hong_peh_te_keh nie będzie patrzył na kulawego wilka! - burknął czerwonoskóry.

- Czyżby Old Shatterhand był kulawym zwierzęciem? Czyż nie widzi, że obok stoi wódz Apaczów Winnetou, którego imię słynniejsze jest niż imię któregośkolwiek z Siuksów_Oglala

czy innych szczepów Siuksów?

- Uff! - wymknęło się jeńcowi.

Nie spodziewał się, że będzie miał przed sobą tych dwóch mężczyzn. Gdy wzrok jego przemykał od jednego do drugiego, coś na kształt respektu pojawiło się na jego obliczu. Old Shatterhand ciągnął dalej:

- Znajduje się tutaj jeszcze kilku tak samo dzielnych wojowników, jak Oihtka_petay, przywódca Szoszonów, z Moh_awem, swoim synem, oraz słynny czarownik Upsaroków, Kanteh_pehta. Z tyłu widzisz

Davy_honskeha i

Jemmy_petahczeha. Będziesz...

Przerwał, gdyż w tym momencie rozległ się w pobliżu nagły huk, konie stanęły dęba, przerazili się również zazwyczaj nieustraszeni wojownicy. W dolinie rozległ się przeciągły ryk niby odgłos rozlegającej się na mile ostrzegawczej syreny i ziemia pod stopami zaczęła się nagle poruszać. Z rozproszonych w nieckę doliny błotnych otworów unosiły się opary, szarobłękitne, siarkowożółte, krwawoczerwone albo ciemne jak sadza. W ślad za nimi zaczęła się wylewać gęsta masa. Nikt nie zdołałby zliczyć miejsc erupcji. W powietrzu nastał mrok od piekielnych wyziewów i bezładnie rozrzuconych brył błota rozsiewających duszące wonie.

Na odległość dwudziestu, trzydziestu kroków nie było nic widać. Każdy musiał troszczyć się sam o siebie, aby nie zostać trafionym przez gorące błoto. Powstało nieopisane zamieszanie. Konie zerwały się i uciekały w popłochu. Ludzie krzycząc najeżdżali bezładnie na siebie. Z głębi doliny dochodził krzyk grozy przerażonych Siuksów_Oglala. Również i oni przestali panować nad swymi końmi, które popędziły w ucieczce ku wylotowi doliny.

Wiele z nich wpadało w otwory i natychmiast zakrywało je błoto. Inne popędziły obok stojących przy wylocie doliny białych i czerwonoskórych albo torowały sobie drogę pomiędzy nimi i wzmagaly jeszcze zamęt.

Old Shatterhand zachował początkowo zimną krew. Zaraz po pierwszym huku przytrzymał silnie wodza, aby przeszkodzić mu w ucieczce, ale wkrótce musiał go puścić, aby uskoczyć w bok przed grożącymi mu pociskami. Zderzył się przy tym z Grubym Jemym, który spadł z konia i chcąc się chwycić Old Shatterhanda ściągnął go także na ziemię.

Ciężki Mokasyn, przerażony, wcale nie wrywał się z ręki Old Shatterhanda. Kiedy jednak poczuł się wolny, pomyślał o ucieczce. Wydawszy przeraźliwy, triumfujący okrzyk, rzucił się w głąb doliny. Ale nie oddalił się zbyt daleko, bowiem wpadł na Boba. Murzyn błyskawicznie zamachnął się trafiając kolbą w głowę wodza, lecz siłą rozmachu sam upadł na ziemię. Kiedy chciał się podnieść, potrafił go jeden ze spłoszonych koni, znów upadł i wrzeszczał wniebogłosy:

- Wódz uciekać! Gonić go, gonić!

Ciężki Mokasyn zatoczył się na wpół ogłuszony ciosem Boba, lecz uciekał dalej, a w ślad za nim podążyli jego prześladowcy.

Martin, syn Łowcy Niedźwiedzi, usłyszał wołanie Murzyna. Widział, że wódz ucieka, i postanowił nie spuszczać go z oka. Czyż Martin mógł dopuścić, aby dręczyciel jego ojca miał umknąć? O nie! Lecz ręce zacnego chłopca były obtarte od więzów, poza tym nie miał on przy sobie żadnej broni. Pomimo to, zbierając wszystkie swoje siły, zdecydowanie gonił zbiega.

Hong_peh_te_keh nie tracił
czasu, aby się za siebie
odwracać. Myślał, że nikt go nie

goni, i całą uwagę skupił na drodze, która miała go zaprowadzić do grobu wodzów, ale tam właśnie znajdowało się najwięcej błotnych kraterów. Skręcił więc w prawo, gdzie wzdłuż krańca doliny droga wydawała się łatwiejsza i bezpieczniejsza. Jednak pomylił się. Również i tam było tak dużo otwartych, parujących i kłębiących się miejsc, że musiał zwolnić i kluczyć. Często unosił stopę do skoku, spostrzegając, że pozornie stały grunt to lepka, bezdennie głęboka masa, i uskakiwał w bok. Szczeliny rozwierały się przed nim tak nagle, że aby się uratować, musiał wykonywać olbrzymie skoki, na jakie stać tylko człowieka ogarniętego śmiertelną trwogą. Zaczął także odczuwać skutki uderzenia kolbą. Głowa mu ciążyła, robiło mu się czerwono w oczach. Płuca odmawiały mu posłuszeństwa, nogi zaczynały się pod nim uginać. Pragnął przez moment odpocząć i spojrzał po raz pierwszy za siebie. Niby przez krwawą mgłę zobaczył teraz, że jeden z jego prześladowców jest tuż za nim. Nie widział jednak jego rysów, nie widział nawet, że był to niemal chłopiec. Ciężki Mokasyn przerażony uciekał dalej. Nie miał przy sobie broni, przypuszczał jednak, że przeciwnik jest uzbrojony, a dokąd miał uciekać? Przed sobą i za sobą oraz z lewej strony widział otwarte paszcze, które groziły mu pochłonięciem. Z prawej strony miał pionową ścianę skalną. Znajdował się niemal u kresu sił. Hong_peh_te_keh poczuł, że jest zgubiony. Wtem spostrzegł tarasowaty uskoki skalny i nad nim skośnie drugi, trzeci, czwarty i dalsze. Były to te same stopnie skalne, po których niegdyś wspinał się

konno Old Shatterhand. Siuks dostrzegł jedyny dla siebie ratunek. Wyteżał resztki sił i wspinał się kamień po kamieniu coraz wyżej.

Tak samo nagle, jak wcześniej rozpoczęły swoje działanie, tak obecnie ucichły od razu wszystkie błotne otwory. Powietrze stało się znów czyste.

Wróciła widoczność.

W dolinie rozległ się głośny krzyk pochodzący z ust Murzyna Boba.

- Massa Martin! Mój dobry massa Martin! Wódz chce go zabić, masser Bob go ratować!

Bob pokazywał ręką na skalne stopnie i rzucił się ku nim biegiem. Martin dopędził wodza. Widać ich było, jak zmagają się na śmierć i życie. Siuks złapał Martina i próbował go zrzucić, ale był wyczerpany i niemal ogluszony. Zręczny i odważny chłopiec zdołał mu się kilka razy wyrwać. Wykorzystując jedną z takich okazji Martin odsunął się jak najdalej, wziął rozbieg i z całej siły zaatakował wodza. Czerwonoskóry stracił równowagę, kurczowo łapał rękami powietrze i z przeraźliwym rykiem runął ze skały wprost w jeden z otworów błotnych, który natychmiast wchłonął go w swoją straszną gardziel.

Obserwowali to wszyscy znajdujący się w niecce doliny. Z przodu rozległy się okrzyki entuzjazmu, z tyłu natomiast niósł się lament Siuksów_Oglala, którzy widzieli, jak wyrostek pokonał ich wodza. Murzyn wbiegał na górę krzycząc z entuzjazmu i zachwytu, aż porwał wreszcie zwycięzcę w ramiona.

- Wspaniały chłopak z tego

Martina - powiedział Jemmy. - Drżałem o niego. A pan nie, Frank?

- Nie mniej niż pan! - odparł

Saksończyk wycierając z oka łzę radości.

- Z samego przerażenia byłbym

się chyba roztopił. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Nasz zuch zwyciężył i z Oglalajami nie będzie już żadnego ambarasu. Zmusimy ich, aby ugięli karki w kulinarne jarzmo.

- Chciał pan powiedzieć w kaudyńskie, to znaczy...

- Niech pan łaskawie zamilknie! - przerwał mu Mały surowym tonem. - Nie będę się z panem sprzeczał w tak uroczystym momencie. Siuksowie się teraz poddadzą i zapanuje tutaj powszechny pokój wszystkich ludów, w którym także my obaj będziemy mieli swój udział. Proszę mi podać dłoń! Niech się obejmą miliony! Et in terra Knax!

Potrząsnął dłonią uśmiechniętego Grubego i pośpieszył, aby pogratulować Martinowi, który wraz z Bobem schodził ze skały.

Również i pozostali dołączyli do niego, aby wyrazić chłopcu najbardziej radosne uznanie. Potem Old Shatterhand zwrócił się do zebranych:

- Panowie, nie próbujcie teraz rozchodzić się po konie! One nam nie zginą. Siuksom również uciekły. Wrogowie muszą zrozumieć, że jedynym dla nich ratunkiem jest poddanie się. Doszło przecież wrażenie, jakie wywarły na nich podziemne moce oraz śmierć przywódcy. Zaczekajcie zatem tutaj! Udam się do nich wraz z Winnetou. W ciągu pół godziny rozstrzygnie się, czy trzeba będzie przelewać krew czy też nie.

I wraz z wodzem Apaczów udał się w kierunku grobowca wodzów, za którym znajdowali się Siuksowie. Był to odważny czyn, na który zdobyć mogli się jedynie dwaj ludzie, których sam dźwięk nazwiska napędzał wrogowi strachu.

Jemmy i Davy cicho z sobą rozmawiali. Postanowili oni uczynić coś najlepszego, co

teraz w ogóle czynić mogli, mianowicie wesprzeć pokojowe zamiary Old Shatterhanda. Towarzyszący im Indianie wcale nie byli skłonni oszczędzić wroga. Łowca Niedźwiedzi Baumann i jego pięciu towarzyszy przeżyli tyle okropności, że cała szóstka również pałała chęcią zemsty.

Dlatego obaj przyjaciele zebrali wokół siebie obecnych i Jemmy przemówił do nich wygłaszając pogląd, że pobłażliwość i przebaczenie to najkorzystniejsze, co można uczynić dla obu obozów. Można było oczywiście założyć, że w przypadku walki Siusowie zostaną zniszczeni, ale ilu ludzi przypłaci to życiem! Poza tym było pewne, że wszystkie szczepy Siuksów wykopią wojenne topory, aby się zemścić na sprawcach krwawej łaźni. Jemmy zakończył swoje wystąpienie takimi oto słowami:

- Szoszonowie i Upsarokowie są dzielnymi wojownikami i żadne inne plemię im nie dorównuje, lecz Siuksowie mają nad nimi zdecydowaną liczebną przewagę. Gdyby miało dojść do wojny, wiele ojców, matek, żon i dzieci Indian spod znaku Węża i Wrony będzie opłakiwać swoich synów, mężów i ojców. Pomyślcie, że sami znajdowaliście się w naszych rękach! Old Shatterhand i Winnetou wykradli Dzielnego Bawołu i jego syna, Moskita, wprost z obozu, zwyciężyli oni pod drzewem także Płomienne Serce i Stokrotnego Pioruna. Mogliśmy zniszczyć wszystkich wojowników, ale nie uczyniliśmy tego, gdyż Wielki Duch miłuje wszystkie swoje dzieci i pragnie, aby żyły one obok siebie zgodnie, po bratersku. Niech moi czerwonoskórzy bracia przekonają się, jak przyjemnie, gdy komuś się przebacza.

Mowa ta wywarła duże wrażenie
na zebranych. Baumann był gotów
zrezygnować z zemsty. Jego

towarzysze także. Indianie wprawdzie tylko milczeniem, ale przyznawali mówcy rację. Jedyne wódz Upsaroków był zawiedziony.

- Ciężki Mokasyn mnie zranił - powiedział. - Czy Siuksowie nie mają tego odpokutować?

- Ciężki Mokasyn zginął. Błoto pochłonęło jego samego i jego skalp. Kanteh_pehta został pomszczony.

- Lecz Oglalajowie ukradli nam nasze leki!

- Muszą wam je oddać. Ty jesteś silnym mężczyzną i wielu z nich zabijesz. Lecz potężny niedźwiedź jest dumny i potrafi wzgardzić małym, tchórzliwym szczurem.

Porównanie to odniosło zamierzony skutek. Olbrzymiemu czarownikowi schlebiało ono niezmiernie. Był przecież zwycięzcą i mógł teraz swoich wrogów zabić lub im przebaczyć. Zatem milczał.

Wkrótce wrócili Old Shatterhand i Winnetou ku radosnemu zdumieniu obecnych na czele Oglalajów, którzy jechali długim szeregiem, pojedynczo, rzucając broń na stos, i spokojnie wycofywali się. Bez słów wyrażali, że podjęcie przez nich nawet najdzielniejszej walki nie uratowałoby ich. Stali z pochylonymi głowami i posepnymi minami. Cios, jaki na nich spadł, był tak nagły i potężny, że czuli się jak ogłuszeni.

Jemmy opowiedział teraz Old Shatterhandowi o swoim wystąpieniu i jego skutkach. W podzięce myśliwy uścisnął mu dłoń. Szczerze go to uradowało, dlatego przemówił jeszcze do Oglalajów:

- Wojownicy Siuksów złożyli przed nami broń, gdyż przyrzekłem im, że darujemy im życie. Teraz blade twarze, Szoszonowie i Upsarokowie chcą im darować coś więcej oprócz życia. Ciężki Mokasyn nie żyje,

nie żyją również obaj wojownicy, którzy nastawali na życie Wohkadeha oraz syna Łowcy Niedźwiedzi. To wystarczy. Niech wojownicy Siuksów zabiorą swoją broń! Pomożemy im także odszukać konie. Niech pokój zapanuje pomiędzy nami. Pragniemy przy grobie wodzów uczcić pamięć tych, którzy kilka miesięcy temu zginęli z mojej ręki. Niech zakopany zostanie topór wojenny, który dzielił od nas Oglalajów. Niech wrócą oni na swe tereny łowieckie, gdzie mogą opowiedzieć o dobrych ludziach, którzy zrezygnowali z zadawania wrogom śmierci, i o wielkim Manitu białych, który przykazuje, by jego dzieci żyły w pokoju. Skończyłem.

Siuksowie oniemieli ze zdziwienia z powodu szczęśliwej odmiany losu. Nie mogli po prostu w to uwierzyć, ale kiedy zwrócono im broń, rzucili się pełni wdzięczności ku sławnemu myśliwemu. Również czarownik Kanteh_pehta ucieszył się, kiedy dowiedział się, że zrabowane leki pozostały nie naruszone i Upsarokowie znów je otrzymają.

Konie nie oddaliły się zbyt daleko i łatwo dały się złapać. Przyniesiono także ciała zastrzelonych przez Old Shatterhanda Siuksów i pogrzebano ich w pobliżu wodzów. Dzień poświęcono uroczystościom grzebalnym, wreszcie wszyscy opuścili niezdrową dolinę, aby znaleźć się w lesie, w którym zamierzali odpocząć po trudach ostatniego okresu.

Kiedy wieczorem płonęły obozowe ogniska i przyjaciele pojednani z wrogami, siedząc obok siebie, opowiadali spokojnie o najświeższych przygodach, zwrócił się Frank do Jemiego:

- Najlepsze w naszym dramacie jest zakończenie, a więc przebaczenie i puszczenie w niepamięć! Nigdy w życiu nie

hołdowałem zabijaniu, gdyż kierowałem się zawsze zasadą:

Nie czyni drugiemu, co tobie niemiło! Zwyciężyliśmy, pokazując bogom, że jesteśmy bohaterami, pozostało nam uczynić teraz jeszcze tylko jedno. Ma pan ochotę?

- Na co?

- Kto się czubi, ten się lubi.

Sprzeczałyśmy się ciągle jedynie dlatego, że tak naprawdę przypadliśmy sobie do serca. Należałoby dlatego uzewnętrznić nasze uczucia i przejść na ty. Dawaj zatem łapę, stary! Zgoda?

- Zgoda! - powiedział Jemmy.

- Niechże cię uściskam, serdeńko, zbliż się! Nareszcie, nareszcie spełnia się treść wiersza „O radości, iskro bogów”:

Co dzieliły spory, waśnie, @

magia twoja łączy wciąż; @ Frank

i Jemmy chcą w przyjaźni @ żyć

jak jeden dzielny mąż! @